

800-LECIE PIĄTEJ KRUCJATY

Łysiak o sekretach szturmu
na ziemię muzułmanów



TYGODNIK LISICKIEGO

**DO
RZE**

NR 38/240
18-24 WRZEŚNIA 2017

CENA 6,90 zł (W TYM 8% VAT)

Semka: Co prezydent
zrobi z sądami?

**JAK MOSSAD
ODPUŚCIŁ
JOSEFOWI
MENGELE**



Spór o poezję Wencła
- Masłoń kontra Horubała



TOMASZ PIĄTEK

**MACIEREWICZ
I JEGO TAJEMNICE**

TOMASZ PIĄTEK I JEGO TAJEMNICE

Co się kryje za atakiem na Antoniego Macierewicza

II EDYCJA KONKURSU,

KTÓRY WYWOŁAŁ OGÓLNOPOLSKĄ, POWSZECHNĄ MODĘ
NA WSZYSTKO CO JEST W 100% POLSKIE!

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA,
KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

100 %

**polski
produkt**

**ZGŁOŚ PRODUKT NA
POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL**

PATRONAT HONOROWY:



MINISTERSTWO
ROZWOJU



Ministerstwo Nauki
i Szkolnictwa Wyższego



PARP



PARTNERZY:



URSUS



PARTNER MERYTORYCZNY:



PATRONI MEDIALNI:



eprasa.pl 05dd3c702b



W RZECZY SAMEJ

Ulica i zagranica, czyli o skutkach pewnej strategii

Kiedy Prawo i Sprawiedliwość zdobędzie w sondażach, a potem w rzeczywistości, większość konstytucyjną? Kolejne badania opinii publicznej nie pozostawiają wątpliwości, że ten moment jest coraz bliżej.

Od października 2015 r. opozycja na przemian posługiwała się bronią, którą ktoś kiedyś trafnie nazwał „ulica plus zagranica”. Jednym z jej filarów była wiara w to, że skarceni przez Unię Europejską i Parlament Europejski Polacy położą uszy po sobie i masowo odwrócą się od rządzących. No bo skoro w Brukseli powiedzieli, że PiS jest be, to musi tak być. Skoro rząd potępił prezydent Francji oraz przewodniczący Komisji Europejskiej, jej wiceprzewodniczący i szefowie różnych frakcji, większych i mniejszych, ale wszystkich europejskich, to najwidoczniej oni wiedzą lepiej, jak w Polsce źle się dzieje. Tyle że ten przekaz, który miał w zamyśle opozycji zniszczyć wizerunek rządu

i odepchnąć od niego wyborców, przyniósł skutki dokładnie odwrotne od oczekiwanych. Zamiast ludzi do władzy zniechęcić, europejscy politycy, podpuszczani przez polskich opozycjonistów, do jej popierania zachęcali. Ogół wyborców zaczął się wokół rządu jednoczyć. Poparcie dla władz stało się, wraz z kolejnymi atakami i nagonkami w Brukseli, wyrazem narodowej solidarności. Im mocniej potępiano Polskę w Brukseli czy Strasburgu, tym silniej w Warszawie rośnie przekonanie, że dokonuje się wielki akt niesprawiedliwości.

Tym bardziej że z punktu widzenia polskiego wyborcy wszystko to, co robiła i robi Unia w kwestii przyjmowania uchodźców, było jedną wielką i totalną kompromitacją polityki europejskiej. Przywódcy europejscy podejmowali przecież decyzje ad hoc i bez brania odpowiedzialności za swoich własnych obywateli, potem zaś

usiłowali je narzucić pozostałym za pomocą gróźb i szantażu. Pokazali też niechęć do dialogu, arogancję, utopizm i ideologiczne zaślepienie – kilkanaście ostatnich miesięcy w bardzo poważnym stopniu, sędzę, podważyło zaufanie do Unii jako instytucji racjonalnej i przewidywalnej. Kiedy zatem Polacy słyszeli od unijnych polityków o zamachu na praworządność, o autorytaryzmie, o braku demokracji w Polsce, musieli ich ogarniać pusty śmiech. Mnie przynajmniej ogarniał. Ataki komisji na rząd są zatem jednym z głównych źródeł poparcia dla PiS.

Drugi jest to, co umownie można by nazwać „ulicą”, a więc próba wywołania masowego sprzeciwu obywateli za pomocą odwołania się do emocji, strachu, wrogości, nienawiści. Ten element strategii leży w gruzach, po pierwsze, wskutek autokompromitacji, czego symbolem stały się niesławne faktury Mateusza Kijowskiego. Po drugie, ze względu na dramatycznie przesadzoną, a więc chybną retorykę. To, co miało mobilizować i budzić grozę – koszmar państwa policyjnego, rzekomy rasizm, nadejście zamordyzmu, utrata wolności – stawało się, po dokładnym sprawdzeniu, groteskowe. Rozparci wygodnie w fotelach studiów telewizyjnych propagandyści opozycji opowiadali milionowym rzeszom odbiorców o tym, że nie mają prawa głosu. Sfrustrowani artyści, aktorzy i reżyserki bredzili o faszyzacji Polski, używając do tego najbardziej masowych portali i gazet. Czyż to nie prawdziwy kabaret?

W ten sposób zarówno głos ulicy, jak i zagranicy pospołu wyniosły PiS na szczyty popularności. ©©

RYСУNEK TYGODNIA

Kongres Czerwonych Kapturków
otwiera tow. Wół





TEMAT TYGODNIA

16 WOJCIECH WYBRANOWSKI

TOMASZ PIĄTEK I JEGO TAJEMNICE

Dziwne przypadki medialnego skandalisty

19 DOMINIK SMYRGALA

ZNISZCZYĆ MACIEREWICZA

KRAJ

22 ROZMOWA Z PATRYKIEM JAKIM

PRL-BIS JEST POTĘŻNY I WPŁYWOWY

Wiceminister sprawiedliwości deklaruje: „Nie zgodzimy się na pudrowanie sądownictwa”

25 PIOTR SEMKA

PREZYDENCKI SHOW I JEGO WIDZOWIE Z PIS

28 KAMILA BARANOWSKA

WSZYSCY LUDZIE PREZYDENTA

31 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

NIEODROBIONA LEKCJA WRZEŚNIA

34 ROZMOWA Z PROF. STANISŁAWEM ŻERKĄ

REPARACJE NIE MOGĄ BYĆ TABU

36 AGNIESZKA NIEWIŃSKA

MOC BUDYNIA

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

DŻENTELMENI Z CALI

Trzeci sezon serialu „Narcos” nie zawodzi

42 KRZYSZTOF MASŁOŃ

MYŚL ODSUWAJĄC I MYŚL OSZUKUJĄC

44 ANDRZEJ HORUBAŁA

LEKCJA Z WENCŁA



NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

51 ROZMOWA Z WŁODKIEM PAWLIKIEM

IDĘ POD PRĄD

OPINIE

52 SŁAWOMIR CENCKIEWICZ

LIBERAŁ WIDZI WIĘCEJ

Alain Besançon o Kościele i komunizmie

56 MARCIN MAKOWSKI

JAK LEWICA PISZE HISTORIĘ NA NOWO

58 ROBERT BOGDAŃSKI

MALI CHŁOPCY W KRAINIE MURTI-BINGA

HISTORIA



60 WALDEMAR ŁYSIAK

DWAJ NAWIEDZENI SZTURMUJĄ ZIEMIĘ MUZUŁMANÓW

W 800. rocznicę startu V krucjaty

68 PIOTR WŁOCZYK

JAK MOSSAD ODPUŚCIŁ JOSEFOWI MENGELE

ŚWIAT

70 JACEK

PRZYBYLSKI

NAJPOTĘŻNIEJSZA KOBIETA ŚWIATA

Czwarta kadencja kanclerz Merkel?

74 TOMASZ P.

TERLIKOWSKI

JEZUITA NA FRONCIE WALKI O PRAWA GEJÓW



EKONOMIA

76 TOMASZ WRÓBLEWSKI

LIBERALNY PROTEKCJONIZM EUROPY

Nadciągająca segregacja gospodarcza

80 AGNIESZKA ŁAKOMA

PALIOWA MAFIA W ODWROCIE

82 ELŻBIETA GLAPIAK

SAMORZĄDY SIŁĄ NAPĘDOWĄ GOSPODARKI

ZDROWIE

84 KATARZYNA PINKOSZ

NADZIEJA NA ODDECH

Nowoczesne leki w walce z rakiem płuca



BOSS
HUGO BOSS
watches

Drodzy Czytelnicy,

W tym tygodniu ciekawa informacja o konflikcie wokół wicepremiera Jarosława Gowina oraz glosa do wywiadu Marcina Pieczyńskiego z ks. Isakowiczem-Zaleskim.

„Potrzebujemy nowych idei”

Odpowiedź Jarosława Gowina – wicepremiera i ministra nauki i szkolnictwa wyższego – na pytanie z wywiadu („Do Rzeczy” 35/2017) w sprawie oświadczenia wydawnictwa „Znak” o wykluczeniu go 21 lipca br. ze składu zespołu – wymaga uzupełnienia.

Otóż po tym oświadczeniu, na znak protestu (list z 23 lipca br., „Znak” nr 748), odszedł z zespołu prof. Stanisław Grygiel – polski filozof i filolog mieszkający w Rzymie, redaktor „Znaku” w latach 1963–1980. Być może nie było zrzeczenie o tym fakcie wspominać Jarosławowi Gowinowi, dlatego przytoczmy fragment listu: „Decyzja [...] podjęta przez jej członków jest dla mnie znakiem (nie pierwszym!) zaprzeczenia wielkiej tradycji europejskiej i chrześcijańskiego pojmowania wolności człowieka, a także pierwotnej tradycji »Znaku«. [...] Nie zawsze zgadzałem się z poglądami Pana Jarosława Gowina. Nigdy jednak nie zdecydowałbym się potraktować go tak, jak potraktowała go obecna redakcja »Znaku«”.

Ciekawe, co na ten temat miałyby do powiedzenia także założyciel i redaktor naczelny prof. Jacek Woźniakowski – już z Lasek, gdzie znalazł miejsce wiecznego spoczynku? Tych pytań byłoby, niestety, o wiele więcej...

Czy wiernym Czytelnikom tego zasłużonego miesięcznika pozostaje tylko nieprzedłużanie prenumeraty? Czy odpowiedzi z za grobu na niewygodne pytania mogą taką decyzję zmienić?

Waldemar Wiglus, Przemysław

„Izolowanie się od kresów to samobójstwo”

Ostatni akapit rozmowy Marcina Pieczyńskiego z księdzem Tadeuszem Isakowiczem-Zaleskim bardzo mnie zdziwił.

Na pytanie Pana Redaktora: „Co w takim razie, zdaniem księdza, należy zrobić dla Polaków na kresach?” ks. Zaleski

odpowiada: „Przede wszystkim stworzyć dla nich polskie media”. Dziwi mnie, że ksiądz mówi o „stworzeniu” mediów, ani słowem nie zająknąwszy się o tych, które obecnie działają na kresach, jak choćby „Kurier Wileński” czy „Kurier Galicyjski”, obchodzący niedawno dziesięciolecie działalności. Ksiądz mówi o potrzebie „zadbania o polskie ślady na kresach”, ani słowem nie wspominając o podmiotach, które na tej niwie działają od wielu lat, jak to: Fundacja „Pomoc Polakom na Wschodzie” (w tym roku m.in. zakupiła wyprawki dla pierwszaków szkół polskich na Litwie), Fundacja „Wolność i Demokracja” (wspierająca m.in. polskie media na Litwie, Ukrainie i Białorusi), Fundacja Dziedzictwo Kresowe czy Fundacja Pomocy Szkołom Polskim na Wschodzie im. Tadeusza Goniewicza. Cieszy natomiast, że ksiądz (po raz pierwszy!) zwrócił uwagę na kwestię starań o zwrot kościoła św. Marii Magdaleny we Lwowie. [...]

**Pozdrawiam serdecznie
Irena Kulesza**



Od autora:

Mówiąc o potrzebie „stworzenia polskich mediów na kresach”, ks. Isakowicz-Zaleski miał na myśli zapewne media publiczne, nie zaś wspierane przez polski rząd prywatne inicjatywy, które najwyraźniej – jego zdaniem – nie są wystarczającym wsparciem dla tamtejszej Polonii. Stąd też jego propozycja, by na miejsce należącego do TVP białoruskojęzycznego Bielsatu powołać polskojęzyczne TV Kresy. Reasumując: mój rozmówca domaga się większego zaangażowania bezpośrednio ze strony polskiego rządu w sprawy Polaków na Wschodzie.

**Z poważaniem
Maciej Pieczyński**



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Andrzej Horubała, Piotr Zychowicz**

ZESPÓŁEM:
Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**
Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gódek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojarczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cendkiewicz, Wiesław Chelminiak, Dominika Cusić (Bruksela), Krzysztof Gzabowski, Roman Graczyk, Piotr Gursztyn, Katarzyna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym), Jakub Kowalski, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Małowski, Karolina Marchlewska-Tizmiel, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinosko, Anna Piotrowska, Jan Pospieszalski, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sekowski, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torąński, Matthew Tyrmann, Paweł Wawrzyński, Szwach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zaleski

DoRzeczy.pl redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja) **Damian Cygan, Karol Gac i Marek Kolewski**

Współpraca: **Mikołaj A. Łodowski**

Studio graficzne: **Mariusz Daruk-Skarbek** (szef studia), **Wojciech Niedziółko** (grafik prowadzący), **Jacek Nadarowski, Anna Sobieska-Wójcisz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoredakcja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krystofa, Mirosław Owczarek**
Okładka: **Adam Jankowski/REPORTER, Fotolia**
opracowanie graficzne: **SUNDAY**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**

Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu: spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW



Prezes Zarządu PMPG SA: **Michał M. Lisiecki**

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

BIURO REKLAMY: **Michał Staszewski** (kierownik marketingu i sprzedaży)

reklama@dorzeczy.pl;

tel.: +48 692 46 40 80

PUBLIC RELATIONS: **Anna Pawłowska-Pojawa**

(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:

Adam Borzęcki (kolportaż);

Aneta Suchta (prenumerata wydawnicza),

prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288829

Nakład 105 tys. egzemplarzy

DRUK: **LSC COMMUNICATIONS EUROPE**

Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:

Prenumerata realizowana przez **RUCH SA**:

Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można

składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi

Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne

w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyrażnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

© Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/



**Jesienią mamy wiele niespodzianek
dla widzów TV Republika**

Zupełnie **NOWA** odsłona tego, co doskonale Państwo znacie



Odważni dziennikarze, ciekawe programy

Teraz Telewizja Republika NA ŻYWO i ZA DARMO on-line



www.telewizjarepublika.pl

epirasa.pl 050d3c702b



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

W kółko to samo

Gazeta Wyborcza" pewne batalie potrafi prowadzić latami. Pewnie dlatego bywa niekiedy tak skuteczna.

Najwyraźniej do tej grupy potyczek zaliczyła spór o muzeum II wojny światowej w Gdańsku.

Ostatnio tę placówkę odwiedził dziennikarz „GW” Łukasz Grzymisławski, który z tej okazji powtórzył w formie karykatury całą krytykę układu muzeum, zaprojektowanego przez Pawła Machcewicza. Grzymisławski utrzymuje, że eksperci ministra kultury utyskiwali, że „nie ma w muzeum mowy o pozytywnych aspektach wojny, o wykuwaniu się w jej ogniu patriotycznych postaw ani o dostarczanych przez nią okazji do wykazania się bohaterstwem”.

„Dla wszystkich tęskniących za »pozytywnymi aspektami wojny« muzeum musi być niewygodne. Na przykład zdjęcia robione przez SS – młodzi mieszkańcy polskich miasteczek, ich twarze kilka sekund przed rozstrzelaniem przez Einsatzgruppen. Albo małe miejsce poświęcone dziewczynce, która przez całe oblężenie Leningradu odnotowuje kolejne śmierci swoich bliskich. »Zostałam sama jedna« – pisze po kilkuset dniach

głodu, zanim umrze z wyczerpania”. Wszystko to Grzymisławski puentuje: „Gdańskie muzeum opuszcza się ze ściśniętym gardłem i nagłą wiarą w widniejące na pobliskim Westerplatte, do niedawna traktowane jako idealizm hasło »Nigdy więcej wojny«”.

Efektowne, ale zwodnicze. Pochylmy się nad pierwszym przykładem. Mieszkańcy polskich miasteczek mordowani przez SS. Kto bandytom spod znaku trupiej czaszki wyrwał broń z ręki? Czy mogłoby dojść do zakończenia brunatnego terroru bez wielkiego wysiłku armii z zachodu i wschodu? Czy gdyby nie krwawa walka żołnierzy takie egzekucje nie trwałyby latami, ile tylko razy Hitler i jego następcy zechcieliby likwidować kolejną grupę „wrogów Rzeszy”?

A teraz przykład z Leningradu – tym trudniejszy, że Armia Czerwona sama niosła z sobą rządy terroru. Dla oblężonych mieszkańców Leningradu była jednak obroną przed Niemcami. A ta walka wymagała odwagi i cnót wojskowych. Co by było, gdyby obrona miasta się załamała? Co by było, gdyby Stalin oddał Leningrad bez walki i SS wkroczyłyby do miasta nad Nową?

Czy ta sama dziewczynka zamiast bycia świadkiem, jak jej bliscy giną z głodu, nie byłaby świadkiem ich śmierci np. w egzekucji?

O „męskiej przygodzie”, którym to określeniem Grzymisławski chce wykić zwykły, normalny szacunek dla żołnierskiego męstwa – można było mówić w czasie krótkich efektownych wojenek w XIX w. czy podczas brytyjskich ekspedycji kolonialnych, w których trakcie karabiny maszynowe dziesiątkowały tubylców z dzidami.

II wojna światowa była walką o przeżycie i bez wojsk koalicji Hitler mordowałby jeszcze wiele lat. Poprzez udział w tej koalicji Stalin mógł mordować też wiele lat, ale to już inna sprawa. A hasło „Nigdy więcej wojny” – bywało pretekstem do schylania karku przed złem. W imię tego hasła Philippe Pétain oddał Francję nazistom. Naiwny i ślepy pacyfizm, którym zachwyca się „Wyborcza”, to ślepa uliczka.

Ta batalia o sens sprzeciwu wobec wojny – dojrzały lub naiwnie pozytywistyczny – będzie trwała jeszcze wiele lat. Mam nadzieję, że starczy mi sił, by wskazywać na krótkowzroczność pacyfizmu à la Grzymisławski. © ©

Gasiuk-Pihowicz pozwana na 100 tys. zł

Dawid Jackiewicz złożył w warszawskim sądzie pozew przeciwko posłance Nowoczesnej Kamili Gasiuk-Pihowicz. Jak wynika z pozwu, do którego dotarło „Do Rzeczy”, były eurodeputowany PiS, a później także minister skarbu w rządzie Beaty Szydło pozywa posłankę za jej wystąpienie w parlamencie w lipcu tego roku. Posłanka mówiła, że Jackiewicz w 2006 r. „brał udział w awanturze, która doprowadziła do śmierci człowieka. Polityk PiS wdał się z nim w szarpaninę, popchnął go, głowa tego bezdomnego roztrzaskała się o beton” i dodawała, że „prokuratura Ziobry umorzyła sprawę partyjnego kolegi”.

Rzeczywiście w 2006 r. Jackiewicz brał udział w tragicznym wydarzeniu. Tyle że ówczesny poseł PiS bronił swojej żony i trzyletniego synka napastowanych przez agresywnego, pijanego mężczyznę Zbigniewa M. Odepchnięty przez posła napastnik tak nieszczęśliwie upadł, że uderzył głową o krawężnik, a dwa dni później zmarł w szpitalu. Prokuratura umorzyła postępowanie przeciwko Jackiewiczowi, uznając, że działał w obronie koniecznej, a decyzja taka zapadła, gdy prokuraturę nadzorował nie Ziobro, ale Zbigniew Cwiakalski, minister sprawiedliwości w rządzie Donalda Tuska.

– Nie mogę pozwolić, by z powodu niewinności politycznej było naruszane moje dobre imię – mówi nam Dawid Jackiewicz.

Komentarza poseł Gasiuk-Pihowicz nie udało nam się uzyskać. Posłanka zapytała, w jakiej sprawie dzwonił, i obiecała, że „oddzwoni za 15 minut”. Później przestała odbierać telefon.

Polityk PiS, oprócz przeprosin, wnioskuje o zasądzenie od posłanki Nowoczesnej 100 tys. zł na rzecz fundacji pomagającej dzieciom z chorobami nowotworowymi. Złożył też wniosek o uchYLENIE Gasiuk-Pihowicz immunitetu. © ©

Wojciech Wybranowski

STRAŻNIK PAMIĘCI 2017



*Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest
godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.*

Józef Piłsudski



V EDYCJA

PATRONAT HONOROWY



RZECZYPOSPOLITEJ POLSKIEJ
Marszałek Sejmu Marek Kuchciński

PARTNERZY STRATEGICZNI:



PARTNER GŁÓWNY:



PARTNER WYDARZENIA:



MECENAS:



WIĘCEJ INFORMACJI NA
www.dorzeczy.pl/straznik-pamieci/
eprasa.pl 05dd3c702b





RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Watażka

Jeśli ktoś, tak jak ja, zaczytywał się w młodości „Rudym Ormem”, to na pewno pamięta bezdomnego konunga Styrbjörna, wygnanego – jak twierdził – podstępem z własnego księstwa i szukającego po obcych dworach sojuszników, by je odzyskać, względnie zdobyć jakieś inne. W średniowieczu takich wygnanych władców krążyło po świecie sporo. Dzisiaj o nich trudnej,

ukraińskiego Majdanu i dygnitarzu porewolucyjnych władz Ukrainy, ostatnio również i tam wyjętym spod prawa oraz wygnanym. Cały barwny życiorys gruzińskiego watażki (m.in. po drodze robił w USA za specjalistę od integracji europejskiej) nie zmieści się w felietonie, kto ciekaw, przeczyta. W każdym razie pozbawiony obywatelstwa Ukrainy przez rozgniewanego nań prezydenta Poroszenkę Saakaszwili postanowił mimo to wrócić i – jak zapewne państwo zauważyli – brawurowo swój zamiar zrealizował, myląc ukraińskie strażnice graniczne i ostatecznie docierając na spotkanie z watahą swych miejscowych stronników, którzy – dosłownie – wnieśli go do kraju na rękach, ogłaszając początek kolejnej rewolucji.

Bardzo medialna sprawa, ale jest jedno pytanie: Co nam, u licha, do tego? Dlaczego Polska pozwoliła wygnanemu watażce wciągać się w jego boje

z władzami Ukrainy, które uznajemy za legalne, i, skądinąd, w innych sprawach odnosimy się do nich nader bojaźliwie?

Wszyscy znają odpowiedź: Saakaszwili był przyjacielem śp. Lecha Kaczyńskiego, stawiał mu pomniki i wszędzie, gdzie może, mówi, że zamordowano go w zamachu.

To już nie te czasy, gdy fascynowałem się losami powieściowego Styrbjörna, więc wyprawa Saakaszwilego mało mnie obchodzi. Jednak sposób, w jaki ją rozpoczął, budzi obawę. Tak niewiele wystarczy, by uzyskać od rządu PiS to, czego się chce? Co będzie, gdy to się rozniesie? Taki Macron albo Juncker zamiast straszyć, pójdą po rozum do głowy, obiecując postawić pomnik „poległym w Smoleńsku” i sprawa relokantów czy „pracowników delegowanych” załatwiona?

Błagam, żeby tylko przypadkiem ktoś nie przetłumaczył tego felietonu na francuski czy niemiecki! ©©

Tak niewiele wystarczy, by uzyskać od rządu PiS to, czego się chce? Co będzie, gdy to się rozniesie?

ale jeden jest. I, niestety, u nas na dworze jest lubiany.

Myślę oczywiście o Micheilu Saakaszwili, byłym przywódcy rewolucji i prezydencie Gruzji, obecnie wyjętym tam spod prawa, a potem jednym z przywódców

PIECZEŃ RZYMSKA



PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

O kulcie świętego migranta

Nowa religia ludzi postępowych opiera się na dwóch dogmatach. Pierwszy mówi, że migrant jest nieocenionym zasobem, depozytariuszem cnót wszelkich i panaceum na kryzys demograficzny. Drugi każe wierzyć, że migracji nie można powstrzymać, więc należy ją wspierać.

Wydarzenia ostatnich miesięcy zachwiały podstawami kultu. Migracja z Libii została zahamowana, a okadzani migranci coraz częściej stają się bohaterami włoskiej kroniki kryminalnej. Stropieni kapłani kultu postanowili tabuizować migranta i wydali fatwę

na wszystkich, którzy nie oddają bóstwu należnej czci.

Jedną z ofiar padł dziennik „Libero” za dwa błuźnierstwa. Pierwsze to publikacja danych agencji unijnej ECDC, które łączyły wzrost zachorowań na gruźlicę i odrę oraz zarażeń wirusem HIV w Europie z migracją. „Libero” apelował o ścisłą kontrolę lekarską i leczenie przybyszów. Drugim złamaniem tabu była publikacja będących własnością Polki i peruwiańskiego transseksualisty zgwałconych w Viareggio. Ataku na „Libero” dokonały policja religijna kultu i pospolite ruszenie politopu. Okazało się, że publikacja

dokumentów opartych na statystykach i faktach (sic!) to szczucie na migrantów, a więc rasizm i faszyzm. Postępowcy zatem poszczuli na „Libero”. W końcu haker, bardzo z siebie dumny, zablokował stronę internetową gazety.

Co symptomatyczne, główne włoskie media, gazety i telewizje nie tylko nie wyraziły oburzenia na kneblowanie kolegów po fachu, lecz nawet o tym nie poinformowały. Wszystko w ramach postępowej walki o pluralizm, prawdę, demokrację i podział, zgodnie z którym ludzie dzielą się na postępowych i faszystów.

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Od pokłonów do straszenia szabelką?

Jean-Claude Juncker podczas wygłaszania tegorocznego przemówienia o stanie Unii (nie mylić z amerykańskim „State of the Union” prezentowanym przez prezydenta USA, którego znaczenie jest nieco większe) wydawał się trzymać prosto. Nikt nie musiał mu pomagać w zakładaniu marynarki. Być może zresztą Donald Tusk nie miałby tym razem ochoty tego czynić, słysząc, jak Juncker stwierdza, że stanowisko przewodniczącego Rady Europejskiej, sprawowane przez byłego polskiego premiera, jest właściwie niepotrzebne. Czymże innym bowiem była propozycja, aby połączyć w jedno tę funkcję z jego własną, szefa KE?

Gdyby do tego doszło, byłby to ruch pozorny. Niczego by to w istocie nie zmieniło – funkcja przewodniczącego RE już w wykonaniu van Rompuy, a coś dopiero Tuska, jest niemal czysto tytułarna. Podobnie pozornym ruchem byłoby, zaproponowane przez Junckera, stworzenie urzędu unijnego ministra finansów. Nie byłoby to nic innego jak przemianowanie istniejącego już stanowiska szefa eurogrupy (dziś jest nim Holender Jeroen Dijsselbloem). Zwłaszcza wobec oporu Junckera dotyczącego tworzenia odrębnego budżetu dla państw strefy euro. Nawet propozycja, aby obdarzyć ten urząd większy-

mi kompetencjami, niewiele zmienia – i tak działałby pod dyktando najważniejszych graczy.

Takie pozorne ruchy przypominają bieg Alicji po drugiej stronie lustra, ciągniętej za rękę przez Czerwoną Królową na gigantycznej szachownicy. Jak wiadomo, im szybciej obie biegły, tym bardziej stały w miejscu. To charakterystyczne dla europejskiej elity. Jest kryzys, więc trzeba coś zmieniać, ale najlepiej zmieniać tak, żeby było, jak było, ale wydawało się, że jest inaczej. Albo wręcz: żeby było, jak było, ale bardziej.

Wielbiciel wykwinnych alkoholi zawarł oczywiście w swoim wystąpieniu aluzję do Polski i Węgry, na co Nigel Farage, brytyjski eurosceptyk, zareagował, mówiąc: „Sposób, w jaki traktuje pan Węgry i Polskę, już musi im przypominać traktowanie przez Sowietów. [...] Mogę tylko powiedzieć: dzięki Bogu my wychodzimy!”.

Sęk w tym, że Polski na wyjście nie stać. Pytanie brzmi: Czy stać nas na to, żeby zacząć toczyć w UE realistyczną, skuteczną i – gdy trzeba – elastyczną politykę obrony naszego interesu? Na razie od bicia pokłonów przeszliśmy bowiem gładko do pobrzękiwania szabelką. Równie skutecznego.

A przecież musi być coś pomiędzy. ©©

KSIĘGARNIA



WYBIERAMY
RECENZUJEMY
REKOMENDUJEMY

DO KAŻDEGO ZAMÓWIENIA
POWYŻEJ 49,00 ZŁ

PREZENT



Konieczna rejestracja w sklepie.
Oferta ważna do 24 września 2017 r.



ZAMÓW:

www.ksiegarniadorzeczy.pl

☎ 12 431 25 78



FOT. PAMEŁ GROWADA

PARCIE NA BILLBOARD

Magda Gessler podobno obraziła się na własną stację, czyli TVN, za to, że nie promuje jej programu tak jak powinien. Promuje za to inne programy – głównie nową edycję „Azja Express”. Gessler ma o to żal do dyrektora programowego Edwarda Miszczaka. – Magda zrobiła o to w TVN wielką awanturę – zdradza „Faktowi” pracownik stacji. – Zapytała ironicznie, czy może sama ma płacić za promocję swojego programu. Boi się, że bez promocji oglądalność „Kuchennych rewolucji” spadnie, a ona będzie musiała oddać koronę królowej stacji – dodaje. Gessler miała też na koniec stwierdzić, że przed podpisaniem kolejnej umowy zastanowi się, czy jej praca w stacji ma dalszy sens, skoro ma być tak traktowana. Nie dziwimy się, że dla pani Magdy wszystko już straciło sens. Nie być jesienią na żadnym billboardzie w Warszawie – czy da się upaść niżej?

CIEMNOŚĆ WIDZĘ, WIDZĘ CIEMNOŚĆ

Paulina Młynarska znów wydała książkę i znów udzieliła wywiadu, w którym znów postanowiła wypowiedzieć się na temat polskiej polityki. Nie wiemy, co w tym zdaniu budzi w nas największe przerażenie, ale chyba wszystko po trochu. Skupmy się jednak na wywiadzie, bo warto. Młynarska opowiedziała w nim m.in., dlaczego Juliusz Machulski powinien przeprosić Polaków za film „Seksmisja”. Serio! – Pod koniec lat 80. wielką karierę zrobił film „Seksmisja”, niebywale śmieszny, inteligentny, świetnie zagrany, ale z tezą, że świat rządzony przez kobiety to piekło – mówi Paulina. – Juliusz Machulski powinien przeprosić za ten film. Jak sobie popatrzysz na to pod kątem stosunku do praw kobiet, jak włożył kwestię mówioną w „Seksmisji” w usta dzisiejszych polityków, nie do przejścia. To jest koncert seksizmu! – twierdzi Młynarska. I nie wiadomo, czy po takich słowach to śmiać się czy płakać. Ze śmiechu.

NIE MA JAK DOBRA REKLAMA

Skoro już jesteśmy przy programie „Azja Express”, to na temat drugiej edycji wypowiedziała się prowadząca Agnieszka Szulim-Woźniak-Starak. Jednak chyba nie tak, jak oczekiwaliśmy tego kierownictwo stacji. Stwierdziła bowiem, że czuje się rozczarowana nową edycją i jej uczestnikami. – Wszyscy byli przewrażliwieni, żeby nie powtórzyć losu Renaty Kaczoruk i nie zderzyć się z falą hejtu – wyjaśnia Agnieszka. – Bardzo mnie tym denerwowali, bo byli dla siebie tak mili, że momentami nie dało się tego słuchać. Zdarzało się, że

przybiegali czwórka na metę, trzymając się za ręce... A ja chciałam walki, rywalizacji, wyścigu, przecież to jest gra. Czego by nie mówić o Renacie, ona się ściagała. Ci pojechali po to, by zrobić sobie dobry PR, i to widać – opowiada. Nie ma to jak gorąca zachęta do oglądania z ust samej prowadzącej! Cóż, po takiej reklamie nic dziwnego, że dyrektor Miszczak musiał dolożyć na oficjalną akcję promocyjną.



FOT. PAMEŁ GROWADA/PERNA

FEMINISTKA I WYNALAZEK

To nie koniec mądrości Pauliny Młynarskiej. Prezentko-dziennikarko-pisarka postanowiła uraczyć nas jeszcze kolejną porcją swoich przemyśleń na temat Polski. – Polska to taki dziwny wynalazek, że nie wiem, czy można złapać do niej zdrowy dystans. Ale podróże mi w tym pomagają – wyznała. – Każdy kolejny rząd wprowadza totalne reformy i zmiata z powierzchni ziemi dokonania poprzedników, dyskredytując po całości to, co było. Niestety, polskie społeczeństwo się na to godzi. Kochamy obalać, nie tylko flaszki, ale i systemy – uważa Młynarska. To skoro już jesteśmy przy obalaniu, Paulina jako wojująca feministka na koniec wywiadu wraca do swojego ulubionego wątku, czyli traktowania kobiet. – Kobięce problemy po prostu nigdy nie są najważniejsze. A wiesz dlaczego? Bo nas wytresowano, byśmy je sobie same rozwiązywały. I tak się to kręci. To się po prostu musi kiedyś skończyć. Nasze sprawy są sprawami ludzi. Są najważniejsze – przekonuje. I kończy stwierdzeniem, że „feminizm nie jest skierowany przeciw mężczyznom”. Pełna zgoda, w jej wykonaniu zdecydowanie bardziej szkodzi kobietom.

DAJ ZNAKA!

Teraz będzie refleksyjnie, bo w taki nastrój wprowadziła nas Agnieszka Kaczorowska, znana bardziej jako Bożenka z „Klanu”, na swoim Instagramie. „Gdy kończy się dzień, przychodzi wdzięczność za wszystko, co się wydarzyło, za wszystko, czego się nauczyłam, za każdą obawę, która przyszła i spowodowała kolejne wzmocnienie odwagi” – czytamy, a ogarniające nas wzruszenie jest wielkie niczym kariera Agnieszki. „Za co jesteś wdzięczny? Nie pisz tu, ale daj znaka, że znalazłeś w swojej głowie” – kończy celebrytka. My czekamy na to, aż Bożenka znajdzie coś w swojej. Na razie bezskutecznie, ale jakby co, „damy znaka”. ©

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW



Kochani, tak po cichu minęła właśnie rocznica, kiedy wojska tego kraju zatrzymały pod Wiedniem zmierzających do Europy w poszukiwaniu lepszego życia osobouchodźców.

Jak więc widać, ten kraj ma bogate szowinistyczne tradycje. Niestety, za czasów Jana Sobieskiego nie było Unii Europejskiej ani takiego współczesnego mu Timmermansa, którzy by demokratyczną decyzją narzucili temu krajowi obowiązkową kwotę osobouchodźców, a w przypadku niepodporządkowania się tej decyzji wdrazali kolejne etapy kontroli praworządności.

Teraz więc jesteśmy świadkami i świadkami, jak historia się powtarza. Z tą różnicą, że teraz na szczęście mamy odpowiednie instytucje, które czuwają nad europejskim porządkiem, trzymające ten kraj w ryzach i niedopuszczające do awantur w Europie.

Przypał w korpo. Ostatnio rankiem, po zajęciu naszego stanowiska pracy, znaleź-

liśmy przyklejoną do monitora karteczkę z napisem: „Karna cipka za łamanie praw kobiet”. Zdziwiliśmy się, iż jesteśmy radykalnymi feministami.

Okazało się jednak, iż nasze frendziary z kolektywu mają inne zdanie na ten temat. Wyjaśniły nam, iż jako biali, heteronormatywni fallusoosobnicy jesteśmy wrogiem kobiet z samego tego faktu, po czym kopnęły nas w genitalium.

Mamy nadzieję, iż nie spotkamy posła Szczerby w modnym lokalu w kolejce do toalety

Zabolało nas to nie mniej niż postawione nam zarzuty, jako iż nigdy nie obnosiliśmy się ze swoją heteronormatywnością, uznając, iż ta akurat orientacja nie jest powodem do dumy i afirmacji. A tu nie dość, iż został nam zarzucony ostantacyjny waginosceptycyzm, to jeszcze zostaliśmy

postawieni w jednym szeregu z szowinistycznymi fashystami.

Iż się przeziębiliśmy z uwagi na pierwsze ataki osobojesieni, mamy katar, boli nas gardło i kapie nam z nosa :(Nie chcemy jednak nabijać kabzy Big Pharmii, dlatego decydujemy się na altmedyczne innowacje.

W związku z tym pytanie brzmi: Czy w warunkach domowych można wyhodować lewoskrętną witaminę C? I czy w ogóle warto ryzykować, że przypadkiem nie wyjdzie nam witamina prawoskrętna, przez którą zachorujemy na monarchizm i wolny rynek?

Na razie siedzimy w korpo i robimy sobie okłady z jarmużu tłuczonego z siemieniem lnianym, zawiniętym w lniany bandaż tkany przez uczestniczki Marszu Szmat. Nie damy zarabiać na sobie koncernom.

Wśród prawackich dziennikarzy panuje oburzenie na osoboposła Szczerbę. Przypomnijmy, iż jest to osoboposeł, który najpierw blokował mównicę w Sejmie, drażniąc się z Kuchcińskim, a ostatnio, wedle doniesień, zablokował toaletę w Krynicy, wchodząc bez kolejki.

Tak to już bowiem jest, że w opresji i fashyzmie trzeba ostro walczyć o swoje, a poseł nie jest w końcu jakimś pierwszym lepszym januszem, który może stać i trzymać, tylko kiedy ma potrzebę, to natychmiast ją realizuje. Tak to już ma pokolenie Y.

Mamy tylko nadzieję, iż nie spotkamy posła Szczerby w modnym lokalu na placyku, kiedy będziemy czekać w kolejce do toalety po kilku kolejkach piwarka ze sprajtem. ©©

Tylko popatrz, jedzie ten nazista Sobieski, będzie „bronił” Wiednia zatrzymując postęp multikulturowości w Europie na 400 lat ...

ce 28 ty 6 tys 202 6109 public 2024

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

W wyjaśniamy aferę z billboardami antyterrorystycznymi. Rząd nie miał z nią nic wspólnego, dlatego na inauguracji kampanii pojawiła się premier Beata oraz przechodzący z tragarzami wicek sprawiedliwości Michał Wójcik, została natomiast przeprowadzona na zlecenie rządu przez fundację, która nie wydała na to publicznych pieniędzy, gdyż były to pieniądze ze spółek Skarbu Państwa, którym przekazać kasę do fundacji kazał rząd, co jest najlepszym dowodem na to, że nie miał z tym nic wspólnego i nie zlecał żadnej kampanii. Zrozumiano?

N o i już po rozmowie wychowawczej prezydenta Andrzeja Sebastiana. Była krótka, a przekaz ograniczył się do „Dobrze, Łapka, byle tak dalej!”. Żli ludzie z kancelarii prezydenckiej mówią bowiem, że rzecznik Łapka vel Krzysztof Łapiński jest żelaznym mieczem Andrzeja Sebastiana. Mamy kłopot. Rozumiemy, że Andrzej Sebastian musi mieć coś żelaznego, ale dlaczego musi to być akurat Łapka?

J esteśmy pełni podziwu dla marszałka Karczewskiego Stanisława. Rozwija się. Na przykład do słynnego spotkania Karczewski – prezydent Andrzej Sebastian doszło tak: żadnego spotkania nie planowano, ale w pałacu miała się odbyć nudna oficjalna inaugurująca działanie komitetu obchodów stulecia niepodległości. Stanisław był tam z rozdzielnika. Kiedy impreza się skończyła, marszałek Senatu zapytał, czy nie mógłby trochę zostać i pogadać z Andrzejem Sebastianem. Rysiek Czarnecki lepiej by tego nie wymyślił.

T ymczasem Krzysiek Szczerski od prezydenta Andrzeja Sebastiana przebywał w Berlinie. Niemcy okazali się wyjątkowo złośliwi. Zaprosili prezydenckiego ministra do zrabowanej żydowskiej rodzinie Mendelssohn-Bartholdy willi, w której w czasie wojny urzędował Alfred Rosenberg jako minister ds. ziem okupowanych na Wschodzie. Żeby było zabawniej, alianci ulokowali tu po wojnie Najwyższy Trybunał Restytucyjny mający zwracać to, co Niemcy zrabowali. A że dziś mieści się tam Niemieckie Towarzystwo Polityki Zagranicznej, to już inna sprawa.

U waga na domokrażców! Kręcą się po Warszawie, zaczepiają ludzi i wciskają im różne niepotrzebne rzeczy: globusy, filtry do wody, cudowne garnki. Do tego grona dołączył niejaki Tomasz Lis, który szuka kupca na portal NaTemat. A teraz najśmieszniejsze: Tomek w swoich peregrynacjach nie omija także spółek opanowanych przez Dobrą Zmianę. O dziwo, nie przychodzi przebrany za Sakiewicza, tylko po prostu, ot tak, jako Lis.

dwaj panowie g



A propos domokrażców – w związku z ukończeniem prac nad sądowymi ustawami prezydenta Andrzeja Sebastiana uaktywnił się jeden z ich ojców, czyli KatoKrólik. Były wiceminister z czasów Tuska prof. Michał Królikowski, obecnie gowinowiec, obszedł rozmaite media i powiedział, co wiedział. Ciekawa rzecz, odrzucił wszystkie zaproszenia z mediów publicznych, przez „Eine Totale Opposition” zwanych PiS-owskimi, ale nie miał kłopotu z wizytą u resortowej bejbi Olejnik. Jednak starych przyzwyczajęń trudno się pozbyć.

W ażne informacje o Jarosławie Gowinie. Wszyscy wiedzą, że ogląda futbol, mało kto wie, że miewa przeczucia. Przed meczem Polski z Danią miał przeczucie, że będzie źle, i się sprawdziło. Zapytaliśmy przed meczem z Kazachstanem – też miał przeczucie, że będzie źle, ale się nie sprawdziło. Przytaczamy tę opowieść w celach edukacyjnych, bo dobrze oddaje polityczną drogę wicepremiera. Raz się udaje, a raz nie.

P iS-owska opresja narasta. Podczas rachitycznej demonstracji Greenpeace'u pod ministerstwem naczelnego nadszyszkownika Szyski, w cieniu, stał specjalny wysłannik ministra, który bacznie obserwował, czy któryś z pracowników wychodzących z resortu nie przyłączy się do rachitycznej manifestacji. Poskutkowało, nikt się nie przyłączył.

T ak, chodzi o tę manifestację, która byłaby tylko pikietą, gdyby nie zniecierpliwieni dziennikarze „Wyborczej”, którzy zmartwieni niską frekwencją przylepili sobie logo Greenpeace'u i dołączyli do protestujących. Nas to nie dziwi. Greenpeace słynie na całym świecie z obrony różnych ginących gatunków, do kogóż innego więc mieli dołączyć pracownicy firmy broniącej Grześka Schetyńę i Ryśka Petru przed wyginieniem.

P o mieście krąży znów pomyślna plotka, że bliska jest chwila rozbioru resortu infrastruktury.

tury i budownictwa. Infrastrukturę miałby wziąć sobie do Ministerstwa Rozwoju nadpremier Mateusz Morawiecki, sławny syn słynnego ojca. A osamotnionym budownictwem pokierowałby nowy minister, który nie byłby Andrzejem Adamczykiem. Minister Adamczyk ze wzgardą traktuje tę plotkę, bo nieraz była wypuszczana. Ale uwaga, mamy nowy element – podobno za takim rozwiązaniem gardłuje u Morawieckiego pewien wiceminister, który chciałby się pozbyć „wice” z nazwy funkcji.

Znamy jeszcze ohydniejszą plotkę. Mówi ona, że dokonania Hanki Gronkiewicz-Waltz na niwie reprivatyzacji w Warszawie to pikuś w porównaniu z tym, co ma w tej sprawie za uszami były wicepremier i minister finansów Jacek vel Jan vel Vincent Rostowski. Podajemy tę informację pod rozwagę tym, którzy uważają, że jedyna komisja śledcza, przed którą powinien stanąć, to ta od wyłudzeń VAT.

Chcieliśmy się poskarżyć na inwigilację. To oburzające. Nie możemy spokojnie poczytać gazety, posłuchać radia, obejrzeć telewizji. Gdzie się nie obrócimy – Rysiek Petru. Facet nas



inwigiluje i nie przestaje mówić. Zróbcie z tym coś, drogie służby. Podpisano: dwaj panowie G.

Apropos służb – poniosły ciężką porażkę wizerunkową. Kilka dni temu wrogowie Dobrej Zmiany nazwali na chodniku pod siedzibą PiS przy Nowogrodzkiej hasła „Dość propagandy PiS”. I to po wielokroć. Gdzie byliście w tym czasie, panowie? Tylko nie mówcie, że inwigilowaliście Ryśka Petru!

Alarm w Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego! Nie, nie chodzi o manewry „Zapad 2017”. Otóż rodzina pewnego attaché rolnego z polskiej placówki daleko na wschód od Buga

zgłosiła, że dyplomata zaginął. Sprawa była niesłychanie ciekawa, bo nie chodziło o zaginięcie na wrogim terytorium, tylko podczas odpoczynku w kraju. Agenci ruszyli do akcji, w końcu nie co dzień znika dyplomata z placówki uważanej za frontową. Kwerenda w szpitalach nic nie dała. Okazało się jednak, że dyplomata zaniemógł. Była to niemoc innego rodzaju. Odnalazł się w izbie wytrzeźwień gdzieś w Zagłębiu Dąbrowskim. Rozważano usunięcie dyplomaty z placówki, ale ozwała się miejscowa parlamentarzystka PiS. Podniosła ważny argument w jego obronie: w końcu zachwał w czasie prywatnym.

Zmartwienia najlepiej odegnąć wyteżoną pracą. Tak też postąpił wicepremier Gliński. Spontanicznie zdecydował więc, że nie tylko odwiedzi galę wręczenia nagród Melchiora 2017 dla najlepszych radiowych reportażystów, lecz także spontanicznie wystąpi i powie coś od serca. Co oczywiście wpawiło w popłoch twórców scenariusza imprezy, którzy w ostatniej chwili musieli go przerabiać. My wpadliśmy w popłoch z innego powodu: Jak to od serca? Prawdziwy PiS-owiec nie ma serca!

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

ZEGARKI ROSEFIELD

ZOSTAŁY ZAINSPIROWANE AMSTERDAMEM I NOWYM JORKIEM. POSIADAJĄ CIENKIE I ELEGANCKIE KOPERTY IDEALNIE PASUJĄCE DO INNYCH RODZAJÓW BIŻUTERII.

ZEGARKI Z KOLEKCJI WEST VILLAGE ZOSTAŁY WYPOSAŻONE W ELEGANCKIE KOPERTY I PASKI WYKONANE Z AKSAMITNEJ SKÓRY NUBUKOWEJ.

DODATKOWO WYJĄTKOWE OZDOBY UMIESZCZONE NA PASKACH RÓŻNIĄ SIĘ W ZALEŻNOŚCI OD MODELU I NADAJĄ ZEGARKOM CHARAKTERU W STYLU VINTAGE-CHIC.

ROSEFIELD
AMS | NYC



Tomasz Piątek i



Wojciech Wybranowski

Im więcej Tomasza Piątka w mediach, tym bardziej spada jego wiarygodność. Przeciw autorowi książki „Macierewicz i jego tajemnice” sypią się też pozwy oraz prywatne akty oskarżenia

W ubiegłym tygodniu Platforma Obywatelska złożyła wniosek do premier Beaty Szydło o zawieszenie Antoniego Macierewicza w obowiązkach ministra obrony narodowej. Powód? Tezy zawarte w wątpliwej faktograficznie książce „Macierewicz i jego tajemnice”, której autor, publicysta „GW”, Tomasz Piątek sugeruje, że obecny szef MON i jego zaplecze są powiązani z rosyjskim światem przestępczym oraz z podległymi Kremlowi rosyjskimi służbami specjalnymi.

– Oparliśmy się na książce Piątka i szeregu publikacji jego autorstwa, jakie w sprawie niepokojących związków Macierewicza się pojawiały – mówi w rozmowie z tygodnikiem „Do Rzeczy” poseł Czesław Mroczek (PO), były wiceminister obrony narodowej i współautor wniosku posłów PO do premier Beaty Szydło.

O książce Piątka w „Do Rzeczy” już pisaliśmy. Zwróciliśmy uwagę, że przedstawiane w niej tezy są w olbrzymiej części naciągane, przegrywają konfrontację z faktami. Książka pełna jest mocno groteskowych spekulacji autora.

Gdy pytamy posła Mroczka, czy zwerifikował i potwierdził sugestie Piątka, najpierw zapada dłuższe milczenie, a dopiero po chwili pada odpowiedź. – Wszystkie nasze wnioski poprzedzamy głębokimi analizami. Jednak to nie my tu jesteśmy sędziami, nie my musimy oceniać. To Macierewicz powinien się ustosunkować – ucina.

Wygląda jednak na to, że to sądy zajmą się książką Piątka i może nastąpi to równie szybko, jak szybko jej autor traci wiarygodność. Przeciw Tomaszowi Piątkowi i wydawcy książki „Macierewicz i jego tajemnice”, wydawnictwu Arbitror, sypią się pozwy.

Jak dowiedział się tygodnik „Do Rzeczy”, pozew cywilny złożył w warszawskim Sądzie Okręgowym Jacek Kotas, były podsekretarz stanu w MON i były prezes spółki Radius. Piątek w swojej książce sugeruje, że Kotas miał być łącznikiem między zapleczem Macierewicza a światem rosyjskich gangsterów i służb. – Oskarżył mnie niemal o zdradę, o wysługiwanie się rosyjskim gangsterom, obcym służbom, czyli jedno z najcięższych

przestępstw. Napisał totalne bzdury, a nawet nie próbował skontakować się ze mną, zwerifikować swoich tez – mówi nam Jacek Kotas.

Przedsiębiorca chce od Piątka i wydawnictwa Arbitror po 50 tys. zł zadośćuczynienia i opublikowania przeprosin w polskich i zagranicznych mediach. Na tym się nie skończy – według naszych ustaleń w najbliższych dniach Kotas złoży też w sądzie przeciw Piątkowi i Marcinowi Celińskiemu, który wydał jego książkę, prywatny akt

oskarżenia z art. 212 Kodeksu karnego, czyli o przestępstwo zniesławienia.

To już kolejne pozwy przeciw Piątkowi. Wcześniej podobny złożył w sądzie znany biznesmen Robert Szustkowski (domaga się przeprosin i wpłaty 100 tys. zł na cele charytatywne), którego Piątek w swojej książce przedstawił jako szemraną, powiązaną z rosyjskimi środowiskami postać, zamiesznaną w handel bronią. Sęk w tym, że – jak twierdzą pełnomocnicy biznesmena – to nieprawda, a Piątek tego zarzutu, podobnie jak wielu innych swoich tez opartych na medialnych enuncjacjach, po prostu nie sprawdził.

Informacji o prawnych kłopotach Tomasza Piątka i problemach z wiarygodnością jego książki trudno jedno szukać



jego tajemnice

w mainstreamowych mediach. Trwa za to medialny show, w którym próbuje się z szerzej nieznanego lewicowego publicysty zrobić „dziennikarza śledczego”, a z jego książki „demaskatorskie dzieło”. Piątek stał się bowiem wygodnym narzędziem politycznej walki z szefem MON i rządem PiS.

JAK WYKREOWAĆ PIĄTKA

Przesada? Absolutnie nie. Od miesięcy Tomasz Piątek niemal codziennie pojawia się i bryluje w mediach. Zaliczył show Jakuba Wojewódzkiego i internetowy program Tomasza Lisa. W telewizjach i gazetach pojawia się zresztą nie tylko w roli autora medialnie promowanej książki, lecz także eksperta od wojskowych śmigłowców czy specjalisty od Wojsk Obrony Terytorialnej. Od miesięcy Piątek powtarza teorie o rzekomych rosyjskich powiązaniach ludzi Macierewicza i coraz bardziej tracącą groteską opowieść o tym, jak to rzekomo znalazł się na czymś celowniku (w domyśle Rosjan lub polskich służb).

„Książka »Macierewicz i jego tajemnice« bije rekordy”, „Nieustraszony Tomasz Piątek”, „Macierewicz kontra Piątek”, „Tomasz Piątek: Nie ma żar-

tów”, „Tomasz Piątek u Kuby Wojewódzkiego”, „Czy Macierewicz jest rosyjskim agentem?”, „Amnesty International broni Piątka”, „W obronie Piątka” – to tylko kilka tytułów z licznych w ostatnim miesiącu materiałów, w których lansowano autora „Macierewicza i jego tajemnic”. Co je łączy? Praktycznie w żadnym z nich nie podjęto próby krytycznej weryfikacji jego tez. Chociaż jest wyjątek.

Oprócz „Do Rzeczy” uważnie przyjrzał im się również Paweł Reszka, uznany dziennikarz śledczy, który w ubiegłym tygodniu na łamach „Newsweeka”, tygodnika bezkrytycznie dotąd powie-

lającego teorie Piątka, opisując książkę, wytknął autorowi wiele wpadek:

„Wiele mocnych tez, ale niekoniecznie dobrze udowodnionych” – napisał Reszka, a następnie wyliczył momenty, w których tezy Piątka mocno rozminęły się z faktami. Krytyczne uwagi wywołały atak histerii autora „Macierewicza i jego tajemnic”.

„Ludzie zaskakują czasem.

Tomasz Lis staje po stronie Macierewicza:

jego pismo nierzetelnie opisuje książkę o rosyjskich powiązaniach ministra obrony” – burzył się Piątek na swoim profilu na Facebooku. Co ciekawe, krytyczne uwagi Reszki zostały przemilczane przez media lansujące „dzieło” Piątka. Nie zauważyły okładkowego artykułu? Wprost przeciwnie. Media

lansujące Piątka, m.in. portale Gazeta.pl i Fakt.pl, natychmiast podchwyciły i nagłośniły fragment wspomnianego tekstu, w którym pojawia się sugestia, że po tym, jak książka Piątka się ukazała: „Macierewicz szalał. Chciał uruchamiać służby”.

NIETYKALNA „OFIARA REŻIMU”

Jest jednak jeszcze jeden skuteczny sposób kreacji Tomasza Piątka, podnoszący sprzedaż jego książki. To metoda „na ofiarę reżimu”. Po tym, jak Antoni Macierewicz złożył w prokuraturze wojskowej zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Piątka (sprawę ostatecznie prowadzi prokuratura cywilna), natychmiast opozycja i bliskie jej media podniosły alarm, jakoby Macierewicz chciał zamknąć mu usta i ograniczać wolność słowa. „Gościmy go i powitajmy, póki jeszcze żyje” – witał go w swoim programie Jakub Wojewódzki.

Pozowanie na męczennika zaczęło się od apelu lewicowej organizacji Amnesty International, która nie badając sprawy i nie znając akt prokuratorskiego postępowania sprawdzającego, już ogłosiła, że chodzi o polityczną zemstę, i wezwała do obrony autora książki „Macierewicz i jego tajemnice”. Apel lewicowej organizacji brzmi jak żart: „Nie jest jasne, czy i jakimi dowodami dysponuje prokuratura na poparcie zarzutów przeciwko Tomaszowi Piątkowi, ale nie można wykluczyć, że sprawa ta jest motywowana politycznie w odwecie za pracę Tomasza Piątka jako dziennikarza śledczego” – czytamy na stronach tej organizacji. Dalej organizacja nakłania, by skłonić Zbigniewa Ziobrę do wywarcia nacisków na śledczych: „Wezwij Prokuratora Generalnego do odmowy wszczęcia lub umorzenia postępowania przeciwko Tomaszowi Piątkowi!”.

Akcję AI można by traktować jako karykaturalny żart, gdyby nie to, że nabrała politycznego wymiaru – do udziału w niej wzywają postowie opozycji i niektórzy lewicowi dziennikarze sugerujący, jakoby Piątek miał być prześladowany, a władza knebłowała mu

usta. Chociaż rzeczywiście bywa w tej sprawie zabawnie.

– Macierewicz nie odpowiada na zarzuty, ale chce postawić zarzuty autorowi książki i zakazać jej rozpowszechniania – podniósł alarm na Twitterze poseł Jan Grabiec, rzecznik PO. – Złożył w sądzie wniosek o zabezpieczenie i zakaz kolportażu? Nie, a tylko tak można uzyskać zakaz rozpowszechniania. Mija się pan z prawdą – zwracam uwagę parlamentarzyście. To, że żadnej próby wstrzymania dystrybucji książki nie ma, polityka PO nie interesuje. – Poczekamy, zobaczymy, czy prokuratura na polecenie Macierewicza nie przygotowuje takiego wniosku – brnie Grabiec (w rzeczywistości taką decyzję wydaje sąd na wniosek strony – przyp. red.).

W ślad za lewicową AI w akcję obrony Piątka przed rzekomymi prześladowaniami włączyły się też – po nagłośnieniu sprawy przez lansujące go media – międzynarodowe organizacje dziennikarskie, m.in. International Press Institute, Reporterzy bez Granic, Freedom House, European Magazine Media Association, które milczały wcześniej, gdy za rządów PO-PSL inwigilowano dziennikarzy.

PIĄTEK I NAGUS Z PISTOLETEM

Tymczasem jak na „ofiarę reżimu” Piątek ma się świetnie i bryluje w mediach, co często kończy się dość spektakularną kompromitacją. Tak jak wtedy, gdy na łamach „GW” zasugerował, że... jest podsłuchiwany przez PiS-owskie służby. Dowód? „Od 14 miesięcy w moim telefonie słychać podczas rozmowy jakieś brzęczenie. Znajomi prześcigają się w domysłach, jakiego rodzaju podsłuch mogę mieć – i dlaczego taki głośny?” – opowiada Piątek w wywiadzie.

– To jakaś paranoja – śmieje się nasz rozmówca ze służb specjalnych. – Trzaski w słuchawce to prawdopodobnie systemowy błąd u operatora lub po prostu wada fabryczna telefonu. Wiara, że nasłuch powoduje trzaski, echo w telefonie, to jak wiara w duchy – konkluduje nasz rozmówca.

Dalej jest jeszcze ciekawiej. Piątek, sugerując, że jest na celowniku służb, opowiada historię, która zdarzyła mu się po spotkaniu jednej z grup abstynentów, w którym uczestniczył (był przez lata uzależniony od alkoholu i heroiny). Ponoć, jak powiada, był świadkiem ataku

dwóch potężnie zbudowanych mężczyzn na przypadkowego rowerzystę, którego Piątek miał obronić. Według jego opisu jeden z napastników był „prawie nagi” i miał pistolet. Pobity rowerzysta po kilku dniach jakoby odwdziaczył się Piątkowi napojem izotonicznym. „Dał mi też czekoladę, a potem jeszcze wysłał SMS, pytając, czy zjadłem” – opowiada Piątek. „Zjadłem?” – dopytuje dziennikarka. „Wyrzuciłem” – odpowiada Piątek i konkluduje: „Gdy się gromadzi tyle przypadków, to człowiek zaczyna się zastanawiać”. Opowieść Piątka wywołała falę kpín internautów.

Z kolei w programie Jakuba Wojewódzkiego Piątek „ujawnił”, że – jego zdaniem – powiązany z rosyjskimi służbami jest nie tylko Macierewicz, lecz także prezydent USA Donald Trump. „Rosjanie starają się oddziaływać (wypowiedź oryginalna – przyp. red.) na społeczeństwa Zachodu,

Jak na „ofiarę reżimu” Piątek ma się świetnie i bryluje w mediach, co często kończy się dla niego spektakularną kompromitacją

w tym także i Polski, niszcząc naszą powagę, naszą zdolność do racjonalnej rozmowy, wypuszczając takich ludzi jak Donald Trump na przykład. To jest przerażające, że człowiek tego rodzaju został prezydentem Stanów. On był finansowany, jego firmy, które cały czas upadały, były ratowane przez ludzi z rosyjskiej mafii, tych samych, którzy są powiązani z ministrem Macierewiczem” – przekonywał Piątek.

KARIERA DROBNEGO SKANDALISTY

Historia kariery Tomasza Piątka, lewicowego publicysty i szerzej nieznanego pisarza (z jego książek tylko „Heroina” i „Pałac Ostrogskich” odbiły się szerszym echem), mogłaby stać się częścią podręcznika PR-owców. Dlaczego? Bo pokazuje, jak dzięki medialnemu skandalowi wykreować coś z niczego. Piątek próbował zrobić to już sześć lat wcześniej, pisząc „Antypapieża” – książkę, w której stawiał obrażające Jana Pawła II, niemające pokrycia w faktach hipotezy, a później nagłaśniał

je w mediach. O polskim świętym pisał więc w stylu podobnym do Urbanowego „Nie” – że chronił kapłanów podejrzanych o pedofilię, tuszował afery finansowe czy wręcz wspierał dyktatorów. Notabene obecna książka Piątka o Macierewiczu została skonstruowana w identyczny sposób jak ta o papieżu – zbiór hipotez, skandalizujących przypuszczeń i niezwyfikowanych tez podpartych teoriami spiskowymi. Wówczas sensacji Piątek nie wywołał – „Antypapież” przeszedł w Polsce praktycznie bez większego echa.

Piątek próbował jednak nadal – w publikacjach dla „Krytyki Politycznej” znieważał katolików, szukał rozgłosu przez coraz bardziej kuriozalne wypowiedzi, tak jak wtedy, gdy w rozmowie z „SE” przekonywał, że „Bóg w Biblii nie uważa aborcji za zabójstwo”, albo wtedy gdy na łamach „Krytyki Politycznej” mówił, że ikony polskiego podziemia zbrojnego „Rudy” i „Zośka” byli gejami: „Lektura świadectw, dokumentów, listów i tak dalej nie zostawia wątpliwości: panowie się kochali i byli homo. Jedyne pytanie brzmi: jakimi homo? Homoseksualistami czy homoerotami?” – pisał Piątek.

Z „Krytyki Politycznej” wyleciał w atmosferze skandalu, który wywołał. „Do Rzeczy” ujawniło bowiem, że wykorzystując sztyld „Krytyki Politycznej”, Piątek parał się pomówieniami i donosicielstwem. Jak? Wysyłał reklamodawcom ogłaszającym się w „Do Rzeczy” listy, w których wzywał do bojkotu tygodnika Pawła Lisickiego, insynuując, jakoby nasz tytuł wspierał prześladowania gejów w Rosji. Po nagłośnieniu tej sprawy „KP” zerwała współpracę z Piątkiem. „Nie możemy za naszego autora przeproszać co miesiąc” – stwierdzili szefowie „Krytyki Politycznej”.

Wcześniej Piątek również donosami usiłował doprowadzić do zwolnienia z pracy w brytyjskim „Guardianie” znanego rysownika Andrzeja Krauzego, ale szefowie gazety enuncjacje Piątka ignorowali.

Wyrzuconego z pracy Piątka przygarneła „GW”, w której zaistniał „sensacyjny” artykuł o Macierewiczu. Kolejne medialne rewelacje opiewane przez Piątka stają się coraz częściej przedmiotem drwin internautów i niektórych z tych dziennikarzy, którzy początkowo próbowali traktować jego publikacje serio.



FOT. BARTOSZ KRUPA / FOST NEWS

*Dominik Smyrgała*

Książka oparta na fałszywych twierdzeniach i często absurdalnym łączeniu faktów może podważyć zaufanie do polskiego ministra obrony narodowej w czasie intensywnej międzynarodowej wojny informacyjnej

Książka Tomasza Piątka rozpałała wyobraźnię części opinii publicznej w Polsce. Oto nieprzejednany wróg komunistów i aparatu represji PRL ma być związany z byłymi współpracownikami SB, agentami GRU oraz rosyjską mafią i jej lobbystami. Wielu publicystów i polityków używa książki Piątka jako zbioru dobrze

udowodnionych tez do ataku na Macierewicza. W narracji „dzieła” pojawiają się jednak bardzo poważne błędy faktograficzne, które stawiają całość pod dużym znakiem zapytania.

Tezy Piątka opierają się na trzech głównych filarach, które mają ujawniać skrywane tajemnice Macierewicza. Ro- boczo można je nazwać wątkami Roberta

Luśni, Jacka Kotasa i Alfonse’a D’Amato. Wszystkie z nich rzekomo prowadzą do czołowego rosyjskiego gangstera Siemiona Mogilewicza. Tak napisał na ósmej stronie swej książki (będącej w istocie drugą stroną ciągłego tekstu) sam autor: „Sednem tej książki, jej najważniejszą treścią, są powiązania między Antonim Macierewiczem i jego środowiskiem a globalnym gangsterem i finansistą Siemionem Mogilewiczem, powszechnie uważanym za mózg rosyjskiej mafii”. Teza ta nie wytrzymuje krytyki.

CHWIEJNE FILARY

Wątek Roberta Luśni, dyskutowany już szeroko w innych mediach, opiera się na swobodnej interpretacji dokumentów oraz informacjach jednoźródłowych.

W dodatku pochodzących ze źródła mocno wątpliwego w kontekście sprawy. Pomijając mszczące się do dziś problemy w zakresie aktualizacji wpisów w KRS dotyczących fundacji Głos (po roku 2004 jej działalność zamiera i nawet Tomasz Piątek to pośrednio przyznaje na str. 20–21), teza o tym, że Macierewicz współpracował z Luśnią od 1992 r., mając świadomość, że jest dawnym tajnym współpracownikiem SB, jest nie do utrzymania. Pierwsza i druga część książki opierają się w istocie na ustnej relacji Włodzimierza Blajerskiego, wiceministra spraw wewnętrznych w rządzie Hanny Suchockiej. Nastąpił on po obaleniu rządu Jana Olszewskiego w efekcie niesławnej „nocnej zmiany”. To stwarza co najmniej konflikt interesów, ponieważ następca Antoniego Macierewicza na stanowisku ministra spraw wewnętrznych Andrzej Milczanowski miał odmienne od poprzednika podejście do problemu lustracji i traktowania byłych funkcjonariuszy SB. Co więcej, Blajerski swoją relację oparł także na informacji jednoźródłowej, udzielonej mu przez Zbigniewa Niezgode, byłego pracownika UOP. Niesprawdzałnej, ponieważ Niezgoda już nie żyje. Jeśli zakwestionować zeznanie Blajerskiego, to co nam pozostaje? To, że jeszcze w XXI w. byli tajni współpracownicy SB znajdowali się w otoczeniu Antoniego Macierewicza, co jest funkcją tego, jak głębokiej inwigilacji podlegał. A także to, że ludzie związani z dawnym aparatem represji mieli dużo lepsze niż inni możliwości odnalezienia się w biznesie.

Podobnie rzecz się ma ze wskazywaniem Jacka Kotas jako „rosyjskiego łącznika” Antoniego Macierewicza, któremu miał udzielić dostępu „do tajnych dokumentów polskiej armii”. Takie sformułowanie jest pomyleniem co najmniej kilku porządków. Po pierwsze, Jacek Kotas trafił do resortu (czyli ministerstwa i podległych mu instytucji) obrony narodowej w czerwcu 2006 r. jako prezes Wojskowej Agencji Mieszkaniowej. Tak się składa, że ministrem obrony narodowej był wtedy... Radosław Sikorski. Istniały wtedy jeszcze Wojskowe Służby Informacyjne i to raczej tam należy szukać informacji, dlaczego istotne fakty dotyczące życia Kotas nie wpłynęły na uzyskanie przezeń poświadczenia bezpieczeństwa i dlaczego nie zafunkcjonowała ochrona kontrwywiadowcza. Antoni Macierewicz trafił do MON później, bo 21 lipca 2006 r., jako likwidator WSI, a zarazem jako pełnomocnik ds. utworzenia Służby

Kontrwywiadu Wojskowego. Funkcję szefa SKW objął dopiero 4 października 2006 r. Dostępu do tajnych dokumentów Kotasowi nie udzielił. SKW rzeczywiście ukończyła postępowanie za jego szefowania, ale znaczy to tylko tyle, że w toku sprawdzania wypełnionej ankiety nie stwierdzono przesłanek do tego, aby takiego poświadczenia mu nie wydać. Nie znaczy też, że poznał jakiegokolwiek tajemnice Sił Zbrojnych RP – żeby mieć do nich faktyczny dostęp, trzeba uzyskać indywidualną dekreację na każdym dokumencie. A zatem już dwa z trzech filarów są co najmniej wątpliwe. A to dopiero początek.

WĄTKI AMERYKAŃSKIE

Jednak najlepiej błędy merytoryczne, logiczne, interpretacyjne i metodologiczne można przedstawić na podstawie „wątków amerykańskich” książki. Sposób ich napisania dowodzi, że autor nie rozumie realiów życia politycznego Stanów Zjednoczonych i bardzo łatwo buduje daleko idące teorie na podstawie wyrwanych z kontekstu informacji. Jedną z najpoważniejszych nadinterpretacji w tym zakresie jest rzekoma relacja z „najbliższym amerykańskim współpracownikiem”, czyli byłym senatorem Alfonsem D’Amato. Od pierwszej do ostatniej strony książki Piątek powtarza jakoby D’Amato był najbliższym współpracownikiem Macierewicza w USA. Wszystko to jest opakowane fragmentami o skandalicznych i groźnych powiązaniach rosyjskich D’Amato, które mają prowadzić do GRU (rosyjskiego wywiadu wojskowego) oraz samego Putina. D’Amato w Polsce znany jest przez pryzmat swoich umów lobbujących z Polską Grupą Zbrojeniową, a także powiązań z Rosjanami, które opisał Piątek. Niemniej jednak D’Amato nie jest w USA uznawany za szemranego lobbystę.

Przez trzy kadencje w senacie, w czasie których pracował w prestiżowych komisjach, wyrobił sobie opinię bardzo wpływowego polityka w Nowym Jorku, potrafiącego dogadać się zarówno z republikanami, jak i demokratami. Wydaje się, że D’Amato zna wszystkich i doskonale orientuje się w tajnikach amerykańskiej polityki. Jest szanowanym prawnikiem mającym liczne kontakty z politykami piastującymi najważniejsze funkcje. Do tego stopnia, że budynek sądu federalnego dla wschodniego dystryktu stanu Nowy Jork nosi jego imię (Alfonse M. D’Amato United States Courthouse). Nadano mu ten zaszczytny

tytuł jeszcze za życia patrona, co jest wyjątkowe w amerykańskich realiach. Właśnie tę postać redaktor Piątek posądza o kontakty z Siemionem Mogilewiczem, czołowym rosyjskim gangsterem, i prezentuje w sposób sugerujący jego bliskie kontakty z mafią. Robi to w zasadzie na podstawie dwóch przesłanek. Pierwszą jest zdjęcie D’Amato z przedstawicielem jednej z gangsterskich rodzin nowojorskich, zrobione przy okazji otwartej i publicznej imprezy związanej z usankcjonowanym zwyczajem oraz prawem zbieraniem darowizn na kampanię wyborczą. Drugą przesłanką jest to, że współpracował z prezesem banku, w którym Mogilewicz prał pieniądze. Bez świadomego udziału tegoż prezesa Thomasa Renyi. Wątki związane z jego osobą będą jeszcze dyskutowane dalej.

Opinia „najbliższego amerykańskiego współpracownika Macierewicza” również została ukształtowana na podstawie jednego zdjęcia i jednej strony internetowej. Prawda jest taka, że Macierewicz wziął udział w D’Amato raz w życiu, w czasie słynnego spotkania z senatorem Johnem McCainem w senacie USA, w którym uczestniczył również autor tego tekstu. To właśnie wtedy niespodziewanie pojawił się D’Amato i został zaproszony przez gospodarza. Dla Tomasza Piątka jest to już dowód na „najbliższą współpracę”. A przecież tak naprawdę trudno go nazwać nawet znajomym. Swoją drogą właśnie owa przyjaźń D’Amato z McCainem obala sensacyjne rzekomo wnioski Tomasza Piątka na temat importowania przez USA z Rosji silników rakietowych do satelitów. To właśnie McCain alarmował o tym w styczniu 2016 r. amerykańską opinię publiczną. Wiedział bowiem m.in. od D’Amato, że stopień zależności Stanów Zjednoczonych od Federacji Rosyjskiej w tym zakresie poważnie ogranicza możliwości nakładania sankcji przez Waszyngton na Moskwę za aneksję Krymu i wojnę na Ukrainie. Notabene to jeden z najmocniejszych dowodów fiaska polityki gospodarczej opartej na pełnej liberalizacji handlu międzynarodowego. USA, nie rozwijając stosownej technologii i wolać ją kupować taniej za granicą, w końcu popadły w zależność od swojego najważniejszego politycznego przeciwnika w strategicznym aspekcie własnego bezpieczeństwa.

Elementem drugim jest Edmund Janniger, który założył w charakterze społecznej inicjatywy stronę internetową Friends of

Poland. Jej celem było wsparcie działań dyplomatycznych i promocyjnych, mających na celu wypracowanie jak najkorzystniejszych dla Polski postanowień szczytu NATO w Warszawie w 2016 r. Tomasz Piątek twierdzi, że Edmund Janniger był jednocześnie zarówno doradcą (opcjonalnie: współpracownikiem) Antoniego Macierewicza (co było przedmiotem krytyki w polskich mediach ze względu na jego młody wiek), jak i asystentem D'Amato. W świetle amerykańskiego prawodawstwa sytuacja taka jest niemożliwa. Zgodnie ze słynnym Foreign Agents Registration Act (FARA) Janniger musiałby być zgłoszony jako obcokrajowiec pracujący na rzecz obcego rządu lub będący pod jego wpływem. Gdyby podjął pracę dla D'Amato bez odpowiednich zgłoszeń, byłyby senator popadłby w poważne problemy. A tak się nie stało.

W ramach wspomnianej już umowy z PGZ, biorąc pod uwagę szerokie kontakty D'Amato i reputację, jaką cieszy się w Stanach Zjednoczonych, działaniami na rzecz polskiej racji stanu zajęła się firma Park Strategies, należąca do byłego senatora. Wszystko odbywało się zgodnie z prawem – zarówno amerykańskim, jak i polskim.

elicie. Jeszcze jako poseł często jeździł do USA, gdzie spotykał się m.in. z byłymi doradcami prezydenta Ronalda Reagana z Rady Bezpieczeństwa Narodowego. Regularnie podejmuje amerykańskich kongresmenów i polityków, spotyka się z czołowymi decydentami. Alfonse D'Amato w istocie rzeczy jest jednym z najbliższych współpracowników wspomnianego już Johna McCaina, który powszechnie znany jest ze swojej bardzo krytycznej opinii o polityce rosyjskiej, ich przyjaźń trwa już dziesięciolecia. D'Amato publicznie popierał inicjatywy polityczne oraz kampanie McCaina i zbierał na nie pieniądze. Jak zatem oskarżany przez Piątkę o bycie przedłużeniem rosyjskich służb specjalnych lobbysta może być przyjacielem antyrosyjskiego senatora McCaina? Czyżby amerykańskie służby tego nie zauważyły przez całe dziesięciolecie? Jak najbliższym współpracownikiem polskiego ministra może być ktoś, kogo Macierewicz widział raz w życiu? W jaki sposób może być to traktowane jako dowód związków z rosyjską mafią?

W książce przewija się jeszcze jeden wpływowy amerykański kongresmen,

niedługo później walczył David Bogatin", amerykański przestępca żydowskiego pochodzenia, który wyemigrował z ZSRS w 1976 r. (str. 103). Na str. 118 teza została powtórzona w pełnej krasie: „Pana D'Amato łączą liczne relacje z Thomasem Renyi, który kierował bankiem, gdy pieniądze w nim prał Mogilewicz. Wcześniej Renyi był agentem wywiadu wojskowego w Wietnamie. Czyli tam, gdzie po sowiecko-komunistycznej stronie służył David Bogatin – późniejszy człówek Mogilewicza”. Stosując takie podróże w czasie i przestrzeni, można dowiedzieć, że marszałka von Paulusa i gen. Berlinga łączyły interesy. A to, że von Paulus kapitulował w Stalingradzie w lutym 1943 r., a Berling wszedł do boju z 1. Dywizją Piechoty im. Tadeusza Kościuszki pod Lenino dopiero 12 października tego roku, to nieistotny szczegół. Przecież obaj walczyli na froncie wschodnim.

PIĄTEK JAK KGB?

Takie pisanie à la Erich van Däniken, gdzie wnioski są często wyciągane na podstawie pojedynczych zdjęć, a czas i przestrzeń nie mają znaczenia, nie byłoby może groźne, gdyby nie dwie rzeczy. Po pierwsze, w podobny sposób KGB ukuło fałszywy wizerunek Piusa XII jako papieża Hitlera. Jednym z dowodów na to miały być jego zdjęcia z wodzem III Rzeszy. W sytuacji, kiedy jako sekretarz stanu Stolicy Apostolskiej (czyli minister spraw zagranicznych) negocjował z nim konkordat, a wcześniej był nuncjuszem papieskim w Niemczech, byłoby dziwne, gdyby takich zdjęć nie było.

A po drugie, książka zawiera fałszywe twierdzenia oparte na zmanipulowanych przesłankach i emocjonalnej argumentacji, podważające zaufanie do ministra obrony narodowej. Podobne doświadczenia stały się w niedawnej przeszłości udziałem ministra obrony Szwecji Petera Hultqvista i ministra obrony Niemiec Ursuli von der Leyen. Wszystko w okresie intensywnej wojny informacyjnej i rosnącego napięcia międzynarodowego. W dobie cyberataku na Estonię w 2007 r., inwazji na Gruzję w 2008 r. oraz Ukrainę w roku 2014 oraz w przededniu manewrów „Zapad 2017”. Książka Tomasza Piątkę znakomicie wpisuje się w ten kontekst. Tylko czy autorowi na pewno o to chodziło?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Piątek oskarża Antoniego Macierewicza o osłabianie polskiej armii na rzecz Rosji. Jeśli ma na myśli obecność wojsk amerykańskich w Polsce i zakup pocisków manewrujących dla F-16, to ja bardzo żałuję, że poprzedni ministrowie też nie działali „na szkodę” Sił Zbrojnych RP

Z pewnością było jednym z ważnych czynników, który zdecydował o sukcesie szczytu NATO, takich jak rozmieszczenie w Polsce wojsk amerykańskich, brytyjskich i rumuńskich w ramach wzmocnionej wysuniętej obecności (eFP) NATO i Pancерnej Brygadowej Grupy Bojowej (ABCT). Notabene redaktor Piątek oskarża Antoniego Macierewicza o osłabianie polskiej armii na rzecz Rosji. Jeśli ma na myśli obecność wojsk amerykańskich w Polsce i zakup w USA pocisków manewrujących JASSM-ER dla polskich F-16 o zasięgu ponad 1 tys. km, mogących razić cele głęboko na terytorium Federacji Rosyjskiej, to ja bardzo żałuję, że poprzedni ministrowie też nie działali „na szkodę” Sił Zbrojnych RP w ten sposób.

Co więcej, Antoni Macierewicz utrzymuje wiele kontaktów w amerykańskiej

Dana Rohrabacher, przewodniczący podkomisji ds. Europy, Eurazji i Nowych Zagrożeń w Komisji Spraw Zagranicznych Izby Reprezentantów Kongresu Stanów Zjednoczonych, znany ze swoich prorosyjskich poglądów. Nikt nie jest doskonały, ale tak się składa, że czyni go to jednym z najważniejszych decydentów w zakresie budżetu obronnego USA w części europejskiej. Tym bardziej należało u niego lobbować na rzecz korzystnych dla Polski rozwiązań – czy to przed szczytem NATO, czy po nim, w trwającej wciąż fazie implementacji jego postanowień.

Jednak absolutnie największym „hitem” są analizy dotyczące prezesa Bank of New York, Thomasa Renyiego, które momentami ocierają się o groteskę. Tomasz Piątek potrafi uznać za zbieżność to, że w latach 1968–1970 służył on w wywiadzie w Wietnamie, „czyli tam, gdzie

Autor jest szefem Gabinetu Politycznego Ministra Obrony Narodowej.

MACIEJ PIECZYŃSKI: Stwierdził pan, że nieobecność Hanny Gronkiewicz-Waltz podczas przesłuchań komisji ds. reprivatyzacji to też forma zeznań, tyle że obciążających panią prezydent. Dlaczego PO nie rozstała się jeszcze z tym wizerunkowym balastem?

PATRYK JAKI: Myślę, że powody są czysto pragmatyczne. Po pierwsze, chodzi o to, że Hanna Gronkiewicz-Waltz zatrudniła wielu działaczy PO i odcięcie się od niej oznaczałoby, że stracą pracę. Drugi powód jest taki, że w dzikiej reprivatyzacji brali udział także inni politycy PO i ich rodziny. Istnieje więc obawa, że jeśli spróbują się odciąć od Gronkiewicz-Waltz, to ona wsypie także ich. Dlatego może to być taki typowy układ, który się wzajemnie kryje. Polska nie musi wyglądać jak za PO – czyli że układ kryje układ, nic nie da się wyjaśnić, a złodziejstwa nie da się już cofnąć, bo „prawo nie działa wstecz” etc. Okazuje się, że komisja, którą mam zaszczyt prowadzić, w dwa miesiące zwróciła państwu majątek wart ok. pół miliarda złotych i co posiedzenie odkrywa kulisy złodziejskiej reprivatyzacji. Nowa instytucja w III RP, w którą nikt nie wierzył, tworzy historię i udowadnia, że można budować od podstaw, a nie na zgłiszczach pokrańcówłowych.

Czy komisja zajmie się też sprawą willi przejętej przez Wojciecha Jaruzelskiego?

Poprosiłem w trybie pilnym o dokumenty w tej sprawie, prawdopodobnie komisja się nią zajmie. Nikt nie ucieknie od odpowiedzialności.

„Gazeta Wyborcza”, komentując pańskie ostre słowa po gwałcie w Rimini, nazwała pana „wice-ministrem zemsty narodowej”.

Gdyby „GW” pisała o mnie pozytywnie, to miałbym powody do zmartwień, bo to by znaczyło, że coś ze mną jest nie tak. Krytyka ze strony najważniejszej „twierdzy establishmentu” świadczy, że dobrze wykonuję swoją pracę. To tak naprawdę dyskusja o polityce karnej państwa. Nie ukrywam, że w tej sprawie zawsze byliśmy w kontrze do środowisk liberalnych. Pomysł na sądownictwo według ich antyautorytetów prawnych to niskie kary, duże możliwości orzekania wyroków w zawieszeniu czy instytucja nadzwyczajnego złagodzenia kary etc. Efekty tego podejścia są takie, że za przestępstwo, za które w USA czy nawet w niektórych krajach Unii można dostać dożywocie, w Polsce odsiadka trwa w praktyce kilka lat. I to nie jest



Z Patrykiem Jakim, wiceministrem sprawiedliwości rozmawia Maciej Pieczyński

PRL-bis jest potężny i wpływowy

nawet kwestia zapisów Kodeksu karnego. Problem tkwi głębiej – w sposobie myślenia o polityce karnej, w liberalnej linii orzeczniczej. Zwykli Polacy piszą w Internecie, że chcą tylko, aby na przykład ci zwyrodnialcy z Rimini znaleźli się w polskim więzieniu. Dlaczego? Ponieważ są przekonani, że w Polsce tylko ze strony innych więźniów mogliby liczyć na adekwatną karę. Ludzie myślą, że dziś sprawiedliwą karę mogą wymierzyć tylko przestępcy, a nie państwo. Za ten paradoks odpowiedzialne są lewicowo-liberalne elity prawnicze III RP. Narzucały przez lata poprawnościową politykę karną, która jest tak pobłażliwa wobec przestępców, że kłóci się ze zdrowym rozsądkiem. Zresztą jednym wielkim aktem oskarżenia wobec tych elit jest ośrodek w Gostyninie. Dzisiaj to miejsce, które pozwala odseparować groźnych przestępców od uczciwych ludzi, bo... za szybko skończyły im się kary.

Jest pan zwolennikiem kary śmierci, ale podkreśla pan, że to tylko prywatne zdanie Patryka Jakiego. Widzi pan szansę, by kiedykolwiek ta opinia mogła stać się projektem oficjalnie forsowanym przez Zjednoczoną Prawicę?

FOT. BARTŁOJMYK / POLSKA PRÉSSE / P&P NEWS



Jestem stosunkowo młodym politykiem, i jeżeli wyborcy będą mnie wciąż obdarzali takim zaufaniem jak do tej pory, to jestem przekonany, że przyjdzie taki czas, kiedy w Unii Europejskiej głos społeczeństwa będzie lepiej słyszany przez elity. Nieskuteczność wymiaru sprawiedliwości wynika z poprawności politycznej, a ta jest problemem nie tylko Polski, lecz także całej UE. Europejska polityka karna stała się na głowie, jest absurdalna. Można bez końca wymieniać przykłady: więźniowie dostają odszkodowania za złe warunki w celi (np. Breivik) albo sami układają sobie jadłospis, czego nie mają np. pacjenci szpitali czy podopieczni domów pomocy społecznej... Jestem przekonany, że za jakiś czas zostanie osiągnięta masa krytyczna i Europa będzie zmuszona do przemyślenia na nowo postulatów zaostrzenia kar, włącznie z wprowadzeniem kary śmierci.

Miriam Shaded stwierdziła, że gwałtcielowi powinno się odbierać ich „narzędzie zbrodni”. Co pan na to?

Kastracja chemiczna jest pomysłem do dyskusji o polityce karnej rzuconym i niezrealizowanym przez Donalda Tuska. Myślę jednak,

że nie trzeba byłoby po nią sięgać, gdyby ta polityka była skuteczna. I jest na to szansa, bo 1 października rusza rejestr pedofilów. Jesteśmy przez środowiska lewicowe krytykowani za „piętnowanie przestępców”, a my przecież konsekwentnie wprowadzamy narzędzia, dzięki którym nie będziemy już słyszeć relacji typu „koło mojego dziecka kręcił się jakiś pedofil, a ja nawet o tym nie wiedziałem”.

„Mądra dziewczynka pilnuje drinka” – to hasło kampanii informacyjnej ostrzegającej przed pigułką gwałtu. Według lewicy – hasło seksistowskie.

Jeśli ktoś wychowywał się w normalnym środowisku, to nie jest w stanie zrozumieć tego lewackiego bełkotu. Nie potrafię pojąć, jak słuszną kampanię, ostrzegającą przed realnym zagrożeniem, można mieszać z ideologią?! Ręce opadają.

Był pan orędownikiem ścigania za używanie określenia „polskie obozy koncentracyjne”. Ma pan więc świadomość, że w temacie poprawy naszego wizerunku za granicą jest o co walczyć. Nie żał panu, że Polska Fundacja Narodowa, która do tej walki została powołana, wydaje pieniądze na promocję inicjatywy partyjnej, jaką jest reforma sądownictwa?

PFN ma przede wszystkim dbać o wizerunek Polski, a to, co działo się w przestrzeni publicznej w lipcu w związku z reformą sądownictwa, duża kampania dezinformacyjna spowodowała, że ten wizerunek został naruszony. Dlatego PFN rozpoczyna działania zagraniczne i krajowe, by ten stan rzeczy zmienić. Szef PFN zapewnił, że będzie organizował kampanie adresowane również do odbiorcy zagranicznego, fundacja ma bronić wizerunku Polski za granicą, a ten wizerunek znacząco ucierpiał na skutek szerzenia dezinformacji o reformie sądownictwa. Być może cała ta kampania informacyjna jest spóźniona, co jednak nie zmienia faktu, że jest to temat na tyle ważny dla milionów Polaków i całego państwa, że warto to rozważyć.

W tym tygodniu poznamy projekty prezydenckich ustaw reformujących sądownictwo. Myśli pan, że tym razem prezydent, używając pańskiego języka, „nie wymięknie” i zaproponuje głębokie zmiany?

Zobaczmy. Przekonany nie jestem. Mam pewne obawy, patrząc na to, jakich pan prezydent wybrał sobie doradców.

Profesora Królikowskiego nazwie pan też „liberalnym antyautorytetem prawniczym”?

On ma wysokie kompetencje, ale jest przedstawicielem takiego nurtu myślenia o polityce karnej, z jakim się fundamentalnie nie zgadzam. Jako wiceminister w rządzie Platformy storpedował nasz projekt zastraszający kary za gwałt. Poza tym przygotował projekt skrócenia okresu przedawnienia wszystkich przestępstw – w tym najcięższych zbrodni – z dziesięciu do pięciu lat. To spowodowało, że uchylono np. sześć zarzutów zabójcy Pershinga i wielkie problemy organów ścigania. Przestępcy mogli mu tylko podziękować. Wprowadził też tzw. kontrybucyjność, przez co radykalnie spadła liczba aktów oskarżenia wobec osób mających problemy z prawem. Jeżeli pan prezydent lub ktoś z jego otoczenia nagle zaczął podzielać te poglądy na politykę karną państwa – to jest to radykalnie sprzeczne z naszym programem.

wy, złogi postkomunistyczne stawiają silny opór. Nie da się go złamać bez odwagi w działaniu i pójścia pod prąd.

Paweł Kukiz twierdzi, że prezydent Duda weźmie pod uwagę jego propozycję „kontroli obywatelskiej nad sądami”. Jeśli udział Kukiza w nowych ustawach będzie duży, uzna to pan za kapitulację?

Wystarczy się przyjrzeć działaniom Pawła Kukiza i jego ludzi w Sejmie. W kluczowych sprawach głosują tak jak Platforma. Głosowali przeciwko komisji weryfikacyjnej rozliczającej złodziejską repriwatyzację. W samej komisji przedstawiciel tego ruchu regularnie głosuje przeciwko ukaraniu grzywną Hannę Gronkiewicz-Waltz. Kukizowcy mają usta wypchane radykalizmem, ale kiedy przychodzi moment próby, to wymiękają. Posługują się przyjemnym dla ucha słowem kluczem „obywatelskość”. Co to oznacza? Chcą np. wprowadzić wybieranych w wyborach powszechnych sędziów

dobrej zmiany mogły go drażnić. Pańskie słowa też.

Szanuję pana prezydenta. W polityce jest się jednak po to, by realnie zmieniać państwo, a nie żeby zaznaczać swoją pozycję. Ponieważ tak się działa dla siebie, a nie dla państwa. Powinniśmy służyć ludziom, a nie kłócić się między sobą, kto jest ważniejszy.

Dalej pan myśli, że minister Łapiński powinien „zmienić pracę i wziąć kredyt” czy tylko wyjechać na wakacje?

Powtarzam: Krzysztof Łapiński w sposób obcesowy zaatakował kobietę, panią premier, a ja czułem się w obowiązku stanąć w jej obronie. Wcześniej zaczęli też nas w TVN. Zapomnijmy już o tym. Mnie zależy teraz na tym, byśmy dla dobra państwa się porozumieli, również z ośrodkiem prezydenckim.

Jak muszą wyglądać nowe propozycje reformy, żeby – cytując ministra Ziobrę – w Ministerstwie Sprawiedliwości uznano, że prezydent Duda wybrał „wielkość”, a nie „groteskę”?

Minister Ziobro ma za sobą realny dorobek, jeśli chodzi o zmiany w wymiarze sprawiedliwości, ponad 50 ustaw reformujących ten obszar, świetne wyniki w ściganiu przestępstw VAT-owskich czy widoczne efekty „konfiskaty rozszerzonej” zastosowanej wobec przestępców. Dlatego jeśli chce się z kimś rozmawiać o zmianach w wymiarze sprawiedliwości, to właśnie powinien być to człowiek z realnym dorobkiem, taki jak minister Ziobro, a nie jak pan Królikowski, który nie skończył nawet zmiany dotyczącej małych sądów. Dlatego jest oczywiste, że nie zgodzimy się na żadne pudrowanie sądownictwa. Przez 28 lat istnienia III RP wprowadzano tylko pozorowane zmiany. Dla nas istotne są fundamentalne zmiany o charakterze ustrojowym. Przede wszystkim chcemy, by została wprowadzona zewnętrzna procedura postępowania dyscyplinarnego. Teraz korporacja się sama rozlicza, a kruk krukowi oka nie wykole. Tyle się już o tym mówi, a sędziowie dalej nie wyciągają wniosków, np. ostatnio awansowali sędziego od dzikiej repriwatytacji etc. Co jeszcze musi się wydarzyć, aby ludzie zrozumieli, że potrzeba szarpnąć cuglami w sądownictwie. Sądy dziś traktują obywateli jak podwładnych. To musi się zmienić. Sądy mają służyć obywatelom i pomagać im sięgać po sprawiedliwość.

Wystarczy się przyjrzeć działaniom Pawła Kukiza i jego ludzi w Sejmie. W kluczowych sprawach głosują tak jak Platforma. Kukizowcy mają usta wypchane radykalizmem, ale kiedy przychodzi moment próby, wymiękają

Prezydent przeprowadził w sprawie reformy sądownictwa konsultacje z przedstawicielami wszystkich klubów parlamentarnych. Wy nie szukaliście takiego porozumienia.

Szukaliśmy. Jednak z drugiej strony twardo chodzimy po ziemi. Mieliśmy od początku świadomość, że istnieje kilka takich obszarów funkcjonowania państwa, o których reformowaniu bardzo ciężko będzie rozmawiać z opozycją. A dlaczego? Dlatego że opozycja broni toczących te obszary patologii. Jeśli ktoś uważa, że można tu zawrzeć kompromis i jednocześnie zadbać o zdrowie tętnice państwa, to w mojej ocenie jest naiwny. Takie „kompromisowe” dyskusje toczą się od 28 lat – i ciągle jesteśmy w tym samym miejscu, bo nikt nie ma odwagi podjąć decyzji.

Zmiany personalne, wyrzucanie sędziów – to się zwykłymi ludziami podoba. Spektakularne i efektowne.

Jakiegokolwiek zmiany w sądownictwie wywołują wściekły hejt ciągle najsilniejszych medialnie środowisk III RP. Wciąż ten PRL-bis jest u nas potężny i wpływo-

pokoju, orzekających w najprostszych sprawach. To dobry pomysł, ale wymaga zmiany konstytucji. Jeżeli ktoś mi mówi, że zamierza radykalnie uzdrowić sądownictwo poprzez wprowadzenie kolejnej struktury – sędziów, którzy będą orzekać w sprawie ukradzionego wiadra – to mówiąc delikatnie, jest to żart. Reforma to coś znaczenie szerszego.

Kukiz mówił o potrzebie utworzenia ruchu wspierającego prezydenta. Jednym z nazwisk, które padały w tym kontekście, było nazwisko wicepremiera Gowina, który – co znamienne – zadeklarował głosowanie w obronie prezydenckich wet, za których odrzuceniem pan się opowiedział. Będzie rozłam?

Oby nie. Ludzie, którzy dziś podejmowaliby jakieś ruchy w kierunku rozłamu większości rządowej, działaliby jak targowica. To przez nich PO wróciłaby do władzy.

Dziwi się pan prezydentowi, że postanowił się bardziej usamodzielniać? To w końcu głowa państwa, a niektóre wypowiedzi polityków obozu

Prezydencki show i jego widzowie z PiS



FOT. MACIEJ ŁUCZKIEWSKI/REPORTER



Piotr Semka

Andrzej Duda za chwilę wyciągnie politycznego królika z kapelusza. Jak dobry showman stopniuje napięcie. Jak sprawny PR-owiec prowadzi politykę uśmiechów. 25 września zostaną ogłoszone prezydenckie projekty ustaw o sądownictwie

Prawo i Sprawiedliwość – dawna partia pana prezydenta – czeka na prezydencki show z mieszaniną pragmatyzmu i irytacji. Jedni zachęcają, by ułożyć sobie nowe dobre relacje z głową państwa. Inni ostrzegają, że zgoda na pozór reformy sądów zemści się na obozie dobrej zmiany. A jeszcze inni odpędzają od siebie wizję rozvodu na linii prezydent – PiS, wiedząc, że ich wyborcy nie są na to gotowi. Po raz pierwszy od 2015 r. partia rządząca czeka na ruch prezydenta z ogromnym napięciem.

PiS to partia Jarosława Kaczyńskiego. To jego komunikaty mówią od ponad 17 lat członkom partii, czy jest dobrze, czy źle.

Tyle że akurat teraz, po 2,5-godzinnym belwiderskim spotkaniu prezydenta z liderem PiS, nie dało się usłyszeć niemal nic. Ot, oficjalny komunikat, o tym, że spotkanie przebiegało w bardzo dobrej atmosferze. Jednocześnie na spotkaniu gospodarz nie przedstawił projektu ustaw.

Kaczyński trafnie wyczuł, że w tej chwili najważniejsze jest uspokojenie emocji. Wbrew lubianemu przez opozycję wizerunkowi furiata wykazał, że potrafi

trzymać emocje na wodzy. Choć przecież nie obyło się bez drobnych demonstracji. Współpracownicy prezesa wskazują, że wbrew informacjom z dworu prezydenta nieprawdą jest, że spotkanie odbyło się na prośbę prezesa PiS. Jeszcze bardziej małostkowy był tweet doradcy prezydenta Marcina Kędryny, który krótko przed przybyciem Kaczyńskiego do Belwederu umieścił na Twitterze zdjęcie kanapy przed jednym z prezydenckich gabinetów, co uznano za aluzję do „Ucha prezesa”.

Skąd tak chłodna krew Kaczyńskiego? W PiS tłumaczy się to wyjątkowo delikatną sytuacją rządzącej partii. Nikt nie chce zepsuć wyjątkowo dobrych sondaży, nawet za cenę złagodzenia ostrości ustaw. Prezes PiS ma mieć też świadomość wysokich notowań prezydenta i jego popularności w elektoracie PiS-owskim.

Jednak starsi stażem politycy PiS przypominają polityczną naukę, którą dostał Kaczyński w latach 1991–1993. Chodzi o jego polityczne zerwanie z prezydentem Lechem Wałęsą, które długo było niezrozumiałe dla wyborców Porozumienia Centrum – ówczesnej partii Kaczyńskiego. Rozejście się najśłynniejszego elektryka z braćmi Kaczyńskimi sprawnie wykorzystali wtedy ich rywale, lansując chwytliwą tezę, że bliźniacy wydali wojnę Wałęsie, bo ten nie chciał być ich bezwolnym narzędziem. Teraz media III RP mogłyby powtórzyć ten manewr:

Jednak z Nowogrodzkiej przedostał się ponoć do czołówki PiS komunikat-zabezpieczenie. Jeśli projekt prezydenta będzie naprawdę trudny do zaakceptowania – to można spowolnić prace nad nim lub odłożyć do sejmowej zamrażarki. Wtedy zwycięży logika – lepiej, żeby reformy nie było, niż żeby PiS ją firmował, a potem płacił polityczną cenę za to, że w sądach zmieni się niewiele. Prezydent będzie musiał się potem tłumaczyć przed elektoratem PiS z zastopowania zmian. Kaczyński na razie chce poznać nastroje w partii. Temu mają służyć spotkania prezesa z posłami poszczególnych województw.

Prezes PiS może swoją obecną taktykę powściągliwości budować na jeszcze jednym założeniu. Dzisiaj w ewentualnym sporze z prezydentem PiS wypada źle. Jednak w przyszłym roku Andrzej Duda będzie musiał szukać porozumienia z PiS, jeśli chce pomocy w zorganizowaniu referendum konstytucyjnego z ważnym kworum. I wtedy lider PiS będzie mógł rozmawiać z gospodarzem Belwederu ze znacznie innej, mocniejszej pozycji.

W naturalny sposób z największym zainteresowaniem na przyszły projekt ustaw prezydenta patrzy Ministerstwo Sprawiedliwości ze Zbigniewem Ziobrą. Na nich posypała się krytyka za treść ustaw lipcowych i obdarzenie w projektach zbyt dużą władzą ministra nad sędziami.

Według „ziobrystów” prezydent mija się z prawdą, sugerując, że nie znał obu projektów. O ile w wypadku projektu ustawy o Sądzie Najwyższym komunikacja zawiodła (z winy obu stron), o tyle ustawa o KRS była według nich przedstawiona Kancelarii Prezydenta, a decyzja o wecie obu ustaw była efektem nagłego impulsu.

ROZLICZANIE ZE SKUTECZNOŚCI

Zimna wojna trwa. Kancelaria Prezydenta w dość demonstracyjny sposób uchyliła się od konsultacji z Ziobrą. A w delegacji klubu PiS, która spotkała się z prezydentem 13 września, znalazło się miejsce dla Arkadiusza Mularczyka, który nie jest nawet w prezydium klubu, ale zabrakło miejsca dla Ziobry. Trudno nie postrzegać tego jako chęci liderów PiS niezaogniania relacji z głową państwa. Z drugiej strony prezydent spotkał się z delegacją klubu PiS na takich samych zasadach jak z innymi klubami. Słowem, zimny, wystudiowany wersal.

**Nikt nie chce zepsuć
wyjątkowo dobrych sondaży,
nawet za cenę złagodzenia
ostrości ustaw**

W tej sytuacji „ziobryści” mogą jedynie reagować na przecieki na temat kształtu nowej ustawy, opierając się na wywiadach prof. Michała Królikowskiego, doradcy Andrzeja Dudy. Już sama postać nowej gwiazdy z orbity prezydenta jest antytezą Ziobry. Prymus ze środowiska wydziału prawa Uniwersytetu Warszawskiego, ulubieniec prof. Zolla, w swych wywodach dość mocno broni środowiska, sugerując, że patologie w tych kręgach są, ale pozostają marginesem. W niedawnym wywiadzie dla „Laboratorium Więzi” przytaczał dość przerysowaną anegdotę, jak to ponoć samo wypowiedzenie hasła „Cicho, bo przyjdzie Zbycho” miało wywołać paniczny strach na szkoleniu dla sędziów i prokuratorów.

Obawy „ziobrystów” na temat nowych ustaw dotyczą trzech, w ich opinii błędnych, kierunków zmian.

Po pierwsze w ich opinii Królikowski przecenia wagę zmian instytucji, a nie docenia znaczenia zwykłej wymiany sędziów w SN i KRS. Po drugie wskazują, że wyrugowanie z SN jedynie sędziów mających ponad 65 lat nic nie da.

W środowisku są o wiele młodszy sędziowie, których zachowania stały się dla sporej części opinii publicznej symbolem silnego zaangażowania po jednej ze stron sporu politycznego w Polsce. Przypominają, że najbardziej bulwersujące wyroki z ostatnich lat, takie jak uniewinnienie Beaty Sawickiej, wyroki w tzw. aferze Colloseum czy Tomasza Turowskiego – to decyzje sędziów z grupy wiekowej ok. 50–60 lat.

Kolejne obawy to zgoda na wchodzenie do izby dyscyplinarnej dotychczasowych sędziów z SN i wreszcie głębokie przekonanie, że wybór KRS przez sejmową większość 3/5 wypromuje kandydatów nijakich, którzy nie będą mieli determinacji do zmian na lepsze w środowisku sędziowskim.

„Jeśli teraz nie skorzystamy z okazji do radykalnych zmian, skończy się na pudrowaniu tego, co jest. A kolejna okazja do zmian nie przydarzy się szybko” – mówi jeden ze współpracowników Ziobry.

CZAS CENTRYSTÓW

Zupełnie inne spojrzenie na sprawę mają „modernizatorzy” z szeroko rozumianej koalicji wokół PiS, z których najwyraźniej spore nadzieje na ustawy prezydenckie demonstruje Jarosław Gowin. W PiS kojarzy się go z Mateuszem Morawieckim. Obecny minister szkolnictwa wyższego nie kryje, że projekty Ziobry były mu obce i głosował za nimi „bez uśmiechu”. Nie ukrywa też, że wspiera jak może swojego byłego zastępcę z rządu Tuska, prof. Królikowskiego. Subtelnie daje do zrozumienia, że był konsultowany w sprawie zmian przez Andrzeja Dudę.

Przy tej optyce istotna część winy za kryzys lipcowy składana jest na karb braku koordynacji działań z prezydentem, lekceważenie jego prerogatyw i wreszcie słabej jakości projektów Ziobry.

Jednocześnie Gowin jak może rozwiewa obawy przed partią prezydencką, wskazując, że taki projekt nie istnieje. A gdyby zaistniał, byłby samobójczy dla samego Dudy, gdyż znacznie osłabiłby szanse jego reelekcji.



Narracja o „Zbyszku, który wpłatał nas w kłopoty” dobrze komponuje się z obiektywnymi kiksami PiS – choćby aferą z billboardami, które miały wzmocnić poparcie dla zmian w sądach. Także ostatnie wysoki wiceministra Patryka Jakiego nie służą pozycji Ziobry. Wszystko to pozwala utrzyć nosa rywalowi, ale taktownie pomija ważny element wydarzeń z lipca. To Kaczyński zaakceptował parlamentarny blitzkrieg. Przewidywał, że konsultacje z prezydentem mogły tylko rozmiękczyć projekty, i uznał, że Andrzej Duda nie zdecydował się na weto. Jednak jak wiadomo, krytykowanie prezesa w PiS nigdy dobrze się nie kończy, pozostaje więc Ziobro jako wygodny symbol odpowiedzialności za lipcowy kiks.

Silnym argumentem „modernizatorów” na rzecz prezydenta jest to, że dzięki wecie PiS wykonał znów ruch w kierunku centrowego elektoratu, który w 2018 r. będzie bardzo potrzebny PiS w wyborach samorządowych, szczególnie w bataliach o prezydenturę wielkich miast. A jak się zastrzegają PiS-owcy, jeśli projekt prezydenta będzie naprawdę nie do przyjęcia, zawsze będzie można odstąpić od zmian i uspokoić nastroje.

Tyle że korporacja sędziowska znów przetrwa, jest niezwykle sprawna i zdeteminowana – odbija piłkę kolejna frakcja, PiS-owscy „tożsamościowcy”.

ŻEBY BYŁO TAK, JAK BYŁO – Z PAD

„Ziobryści” i „modernizatorzy” to elitarne grupy z najwyższych politycznych półek PiS. A co myślą posłowie z drugiego i trzeciego szeregu ław w Sejmie? Tu też panuje polaryzacja.

Posłowie – PiS-owscy „tożsamościowcy” – nie kryją, że po kryzysie lipcowym uważają już Andrzeja Dudę za czynnik zewnętrzny. To w tych kręgach chętnie słucha się o presji, jaką na prezydenta mieli wywierać znajomi z kręgów uniwersyteckich czy rodzina żony. „Owszem, PiS i prezydent są skazani na siebie” – mówi jedna z posłanek. Tylko że po lipcowym wecie już nigdy nie będziemy pewni, jak Andrzej Duda zachowa się w sytuacji kryzysowej. A nie wiadomo, w jaki sposób w przyszłości grać będą ci,

którzy zauważyli chwiejność prezydenta i będą wymyślać kolejne polaryzujące konflikty.

„Tożsamościowcy” po prostu nie wierzą w zdolność głowy państwa do prowadzenia skutecznej, samodzielnej polityki. Boją się, że wybijanie się prezydenta na niepodległość zastępuje zmiany i skończy się porażką pozbawionego zaplecza prezydenta.

W kręgach smoleńskich zauważa się też brak Andrzeja Dudy na miesięcznicach smoleńskich. 10 września na twitterowym koncie Kancelarii Prezydenta ukazało się zdjęcie urzędnika Adama Kwiatkowskiego, gdy składa kwiaty pod tablicą ku czci Lecha Kaczyńskiego w kaplicy pałacu. „Dlaczego tych kwiatów nie mógł złożyć sam prezydent? – pyta jeden z posłów. – Tak trudno zejść piętro niżej?” Jeszcze inny poseł zauważa: „Trzeba przyjąć do wiadomości, że prezydent co pewien czas będzie nam fundował weto. Jeśli będzie zdarzało się rzadko – można liczyć na jakies modus vivendi. Jeśli uległość wobec salonu będzie coraz częstsza – prezydent nie będzie mógł liczyć na poparcie w następnych wyborach”.

Jednak w Prawie i Sprawiedliwości są też posłowie, którzy z całego serca modlą się o zgodę na linię prezes – duży pałac.

„Ogromne poparcie dla PiS wynika z tego, że zwolennicy Antoniego Macierewicza i Andrzeja Dudy obdarzają obie te osoby równoczesnym zaufaniem. Moi wyborcy nie rozumieliby naszej wojenki z głową państwa” – słyszę od posła ze „Ścian wschodniej”. Inny polityk PiS mówi: „Nawet jeśli prezydent osłabi skalę zmian, to warto to zaakceptować. Teraz wykonamy tylko mały krok, ale ważny, by iść

dalej w reformowaniu państwa. Prezydent będzie nam potrzebny do kolejnych zmian”.

POLITYKA UŚMIECHÓW

Środa 13 września była dniem konsultacji prezydenta z klubami. Delegacja PiS wyszła z pałacu w dobrych nastrojach. Posłowie Kukiz'15 wspomnieli o pomysłach na wysuwanie kandydatów do KRS przez grupy obywateli i sędziów.

Dwie największe partie opozycji przedstawiły z kolei po spotkaniach bardzo odmienne stanowiska. Grzegorz Schetyna zaprezentował się wręcz jako obrońca integralności prezydenckiego projektu przed zakusami PiS. – Bierzymy pod uwagę wariant, że projekty złożone przez pana prezydenta mogą ulec poważnej zmianie dokonanej przez parlamentarną większość. Usłyszeliśmy, że pan prezydent gwarantuje jakość tego procesu i tego projektu. Jeśli praca legislacyjna w Sejmie pójdzie w tę stronę, z jaką mieliśmy do czynienia przy ostatnich projektach, które zakończyły się wetem, powtórnie jest w stanie zawetować te ustawy – mówił po spotkaniu Schetyna. Platformersi nie byłiby jednak sobą, gdyby nie spróbowali nowej gry. Wezwali, by prezydent zwołał Radę Bezpieczeństwa Narodowego, która zajęłaby się pseudo-sensacjami z książki Tomasza Piątka. Prezydent „ma rozważyć” ten pomysł.

Zupełnie inny ton zabrzmiał w ustach Ryszarda Petru. – Potwierdziły się nasze najgorsze obawy. Mianowicie propozycje prezydenta, jakie wynikają z tych konsultacji, są takie, że polityczną rolę ministra sprawiedliwości prokuratora generalnego zastąpi prezydent – mówił Ryszard Petru. Lider Nowoczesnej podkreślił, że w trakcie rozmów zwracał uwagę prezydentowi, że propozycje, które chce przedłożyć, są niekonstytucyjne. – Zmiany idą w kierunku, który nie tak dawno zawetował – ocenił lider Nowoczesnej.

Ten ostatni zarzut zabrzmiał dość wyzywająco. Powinien przypomnieć głowie państwa, że pojęcie, co jest niekonstytucyjne, to oręż, po który może sięgnąć każdy. Dzisiaj gromi nim Zbigniew Ziobro profesor Królikowski. Za chwilę znów może zagrać nim opozycja. Na razie prezydent może uprawiać politykę uśmiechów, gdyż projektu jeszcze nikt nie zna.

Dokładnie za tydzień Andrzej Duda zacznie zdawać najtrudniejszy egzamin ze skuteczności swojej polityki.



Kamila Baranowska

Politycy PiS twierdzą, że pójście prezydenta Andrzeja Dudy na otwarte zwarcie z rządem to efekt słuchania złych doradców. Kogo konkretnie mają na myśli?

Od momentu, gdy prezydent zawetował dwie ustawy dotyczące reformy sądownictwa, idąc tym samym na zwarcie z rządem i macierzystą partią, w przestrzeni publicznej pojawiła się cała masa bardziej lub mniej prawdopodobnych domysłów, kto przyczynił się do decyzji głowy państwa. Z kim Andrzej Duda konsultował swoje stanowisko i czyich rad słuchał? Czy byli to ludzie z jego najbliższego pałacowego otoczenia, czy może ktoś z zewnątrz?

W kontekście ekspertów, którzy mają prezydentowi doradzać przy pisaniu nowych projektów ustaw o Sądzie Najwyższym i Krajowej Radzie Sądownictwa, najczęściej pojawiającym się nazwiskiem jest prof. Michał Królikowski – prawnik, adwokat, były współpracownik Jarosława Gowina i wiceminister sprawiedliwości w czasach, gdy Gowin szefował temu resortowi w rządzie PO-PSL. W ostatnich tygodniach prof. Królikowski chętnie udziela wywiadów, w których przedstawia swoją wizję naprawy wymiaru sprawiedliwości. Można się zastanawiać, czy robi to z polecenia prezydenta, by zobaczyć, jaka będzie reakcja społeczna na propozycje konkretnych rozwiązań prawnych, czy jest to jego samodzielna inicjatywa. Tak czy owak wizja naprawy wymiaru sprawiedliwości, którą prezentuje w mediach prof. Królikowski, jest dziś utożsamiana z tym, co może się znaleźć w prezydenckich projektach. Dodajmy, że jest to wizja, która niespecjalnie odpowiada Ministerstwu Sprawiedliwości, kierowanemu przez Zbigniewa Ziobrę.

Z naszych ustaleń wynika, że prof. Królikowski był proszony o opinię na temat projektów ministra Ziobry, które trafiły na biurko prezydenta dwa miesiące temu. I nie krył wówczas swojego krytycyzmu wobec części zawartych tam rozwiązań. Wyłożył to zresztą w udzielonym wtedy dla „Do Rzeczy” wywiadzie.



Wszyscy ludzie prezydenta

– W przyjętej reformie wymiaru sprawiedliwości nie widzę zupełnie środka naprawy jego słabości, choć pragnę, by mimo wszystko wyszło z tego coś dobrego. Sam jednak szukałbym rozwiązań bardziej roztropnych, wstrzemięźliwych i szanujących instytucje naszego państwa. Na tym dla mnie polega cnota prawidłowego sprawowania władzy i odpowiedzialność, jaką narzuca sprawowany urząd – mówił.

KTO WBIJA SZPILE

Chociaż Duda i Królikowski dobrze się znają, pośrednikiem w ich kontak-

tach był Jarosław Gowin. Dzisiaj zresztą Gowin publicznie chwali się tym, że prezydent rozmawiał z nim o ustawach Ziobry, jeszcze zanim je zawetował i teraz też pozostaje z nim w stałym kontakcie. W Pałacu Prezydenckim śmieją się jednak z tego typu opinii, traktując je w kategoriach autopromocji. Faktem jest jednak, że Jarosław Gowin jest ostatnio częstym gościem na Krakowskim Przedmieściu i dziś już otwarcie wspiera działania prezydenta.

Osobą odpowiedzialną w pałacu za ostateczny kształt ustaw o Sądzie Najwyższym i KRS jest Anna Surówka-Pasek,



Krzysztof Łapiński (z lewej) stanął na pierwszej linii frontu walki z ziołbrystami. FOT. MICHAŁ DYJUK/FORUM

prawnik, konstytucjonalistka. Tak jak wielu najbliższych współpracowników prezydenta jest z Krakowa. Politycy PiS narzekają na nią, że jest zbyt zachowawcza, co nie wróży dobrze reformie sądownictwa.

– Jest bardzo krakowska, lubi szukać dziury w całym. Pamiętam takie spotkanie z przedstawicielami rządu, w którym brała udział i na którym była główną hamulcową, ciągle mówiła, że czegoś się nie da. Trzeba było prosić o interwencję prezydenta i nagle się okazało, że się jednak da – opowiada jeden z polityków PiS.

– Ta ostrożność czy zachowawczość, która dla PiS jest wadą, w przypadku projektów ustaw o sądownictwie może być zaletą. Zwłaszcza że kształt obu projektów będzie i tak ostatecznie zatwierdzał prezydent, też prawnik – mówi z kolei osoba z pałacu.

Czarnym ludem, odsądzanym dziś od czci i wiary, zwłaszcza przez najbardziej zagorzałych zwolenników PiS, jest Krzysztof Łapiński, od maja minister w Kancelarii Prezydenta, pełniący także funkcję rzecznika głowy państwa. To on stanął na pierwszej linii frontu walki z ziołbrystami. Jego słowne przepychanki z wiceministrem sprawiedliwości Patrykiem Jakim czy posłem Markiem Suskim sprowo-

kowały pytania, na ile to, co mówi, jest realizacją wytycznych prezydenta, a na ile jego własną inwencją twórczą. Echem odbiły się zwłaszcza jego słowa dotyczące premier Beaty Szydło. Zapytany o to, czy prawdą jest, że prezydent domagał się od pani premier dymisji szefa MON Antoniego Macierewicza, Łapiński odparł, że „jeśli prezydent miałby oczekiwanie co do zmian w składzie Rady Ministrów, to na pewno by je wyraził prezesowi PiS Jarosławowi Kaczyńskiemu”.

Za to stwierdzenie posypały się na niego gromy ze strony polityków i sympatyków PiS oraz pani premier. On sam konsekwentnie twierdzi, że wszystko, co mówi, mówi zawsze jako rzecznik prezydenta. – Ja staram się pilnować i nie wychodzić poza to, co mi zostało wyznaczone przez mojego zwierzchnika – stwierdził w radiowej Trójce. – Ja jestem rzecznikiem prezydenta i ministrem w Kancelarii Prezydenta i moim zadaniem jest zakomunikować decyzje prezydenta, stanowiska, ewentualnie oczekiwania – dodawał.

W pałacu można usłyszeć, że rzeczywistość to prezydent wyznacza kierunki komunikacji, więc skoro minister Łapiński wbił szpilę premier Beacie Szydło, to znaczy, że zostało to uzgodnione wcześniej z prezydentem. – To przecież oczywiste, że prezydent nie dyktuje mu słowo w słowo, co ma mówić, ale ogólny wydźwięk jest uzgadniany – twierdzi jeden z naszych rozmówców.

Inna sprawa, że – jak słyszymy – głowie państwa zdarza się zmienić zdanie i coś, co ustali rano z rzecznikiem lub innym współpracownikiem, wieczorem okazuje się nieaktualne. – Najczęściej wtedy, gdy mleko jest już rozlane, a reakcja opinii publicznej jest inna, niż się prezydent spodziewał – precyzuje jeden ze współpracowników.

KORZYŚCI Z KONFLIKTU

W PiS nabrzmiało wiele różnych teorii spiskowych dotyczących tego, że za wetami prezydenta stoi właśnie Łapiński wspólnie z Marcinem Mastalerkiem, byłym rzecznikiem PiS, który odpowiadał za dwie zwycięskie kampanie wyborcze w 2015 r. Mastalerek, który odszedł z polityki w wyniku konfliktu z prezesem Kaczyńskim, dziś ma doradzać prezydentowi w kwestii wizerunku. – To taka klasyczna PiS-owska narracja. Jak w partii nie potrafią czegoś wytłumaczyć, to na pewno ktoś się na kimś za coś mści.

Czarno-białe odpowiedzi w polityce są zawsze mile widziane, bo nie komplikują zanedo rzeczywistości – drwi jeden z polityków, któremu bliżej do Dudy.

Przy Krakowskim Przedmieściu nastroje są dziś dość optymistyczne. Panuje przekonanie, że prezydenckie weta uratowały cały obóz prawicy nie tylko przed sondażowymi spadkami, lecz także przed przegranymi w przyszłości wyborami. Także spotkanie prezydenta z Jarosławem Kaczyńskim traktowane jest w kategoriach sukcesu. Nie tylko dlatego, że prezes pierwszy raz od dawna pofatygował się na rozmowę z Andrzejem Dudą, lecz także dlatego, że rozmowa przebiegała w dobrej atmosferze. – Obie strony wyszły z tego spotkania zadowolone i było to po nich widać – mówi jeden z polityków. – Gdyby takie rozmowy odbywały się wcześniej regularnie, to do całego tego konfliktu nie musiałoby dojść – dodaje.

Paradoksalnie konflikt, który – jak wieszczyla opozycja – miał być początkiem końca całego obozu rządzącego, wyszedł na dobre i prezydentowi, i PiS.

Andrzej Duda umacnia swoją pozycję w sondażach zaufania (w ostatnim badaniu IBRiS dla Onetu zanotował wzrost o blisko 9 punktów procentowych, ufa mu już 47,2 proc. Polaków), a PiS zbliża się do 40 proc. poparcia (w sondażu Kantar Public PiS ma 38 proc., więcej niż cała opozycja razem wzięta).

UCZEŃ I NAUCZYCIEL

Relacje głowy państwa z Jarosławem Kaczyńskim nie wrócą pewnie nigdy na stare tory, ale mogą przyjąć inną, bardziej pragmatyczną formę. I to z punktu widzenia głowy państwa jest dziś rozwiązanie najbardziej chyba pożądane.

Zresztą relacje Duda – Kaczyński psuć się zaczęły już dawno, tylko nie wszyscy łączyli ze sobą poszczególne, płynące z obu środowisk sygnały. Najbardziej czytelnym i alarmującym wydarzeniem było odwołanie Małgorzaty Sadurskiej z funkcji szefowej Kancelarii Prezydenta. Sadurska była w pałacu traktowana jak ciało obce, podejrzewano ją o wynoszenie informacji do centrali PiS. Od tamtej pory prezydent otacza się ludźmi w pełni zaufanymi, kierując się przede wszystkim ich lojalnością. Pod względem ostrożności w doborze kadr zaczyna trochę przypominać Jarosława Kaczyńskiego. Nic dziwnego, w końcu od niego uczył się polityki.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

**ZAMÓW PRENUMERATĘ
CZYTAJ CO MIESIĄC
W LEPSZEJ CENIE**

**PRENUMERATA PÓŁROCZNA
TYGODNIKA „DO RZECZY”**

DWIE KSIĄŻKI: „EMIGRACJA AMBICJI”

E. HOŁDYŃSKIEJ

ORAZ

„PATRZEĆ, JAK ŚWIAT PŁONIE. ROK TRUMPA,
BREXITU I DOBREJ ZMIANY”

M. MAKOWSKIEGO

146 zł

oszczędność 108 zł



JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o. Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI:

E-MAIL: prenumerata@point-group.pl TELEFON: 22 529 12 10 INTERNET: www.prenumerata.dorzeczy.pl

eprasa.pl 05dd3c702b

Nieodrobiona lekcja Września



Rafał A. Ziemkiewicz

Sanacyjna polityka zagraniczna przed wrześniem 1939 r. podporządkowana była polityce wewnętrznej. Czy teraz jest podobnie?

Niestety, nie udało się nam, „rewizjonistom”, sprowokować rodaków do głębszej refleksji nad osamotnieniem Polaków we wrześniu 1939 r. i po nim. Tymczasem władzę objęła formacja wychowana na romantycznych legendach i nasza współczesna polityka zagraniczna zaczęła upodabniać się do tej z czasów Śmigłego-Rydza i Becka. Tej właśnie, której źródłem i słabości uparcie nie chcemy analizować ani nawet przyjmować do wiadomości.

Zamiast refleksji piewcy politycznego romantyzmu sprowadzili dyskusję o historycznych błędach sanacji do historycznego krzyku: „To z Hitlerem mieliśmy się bratać?!”. Jest to nie tylko publicystyczna tandeta, lecz także fałszowanie historii. II RP ściągnęła bowiem na siebie zagładę nie przez to, że nie zawarła sojuszu z Hitlerem, ale przez to, iż taki sojusz w najbardziej dla siebie niekorzystnym momencie zerwała.

SZAKAL PRZY LWIE

Amerykański tygodnik „Life” pisał o Polsce w sierpniu 1938 r., że „prowadzi politykę szakala u boku niemieckiego lwa”. Na pewno rani to nasze uczucia i kto dotrze do owej zapomnianej publikacji, ten łatwo znajdzie w niej masę dyskredytujących amerykańskiego „analityka” błędów rze-

czowych, tego kalibru co nazwanie gen. Sikorskiego liderem Narodowej Demokracji, ale to charakterystyczny przykład, jak nas wtedy cały świat postrzegał. Tej złej opinii nie zmazał krótki okres komplementowania nas między Wrześniem a wybuchem konfliktu niemiecko-sowieckiego, który wykłarował wojenną sytuację, i miała ona znaczące skutki – bardzo ułatwiła politykom Zachodu najpierw dyskretne usunięcie polityków sanacji, którym złożyli byli zobowiązania pomocy, i narzucenie Polakom bezwolnego Sikorskiego, a potem przekonanie własnych społeczeństw, że nie warto mieć wobec nas wyrzutów sumienia.

W 1939 r. byliśmy przekonani, że nasze własne krzesło, które postawiliśmy między rosyjskim a niemieckim, jest równie co one solidne

Powiemy, że słowa o szakalu były niesprawiedliwe. Cóż, fakty były takie, że Polska pryncypialnie odmawiała uczestnictwa w różnych próbach zmontowania aliansu, który dyplomatycznie okiełznałby Hitlera, a jednocześnie przyjmowała jego życzliwe gesty i wyciągała korzyści z jego kolejnych posunięć obliczonych na zniszczenie ładu wersalskiego – mimo iż to właśnie temu traktatowi zawdzięczała swe istnienie. Zarówno sam Hitler, jak i Stalin oraz wszyscy dyplomaci Zachodu uważali, że takie postępowanie to oczywisty akces do nowego, budowanego przez Niemcy porządku. A że Polacy na razie nazywają to „trzymaniem równego dystansu do obu sąsiadów” i wystrzegają się traktatowych zobowiązań?

Któżby się na to dał nabrać? Zwłaszcza po trzygodzinnym spotkaniu Becka z Hitlerem „w cztery oczy” w Berchtesgaden w styczniu 1939 r. (gdzie zresztą, jak wszystko wskazuje, naprawdę zawarto „na gębę” porozumienie o rozbiórce Czechosłowacji, którego złamanie przez Hitlera stanowiło przyczynę późniejszego zwrotu o 180 stopni i wejścia w antyniemieckie porozumienie z Wielką Brytanią)!

Polska historiografia przywykła rozumieć ten wstydlivy okres jako „lawirowanie” między dwoma rozbiorami, podpierając się bon motem Piłsudskiego o „siedzeniu na dwóch krzesłach”. Sam w książce „Jakie piękne samobójstwo” uległem temu stereotypowi. Po lekturze wielu kolejnych opracowań i dzienników (w których wygląda to zupełnie inaczej niż w pisanych post factum pamiętnikach) widzę, że odczytywanie ówczesnej polityki jako lawirowania – które, nawiasem mówiąc, też byłoby polityką prowadzącą donikąd – jest skutkiem interpretowania czasów przedwojennych w świetle wiedzy, którą uzyskaliśmy w sposób bolesny dopiero we Wrześniu. Do momentu katastrofy nikt w elitach państwa nie mógł pomyśleć o lawirowaniu, bo nikt nie uważał ani Niemiec Hitlera, ani Sowietów za groźne potęgi i nikt nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo jesteśmy słabi, osamotnieni i jako „szakal” Hitlera nielubiani na Zachodzie. Bon mot o dwóch krzesłach nie opisuje sytuacji właściwie – byliśmy raczej przekonani, że nasze własne krzesło, które postawiliśmy między rosyjskim a niemieckim, jest równie co one solidne.

Polityka Becka, który wyciągał dla Polski drobne i – czego nie rozumiał – chwilowe korzyści z niemieckiego awanturnictwa, była prowadzona bez świadomości, jaką siłą dają Niemcom kolejne aneksje,

■ zwłaszcza przejęcie militarnego i przemysłowego potencjału Czechosłowacji. Przeciwnie – była prowadzona w poczuciu bezpieczeństwa, płynącym z przekonania o własnej sile. Polska armia jest może mniej liczna, ale – jak straszył Niemców Beck – najlepsza na świecie i przywykła do wygrywania mimo liczebnej przewagi wrogów, a nasz duch bojowy oraz ofiarność społeczeństwa nie mają sobie równych. Tutaj muszę raz jeszcze wycofać się ze swojej książki sprzed trzech lat, w której to Becka przedstawiłem jako głównego sprawcę katastrofy. W istocie jego polityka przynajmniej skłoniła mocarstwa zachodnie do podjęcia formalnych zobowiązań, jakkolwiek bez zamiaru i możliwości ich realizacji. Śmigły-Rydz zdecydowany był na wojnę choćby tylko własnymi siłami, nawet po ogłoszeniu paktu Ribbentrop-Mołotow.

Błędna ocena sił, urojenie mocarstwowości połączone z opartym zupełnie na „chciejstwie” lekceważeniem zagrożenia (w parze z propagandą o „tekturowych czołgach” Hitlera szło wmawianie sobie, że „Rosja żadnych nowych ziem nie potrzebuje”) – to był pierwszy z trzech wielkich błędów polskiej ówczesnej polityki.

Odmawiając krytycznego myślenia o tamtych czasach, szermuje się dziś argumentem, że inaczej nie było można. Żaden Talleyrand czy Metternich nie dałby rady, tkwiąc między takimi potworami jak III Rzesza a ZSRS – można było tylko ginąć w sposób maksymalnie bohaterski. To fałszywe twierdzenie, zawsze istnieje bowiem mniejsze zło i nawet jeśli nie mieliśmy dobrego wyjścia, to nie musieliśmy wybierać najgorszego z możliwych. Polemika z nim to zadanie na kiedy indziej, ale warto zauważyć, że Śmigły-Rydz, Mościcki czy ówczesny premier Składkowski rozmawiali podobnie. „Nie mogli inaczej”, tylko z innych zupełnie przyczyn, niż podnoszą dziś ich obrońcy. Nie mogli prowadzić innej polityki, ponieważ uważali za swój obowiązek kierować się – mówiąc językiem Mickiewicza – „powinnością”. Mocarstwowość i wszystkie jej atrybuty słusznie się Polsce należały, słusznie należały nam się Zaolzie i Spisz, i Orawa, i Gdańsk, a Litwini ze wszech miar zasłużyli sobie na nauczkę – podobnie jak sam Hitler. Świat nie wiedział, że w ogóle może istnieć polityka tak irracjonalna, rozumiał ją więc po swojemu: jako bezmyślną chciwość szakala.

Myśl, że polityka być może nie polega na sięganiu po wszystko, co się nam słusznie należy, i to po wszystko jednocześnie,



Minister spraw zagranicznych Józef Beck przemawia do uczestników demonstracji w Warszawie, 5 maja 1939 r. FOT. NAC

tudzież przestrogi Dmowskiego, że w polityce w ogóle nie ma pojęć słuszności ani jej braku, jest tylko siła i brak siły – pozostawały wówczas polskim przywódcom najgłębiej obce i nietrudno zauważyć, że tak pozostało.

Gdyby zresztą nawet podobne herezje komuś przyszły do głowy, zostałyby przywołane do porządku przez wychowaną na romantyzmie i po mickiewiczowsku patriotyczną opinię publiczną. To trzecia zasadnicza przyczyna klęski, zupełnie otwarcie podnoszona przez jej sprawców, z Beckiem i Śmigłym-Rydzem na czele, jako kluczowy dowód niewinności. „Wszyscy chcieli walczyć!”. Jest to rzeczywiście prawda: opozycja, bez jakiegokolwiek odpowiedzialności, judziła do wojny z Niemcami jeszcze usilniej niż sanacja i oskarżała ją o haniebne zaprzękanie ojczyzny odwiecznemu wrogowi. Obstaję przy tezie z książki „Jakie piękne samobójstwo”, że Wielka Brytania zamierzała to wykorzystać i szykowała nam to samo, co potem zrobiła, by

rzucić pod niemiecki walec Jugosławię: inspirowany i finansowany przez nią zamach stanu, po którym „gwarancje” brytyjskie przyjąłby nie Beck, ale Sikorski.

PIĘŚCIĄ W STÓŁ

Cóż jednak z tego wynika? Otóż oczywistą cechą sanacyjnej polityki zagranicznej było podporządkowanie jej potrzebom polityki wewnętrznej. I to w najbardziej prymitywny sposób: dla populistycznego przypodobania się nastrojom tłumu. A tłumowi, oczywiście, podobało się pokazywanie obcym, że umiemy wałnąć pięścią w stół. Im mocniej, tym bardziej mu się podobało.

Ta licytacja, kto bardziej dąży do „mocarstwowości”, odbywała się na dwóch poziomach. Po pierwsze, licytowała się sanacja z opozycją. „Budowa Polski mocarstwowej” stanowiła jedyną legitymizację reżimu, który przy władzy utrzymywał się tylko dzięki represjom, fałszowaniu wyborów i skłóceniu przeciwników. Upo-



korzenie Litwy, „Powrót do Macierzy” Śląska Cieszyńskiego i drobnych fragmentów Słowacji, a w końcu, jak sobie to wyobrażano, danie po nosie Niemcom za próbę „odepchnięcia Polski od morza”, czyli od wymarzonej kolonii, były niezbędne, by reżim mógł zaszachować opozycję jednością w obliczu wroga i zlikwidować ją – co się faktycznie udało, choć tylko na chwilę, gdy po buńczucznej mowie Becka o naszym bezcennym honorze wszystkie siły opozycji musiały bezwarunkowo poprzeć rząd, nie dostając w zamian wymarzonego „gabinetu jedności narodowej” ani w ogóle niczego. Dlaczego, wyjaśniają zapisane przez Macieja Rataja słowa przybocznego „Drogiemu Wodza”, płk. Wendy: „Nie będziemy się dzielić zwycięstwem”.

Po drugie, licytacja w buńczuczności wynikała z rozgrywki między samymi przywódcami reżimu. Śmigły-Rydz konsekwentnie dążył do pełnej dyktatury na wzór włoski i obawiał się – niebezpiecznie – że po zbliżającym się końcu ka-

dencji (1940) Mościcki wspólnie z Beckiem ogra go, mianując następcą tego drugiego. To – a nie tchórzostwo, które to oskarżenie doprowadzało potem do szaleństwa „Drugiego Marszałka” – było prawdopodobnie powodem, że we Wrześniu zaniedbał dowodzenia, bardziej zajęty pilnowaniem wycofujących się ku granicom państwa i poza nie prezydenta oraz szefa MSZ.

Historia nigdy nie powtarza się w taki sam sposób. Putin nie jest Stalinem ani Angela Merkel Hitlerem – żadne z nich nie roi o podboju całego świata, chcą „tylko” załatwić swoje interesy, najlepiej cudzym kosztem. Nasi sąsiedzi wrócili do polityki Bismarcka i Górczakowa, inne kraje zaś jak zwykle pazernie zabiegają o różnorakie zyski, maskując to obłudną retoryką – ale to też jest dla nas niebezpieczne. W kraju nie mamy dyktatury wojskowej i nikt nie fałszuje wyborów ani nie buduje Berezki Kartuskiej, ale wzajemna nienawiść politycznych plemion, paraliżująca państwo, przypomina tę przedwojenną.

Czy zaś te trzy fatalne cechy polityki zagranicznej – prowadzenie jej „pod publiczkę”, na użytek krajowej walki politycznej, kierowanie się słuszością zamiast skuteczności i „chciejstwo” prowadzące do zupełnie błędnej oceny atutów własnych i cudzych – nie wyznaczają naszego postępowania także obecnie?

Osobiście uważam to za pytanie retoryczne. Dlaczego dość nieoczekiwanie podnieśliśmy argument niemieckich reparacji w chwili, gdy mamy już konflikt z próbującą się rozpychać naszym kosztem brukselską biurokracją i dążącą, również naszym kosztem, do przywrócenia wewnątrz Europy gospodarczego protekcjonizmu Francją? Przecież słuszość w tej sprawie jest po naszej stronie. Po co podjęliśmy niezrozumiałą dla nikogo i upokarzającą próbę odwołania z unijnego stanowiska Tuska? Ponieważ jemu się przecież należało. Po co w tak gorącym momencie rozdrażniliśmy jeszcze Trybunał Sprawiedliwości Unii Europejskiej, demonstracyjnie odmawiając wykonania jego orzeczenia w sprawie wycinki w Puszczy Białowieskiej, choć szło tylko o wstrzymanie jej na kilka tygodni – co jest dla Unii równie szokujące jak otwarta, twarda zapowiedź odmowy przyjęcia relokowanych imigrantów zamiast gry, jaką np. prowadzi Austria, która nie odmówiła podporządkowania się, ale zrezygnowała z nieskończoności mnoży przeszkody? I po co jeszcze do tego zafundowaliśmy sobie awanturę ze wschodnimi sąsiadami, nie o jakiejkolwiek wymierne interesy, ale o symbole w paszportach – na dodatek zakończoną upokarzającą rejteradą?

SŁUSZNOŚĆ PO NASZEJ STRONIE

W każdej z tych spraw padają przekonujące dla ogółu Polaków argumenty, że słuszość jest po naszej stronie. Nie pada – a jeśli władza go nie słyszy – pytanie, po co o te słusznie nam się należące sprawy upomina się jednocześnie, jakimi środkami je zamierza załatwić, gdzie widzi sojuszników, co możemy na tym zyskać, co stracić... Ważne jest, że władza zyskuje popularność, bo „podnoszenie się z kolan” podoba się Polakom nie mniej niż przed 80 laty patetyczne hasła, że jest tylko jedna rzecz bezcenna w życiu narodów, honor, i że nie damy sobie zabrać nawet guzika.

A jeśli – teoretycznie – wszyscy traktowani „z równym dystansem” znowu się porozumieją co do swoich interesów w Polsce?

Oj tam... A po co od razu myśleć o najgorszym?!



Z prof. Stanisławem Żerką, politologiem i historykiem z Instytutu Zachodniego w Poznaniu rozmawia Łukasz Warzecha

Reparacje nie mogą być tabu



FOT. PIOTR SKRÓNICA/AGENCJA GAZETA

ŁUKASZ WARZECHA: Czy Polsce należą się reparacje wojenne od Niemiec?

PROF. STANISŁAW ŻERKO: Polsce należały się reparacje za straty poniesione w wojnie zaplanowanej, przygotowanej i rozpetanej przez Niemcy. Jedną z konsekwencji II wojny światowej było również to, że nasz kraj na 45 lat znalazł się w sowieckiej strefie wpływów, a ma to kluczowe znaczenie w przypadku aktu zrzeczenia się reparacji przez rząd Bieruta w 1953 r. Wskazywanie na tę decyzję przez rząd w Berlinie jako na główny argument przeciw reparacjom uważam za głęboko niemoralne i cyniczne.

Czy reparacje miałyby być wynagrodzeniem za konkretne, wyliczone straty? Czy moglibyśmy doliczyć np. wspomnianą przez pana sprawę, czyli fakt wciągnięcia w sowiecką strefę wpływów, a tym samym pozbawienie nas szans na szybszy rozwój gospodarczy?

Nie możemy puszczać wodzy fantazji. Musimy się poruszać w granicach wytyczonych w roku 1945. Wielka Trójka uznała wówczas, że reparacje od Niemiec nie mogą być tak duże jak te ustalone po I wojnie światowej. Uznano, że nałożenie na Niemcy zbyt dużych obciążeń może doprowadzić do katastrofy gospodarczej, a to z kolei może się skończyć bolszewizacją tego kraju lub tak, jak skończyło się w roku 1933, a więc przejęciem władzy przez drugi ruch totalitarny – narodowy socjalizm. Dlatego dla Polski przypadało po II wojnie światowej około półtora miliarda ówczesnych dolarów. Nie możemy sobie do tej sumy doliczać dowolnych kwot, np. za ofiary II wojny światowej.

Dzisiaj taka suma ma wartość ok. 20 mld dol., czyli trochę ponad 71 mld zł. Nie wydaje się zbyt wysoka w zestawieniu z niektórymi śmiałymi szac-

unkami, mówiącymi o tym, że należy się nam nawet 800 mld dol.

W jednym z artykułów widziałem nawet kwotę 6 bln dol.! Na osobę przypadałoby ponad 150 tys. zł, więc wielu z nas mogłoby rzucić pracę. To oczywiście żart. Natomiast półtora miliarda ówczesnych dolarów to nie było też tak mało. Wartość dolara zwiększała w stosunku do momentu obecnego nie tylko inflacja, lecz także większa siła nabywcza oraz to, że amerykańska waluta była wówczas oparta na parytecie złota. Chociaż ma pan rację, że są to kwoty znacznie bardziej ograniczone niż te, którymi się obecnie szermuje.

Dlaczego Polska nie miała dostawać reparacji bezpośrednio, ale za pośrednictwem Związku Radzieckiego? Jak to miało skutki?

Ustalono, że wszystkie poszkodowane państwa będą dostawały reparacje za pośrednictwem mocarstw zaliczanych do Wielkiej Trójki. Polska wylądowała w sowieckiej strefie wpływów, więc nasz udział mieliśmy otrzymywać za pośrednictwem Moskwy. Już w 1945 r. okazało się, jak fatalne jest to rozwiązanie. Sowieci narzucili nam wtedy tzw. klauzulę węglową, która sprawiła, że z reparacji nie dostaliśmy właściwie ani złotówki. Zmuszono ówczesny polski rząd, podporządkowany komunistom, do wysyłania do ZSRS przez lata milionów ton węgla po cenie niemal dziesięciokrotnie niższej niż ceny światowe z tamtego okresu, czyli zaledwie 1,22 dol. za tonę. To prawdopodobnie nie pokrywało nawet kosztów wydobycia i transportu do granicy sowieckiej. Była też choćby umowa parowozowa z tego samego 1945 r.: Rosjanie zmusili rząd Osóbki-Morawskiego do zapłacenia za parowozy, znajdujące się po zakończeniu wojny na ziemiach zachodnich

i północnych, które na mocy konferencji w Poczdamie powinny i tak trafić w polskie ręce bez żadnych opłat.

Czy to oznacza, że do momentu rezygnacji z reparacji w 1953 r. netto wyszliśmy w najlepszym wypadku na zero?

Komuniści próbowali robić takie zestawienia po 1956 r., ale to w gruncie rzeczy jest nie do ustalenia. Jednak nawet to, co wtedy wyliczono, wyglądało bardzo źle. Szczególnie że w ramach reparacji nie zawsze dostawaliśmy pieniądze, towary, maszyny, a rzeczy całkowicie bezwartościowe. Na przykład w rozliczeniu za 1949 r. aż 10 proc. kwoty z tytułu reparacji stanowiło 6 mln egzemplarzy dzieł klasyków marksizmu-leninizmu-stalinizmu, drukowanych po polsku w drukarniach późniejszej NRD. W tym milion egzemplarzy oślawionej broszury Stalina „Krótki kurs historii WKP(b)”.

Niektórzy twierdzą, że po decyzji z 1953 r. nie ma żadnego formalnego śladu w dokumentacji.

Nieprawda. Dokument znajduje się w archiwum Kancelarii Prezesa Rady Ministrów (sygnatura 88/15/11), a ponadto został opublikowany w 2005 r. w tomie wydanym przez Polski Instytut Spraw Międzynarodowych. W dodatku we wrześniu 1953 r. ówczesny wiceminister spraw zagranicznych PRL potwierdził polską decyzję na forum Zgromadzenia Ogólnego ONZ.

W niedawno opublikowanej ekspertyzie Biura Analiz Sejmowych czytamy, że nie miał jej prawa podjąć rząd, a jedynie Rada Państwa, czyli następca urzędu prezydenta.

Jeśli mielibyśmy podważać tamtą decyzję, to nie przez wyszukiwanie tego typu

kruczków prawnych. Sensowniejsze byłoby wskazywanie, że był to akt w zasadzie wymuszony przez sowieckiego hegemonia i decyzja krańcowo niekorzystna z punktu widzenia polskich interesów.

Jak możemy podważać jedną z decyzji rządu PRL, skoro III RP uznała się sama za jej prawnego kontynuatora?

Na tej samej zasadzie kwestionowana jest decyzja Austrii z 1938 r. o zgodzie na Anschluss, decyzja Litwy, wymuszona na tamtejszym ministrze spraw zagranicznych przez Ribbentropa w 1939 r., o włączeniu Kłajpedy do Rzeszy czy też, w tym samym roku, decyzja czechosłowackiego prezydenta Emila Háchy o zgodzie na stworzenie Protektoratu Czech i Moraw. W tych wypadkach nikt nie twierdzi, że były to suwerenne decyzje przywódców tych państw. Moglibyśmy sięgnąć po ten sam mechanizm.

Tylko gdzie mielibyśmy tej argumentacji użyć? Dokąd z tym pójść?

Tutaj tkwi zasadnicza ułomność ekspertyzy Biura Analiz Sejmowych. Autor nie wskazuje żadnej drogi prawnej.

Jakie znaczenie w obecnej sytuacji ma uchwała Sejmu z 2004 r., która zobowiązywała rząd – wtedy SLD – do ubiegania się o reparacje?

Uchwała nie ma mocy wiążącej, to deklaracja, apel. Natomiast została podjęta w szczególnej sytuacji. W tamtym czasie Powiernictwo Pruskie Rudiego Pawelki zapowiedziało wystąpienie z roszczeniami przeciw Polsce za mienie pozostawione na ziemiach zachodnich. Uchwała była rodzajem odpowiedzi na te zamysły. Oczywiście był też kontekst wyborczy. Jan Rokita, wysuwany wtedy na premiera przez Platformę Obywatelską, zapowiadał, że jego ewentualny rząd będzie próbował tę sprawę podnosić.

Jednym z kluczowych momentów było podpisanie w 1990 r. traktatu 2 + 4, dotyczącego zjednoczenia Niemiec. Analiza BAS wspomina, że Polska nie była jego stroną, a przecież była tam mowa o naszej granicy zachodniej.

Polska formalnie stroną nie była, ale została dopuszczona do paryskiej rundy rokowań, gdzie właśnie rozpatrywano kwestię granic. Tutaj warto przypomnieć nieco zapomniany epizod. Mieliśmy bowiem wówczas do czynienia ze swego rodzaju szantażem ze strony Helmuta Kohla, który w lutym i marcu – zaledwie kilka miesięcy po słynnej mszy w Krzyżo-

wej, gdzie ścisłał Mazowieckiego w geście pojednania – uzależnił uznanie polskiej granicy zachodniej m.in. od niepodnoszenia przez Warszawę sprawy reparacji.

Skoro w 1953 r. już się ich rzekliśmy, to po co było Kohlowi takie zapewnienie?

Właśnie! Ten zabieg świadczył, że po stronie niemieckiej była chyba świadomość, iż decyzję z 1953 r. można jednak podważyć.

Może nie powinniśmy byli ulec Kohlowi?

Nie winiłbym za bardzo rządu Mazowieckiego. Dla premiera najważniejsze były wtedy dwie sprawy: granica oraz ogromne zadłużenie odziedziczone po PRL. Zresztą Kohl już wcześniej, podczas listopadowej wizyty w Polsce, był generalnie w sprawie odszkodowań niezwykle sztywny.

Jak wypada analiza polskiego BAS w porównaniu z ekspertyzą Bundestagu?

Ekspertyza Bundestagu była dość słaba i naciągana. Niestety, nawet na jej tle polskie opracowanie jest mocno rozczarowujące. Oczekiwałem, że służby prawne polskiego parlamentu wyciągną jakiegoś asa z rękawa – niestety, tak się nie stało. Dwie trzecie wywodów jest nie na temat, w przypisach pojawia się wyłącznie literatura w języku polskim, nie ma pogłębionej polemiki z doktryną prawną RFN. Jest przy tym sporo drobnych, ale irytujących błędów w rodzaju niewłaściwej pisowni nazwisk, terminów w języku niemieckim czy pominięcia ważnych aspektów w przypadku reparacji po I wojnie światowej.

Co więc w sprawie reparacji możemy zrobić? Jaką drogą pójść? Międzynarodowy Trybunał Sprawiedliwości w Hadze?

MTS nie wchodzi w grę, ponieważ Polska w 1996 r. zadeklarowała, że w naszym przypadku jego jurysdykcja nie będzie obejmować spraw sprzed 25 września 1990 r. Mieliśmy do tego prawo – chodziło o wykluczenie roszczeń wobec Polski. Z kolei RFN wykluczyła sprawy sprzed 30 września 2008 r.

Czy w takim razie w ogóle jest sens wprowadzać temat reparacji do debaty?

Tak – to może być element rozsądnej polityki historycznej. Nie może być białych płam w stosunkach polsko-niemieckich, nie może być tematów tabu. Temat reparacji może pokazać niemieckiej opinii publicznej, jak nierówne były nasze relacje

po 1990 r. Można go używać jako argumentu np. przy negocjacjach dotyczących perspektywy budżetowej UE. Przy czym nie uważam, żeby dziś wchodziło w grę oficjalne postawienie sprawy przez polski rząd. Zresztą przy okazji sprawy reparacji niemało ludzi na świecie dowiedziało się, jak ogromne były polskie straty podczas wojny i niemieckiej okupacji.

Jaka jest reakcja po niemieckiej stronie?

Bardzo ostra i nerwowa. To wręcz złość. Niektórzy składają wybitni autorzy, tacy jak znany historyk prof. Gregor Schöllgen, twierdzą, że Polska, mówiąc o reparacjach, sama podważa powojenne granice. Polityk CDU Karl-Georg Wellmann w cokolwiek bezczelnym i faryzejskim artykule na łamach „Gazety Wyborczej” twierdzi wbrew faktom, jakoby sprawa reparacji była związana z problemem granicy. Takie straszenie jest absurdałne, kwestionujące wiele podpisanych przez Niemcy umów. Z drugiej strony ten sam Wellmann z dumą podaje, że polskie ofiary zbrodni niemieckich otrzymały łącznie 2,6 mld euro z tytułu odszkodowań. Tyle że, po pierwsze, to śmiesznie mało, zaledwie 3,5 proc. wszystkich odszkodowań wypłaconych przez RFN za II wojnę, a po drugie – reparacje to coś innego niż odszkodowania dla obywateli, to płatności należne państwu.

Skoro Niemcy są tak pewni, że reparacje to sprawa zamknięta, skąd u nich tak nerwowe reakcje?

Zapewne wynika to z poczucia, że relacje z Polską po 1990 r. opierały się na dużej dozie hipokryzji. W niemieckiej polityce jest mnóstwo odwołań do etyki, moralności, pojednania, a zarazem Berlin cynicznie wykorzystuje to, że decyzja z 1953 r. została podjęta przez całkowicie niesuwerenny polski rząd. Z niemieckiego punktu widzenia naruszyliśmy tabu.

I to wywołało u niektórych w Polsce entuzjazm, podszyty bardzo negatywnymi emocjami wobec Niemiec.

Bałbym się takiego podejścia. Niemcy są jednak naszym wielkim i ważnym sąsiadem, a przy tym sojusznikiem. Mało rozsądne byłoby zniszczenie wzajemnych relacji ze względu na miraż reparacji. W tej kwestii bardzo potrzebne są umiar i opamiętanie. Pamiętajmy, że mimo iż mamy rację, naszych też na drodze prawnej nie przeferujemy. To zagadnienie polityczne, a dla Niemców także silnie wypierany lub ukrywany przez nich problem etyczny.

Czy czuje się pan pokrzywdzony? – pytał poseł PO Krzysztof Brejza przesłuchiwanego przez komisję ds. Amber Gold prezydenta Gdańska Pawła Adamowicza. – Tak, dziękuję za tę refleksję. Raz Marcin P. jest bohaterem pozytywnym, a raz się we mnie nim wali – żalił się prezydent Gdańska.

Nic nie wiedziałem, nic nie słyszałem, o wszystkim dowiedziałem się z mediów – można by podsumować przesłuchanie prezydenta Gdańska przed komisją śledczą ds. Amber Gold. Słynne zdjęcie, na którym razem z miejskimi urzędnikami ciągnął samolot OLT Express, skwitował opowieścią o tym, że „zostali zaproszeni do śmiesznego wydarzenia, nie znali planu”, i wyjaśnieniami, że nie chodziło o reklamę OLT Express, tylko fetowanie udanych inwestycji. Na uwagę o żółtym wdzianku, w które został przebrany z okazji „śmiesznego wydarzenia”, odpowiedział pytaniem o patriotyczny płaszcz prezesa PiS. – Pelerynka prezesa Kaczyńskiego jest brzydsza od tej?

Chociaż twórca piramidy finansowej Marcin P. zeznał, że politycy różnych opcji zabiegali o kontakty z nim, a w tym gronie wymienił prezydenta Gdańska, Adamowicz stanowczo stwierdził, że P. nie zna, bo to „postać tajemnicza”. Jeszcze w 2012 r. Adamowicz chwalił Amber Gold po tym, jak firma zasponsorowała produkcję filmu Andrzeja Wajdy o Lechu Wałęsie. – Czujecie ten moment, czujecie innowacyjność. Wałęsa też był innowacyjny dla swoich czasów, bardzo wam dziękuję – mówił Adamowicz. Jednak na pytanie, czy rzeczywiście nie wiedział, z kim współpracował, skoro podjął się wychwalania spółki, odpowiedział:

– Prezydent nie zajmuje się plotkami.

Zeznania dały pożywkę internautom. Zarzucili oni sieć memami przedstawiającymi Adamowicza, który w znaczącym geście zasłania oczy i zatyka uszy, przeróbkami słynnych zdjęć z uroczystości, na której ciągnie samolot OLT Express. „To nie ja ciągnąłem samolot, tylko samolot ciągnął mnie” – żartowali z zeznań Adamowicza internauci.

– Paweł Adamowicz skorzystał z okazji, żeby sobie zaszkodzić – mówi Joanna Gepfert, specjalistka w dziedzinie wizerunku.

– Linia obrony wielu osób publicznych, którą można streścić w słowach: „Nie wiem, nie pamiętam”, nie jest dobrze widziana przez opinię publiczną. Ludzie są szczególnie na to wyczuleni, bo odnoszą wrażenie, że pytany coś w ten sposób ukrywa. Jeśli



Wojtek
@W_Podhajski

Obserwuj

Paweł #Adamowicz: "To nie ja ciągnąłem samolot tylko samolot ciągnął mnie."
#Budyń przed komisją #AmberGold.



02:01 - 12.09.2017

Moc Budynia



Agnieszka Niewińska

Może i prezydent Gdańska Paweł Adamowicz ma słabą jak na polityka ksywkę, ale mimo kontrowersji rządzi nad Motławą „dłużej niż Putin w Rosji”

Paweł Adamowicz chce odegrać rolę w polityce krajowej, a na to wygląda, sądząc po jego publicznych mocno angażujących się w krajową politykę wypowiedziach, to występ przed komisją ds. Amber Gold mu tylko wizerunkowo zaszkodził. Jeśli ważny polityk twierdzi, że nie miał wiedzy, a wszystkiego dowiaduje się z mediów, to brzmi niewiarygodnie i nie budzi zaufania.

ZNÓW NA WOKANDZIE

Prezydent Gdańska należy do władczy rekordzistów. Nad Motławą rządzi już 19 lat. „Dłużej niż Putin w Rosji” – żartują użytkownicy Twittera. Tak długi prezydencki staż może dziwić, zwłaszcza że od kilku lat sporo kontrowersji wzbudza zgromadzony przez niego pokaźny majątek. Chodzi o oświadczenia majątkowe sprzed lat. Posiadając pięć mieszkań i dwie działki, Adamowicz kupił dwa kolejne mieszkania w Gdańsku i nie umieścił ich w oświadczeniu majątkowym. Zaniżył też kwotę oszczędności – w jednym z oświadczeń aż o 320 tys. zł. Pełnomocnik prezydenta tłumaczył, że to pomyłka spowodowana tym, że kiedy w kwietniu 2010 r. prezydent składał oświadczenie, dużo działo się w kraju i w jego życiu osobistym. Niezadeklarowane pieniądze na koncie prezydenta miały być oszczędnościami jego dzieci i Adamowicz nie wiedział, że musi je zadeklarować. Pieniądze miały pochodzić od pradiadków dzieci Adamowicza.

Finanse prezydenta prześwieślało CBA. O wynikach kontroli już przed czterema laty rozpiswały się media. Zwrócono uwagę choćby na duże rabaty, jakie prezydent dostał od deweloperów. W ubiegłym roku tygodnik „W Sieci” napisał, że za mieszkania przy ul. Wypoczynkowej w Gdańsku prezydent i jego żona płacili po 6 tys. zł za 1 mkw., podczas gdy rynkowa cena lokali w tej okolicy wynosiła od 8 do 10 tys. zł za 1 mkw. Rabat na zakup mieszkania według „W Sieci” dostała także teściowa prezydenta. Dziennikarze informowali również, że wedle skarbówki pradiadkowie nie mogli zgromadzić takich kwot, jakie mieli przelać dzieciom Adamowicza.

Po tym, jak w czerwcu gdański sąd oddalił wniosek o warunkowe umorzenie jego sprawy w związku z podaniem nieprawdziwych danych w oświadczeniach majątko-

wych z lat 2010–2012, sprawa znów trafi na wokandę. Czy zaważy na politycznej karierze Adamowicza? Jak dotąd nie zadeklarował on startu w kolejnych wyborach na prezydenta Gdańska, ale podsumowując półmetek bieżącej kadencji i wystawiając sobie piątkę, nic nie wspominał o możliwości odejścia z polityki: – Mogę zostać posłem, europosełem, mogę być członkiem sejmiku wojewódzkiego lub ponownie kandydować na prezydenta miasta. Decyzja będzie zależna od potrzeb, sytuacji w Polsce i ode mnie samego – powiedział.

Politolog prof. Kazimierz Kik zauważa, że Adamowicz to jeden z tych samorządowców, który mocno angażuje się w politykę partyjną. – Jest jednak na tyle racjonalny, by zrozumieć, że czas dominacji Platformy dobiegł końca i dotyczy to także Gdańska – symbolu polityki PO. Mimo wielu kontrowersji wokół swoich oświadczeń majątkowych trwał u władzy nie tylko ze względu na pewną polityczną sprawność, lecz także dlatego że mniej liberalna połowa społeczeństwa jest uśpiona, nie bierze udziału w wyborach. Jego przyszłość w polityce zależy od tego, czy PiS-owi uda się obudzić tę nieaktywną do tej pory część wyborców – mówi prof. Kik. Jest zdania, że Adamowicz sam z polityki nie zrezygnuje. – Pozostałby wtedy w ciemnym korytarzu rozliczeń

majątkowych, a to, że pełni urząd, do pewnego stopnia go chroni.

MIĘKKA PULPA CZY KONDOM

Na pytania o majątek Adamowicz reaguje nerwowo. Niedawno poproszony o komentarz na temat swoich oświadczeń majątkowych odpowiedział dziennikarzowi TVP: „Proszę państwa, macie przykład typowej goebbelsowskiej manipulacji”. I dodał: „Panie Goebbelsie, pan jest najemnym propagandzistą Kurckiego kłamcy. Pan jest kłamcą, nie będę z panem rozmawiał. Rozumie pan?”.

I chociaż w tej sprawie prezydent Adamowicz nie wykazał dystansu, wcześniej pokazywał, że stara się być prezydentem na luzie. Czytelnikom swojego bloga w 2010 r. złożył nawet życzenia z okazji Światowego Dnia Budyniu, który przypada 31 marca. W Gdańsku bowiem Adamowicz powszechnie nazywany jest Budyniem.

„Dlaczego akurat Budyń? Nie mam pojęcia. Może dlatego, że przez niektórych postrzegany jestem jako niekształtna, miękka pulpa? Bo nie sądzę, by u źródła tego przezwiska leżało przekonanie o tym, że jestem słodki” – napisał na swoim blogu Adamowicz. I dodał: – Może i Budyń nie jest przezwiskiem zbyt miłym. Może jest przejawem złośliwości. Ale szczerze mówiąc, z dwojga złego wolę być Budyniem niż Kondomem”.

W wywiadzie dla WP.pl w ksywce Budyń doszukiwał się nawet mocy: „Mówi się, że ten, kto ma najwięcej przezwisk, ma najwięcej wrogów, a to oznacza, że jest silny, ma coś do powiedzenia, coś znaczy. Nikt się nie interesuje ludźmi nijakimi. Ja, widać, wywołuję emocje, jestem wyrazisty” – stwierdził skromnie.

Gepfert w przezwisku Budyń nie widzi mocy. – A jeśli już polityk ma ksywkę, to lepiej żeby miała siłę. „Budyń” do takich raczej nie należy.

Być może dlatego w kolejnym roku Adamowicz nie złożył już gdańszczanom życzeń z okazji Dnia Budyniu. Jego ówczesny rzecznik Antoni Pawlak tłumaczył to tym, że Adamowicz ma nową ksywkę – Bob Budowniczy.

– Być może więc prezydent złożył życzenia z okazji dnia budowlanca – informował. Próba zmiany pseudonimu jednak się nie powiodła. Internet informację o gdańskim włodarzu dalej taguje hasztagiem #budyń.





Piotr Gociek

Trzeci sezon serialu „Narcos” nie zawiedzie fanów – to świetny thriller o walce przeciw jednemu z największych narkotykowych karteli świata

Pablo Escobar nie żyje, lecz wojna przeciw handlarzom narkotyków trwa. Kokaina płynie szerokim strumieniem do Stanów Zjednoczonych, a głównymi producentami i dostawcami są „Dżentelmeni z Cali”, jak sami siebie nazywali szefowie kartelu z kolumbijskiego miasta Cali.

Trzeci sezon głośnego serialu „Narcos”, jednego z najbardziej udanych przedsięwzięć serwisu Netflix, rozpoczyna się właśnie w tym momencie. Żadna to zresztą niespodzianka, w finale drugiego sezonu amerykański agent DEA (The Drug Enforcement Administration) Javier Peña, oczekujący konsekwencji służbowych za notoryczne przekraczanie przepisów podczas łowów na Escobara, ze zdumieniem dowiaduje się od swoich przełożonych, że zamiast nagany będzie nagroda. Jeśli jako nagrodę można traktować powrót do Kolumbii, by tym razem stawić czoła kartelowi z Cali.

Pierwsze dwa sezony serialu, który zadebiutował w roku 2015, opowiadały historię, która w ostatniej dekadzie doczekała się rozlicznych adaptacji książkowych i filmowych. Także do Polski dotarła fala książek o Pablo Escobarze oraz kulisach jego wstępu i upadku. Znamy już więc reporterską relację Marka Bowdena „Polowanie na Escobara” oraz wspomnienia „Mój ojciec Pablo Escobar” napisane przez jego syna Juana Pablo, który podróżuje po świecie pod przybranym nazwiskiem Sebastián Marroquín. Ukazała się także książka kochanki Escobara, Virginii Vallejo, pt. „Kochając Pabla, nienawidząc Escobara”. Ta ostatnia stała się podstawą filmu pod tym samym tytułem, w którym parę gangster – dziennikarka zagrali Javier Bardem i Penélope Cruz. Obraz w reżyserii Fernanda Leóna de Aranoa miał swoją premierę podczas tegorocznego festiwalu w Wenecji.

FORSA I KREW

W „Narcos” od samego początku naszymi przewodnikami po świecie

FOT. NICOLE RIVELLI/NETFLIX

Dżentelmeni z Cali

kolumbijskich karteli narkotykowych byli dwaj amerykańscy agenci: Steve Murphy (Boyd Holbrook) i Javier Peña (Pedro Pascal). W trzecim sezonie został tylko Peña. I bardzo dobrze, był bowiem bez wątpienia bardziej charyzmatyczną i intrygującą połową tego duetu. Agent Murphy po wykonaniu zadania (zastrzeleniu Escobara, granego znakomicie przez brazylijskiego aktora Wagnera Mauro) powrócił na stałe do USA.

W pierwszym odcinku trzeciego sezonu oglądamy, jak szef wszystkich szefów Gilberto Orejuela (gra go Damián Alcázar) zwołuje ważne spotkanie kartelu. Wszyscy spodziewają się, że ogłosi ekspansję narkotykowego biznesu na nowe rynki – może w Azji, może w Europie. Plan jest inny, zaskakujący i śmiały, choć nie wszystkim się spodoba. Chodzi o zalegalizowanie fortun zdobytych dzięki przestępstwom. Stąd pomysł negocjowania z rządem ugody, w której myśl kokainowi królowie zgodzą się na symboliczną odsiadkę, po której porzucą narkotyki na dobre. Gangsterzy zachowają miliardy dolarów i przekwalifikują się na legalnych biznesmenów, a rząd będzie mógł ogłosić wielki triumf w wojnie

z narkobiznesem. Układ jest już klepnięty, do szczęśliwego – dla bandytów – finału zostały już tylko miesiące.

Tutaj do akcji ponownie wkracza Javier Peña, choć niespecjalnie dopingowany przez przełożonych. Wydaje się bowiem, że także Amerykanie są zadowoleni z polityczno-narkotykowej polityki odprężenia. Peña tym razem działa już jako szef niewielkiego zespołu.

W pierwszych dwóch sezonach „Narcos” dużo było akcji w terenie (z dżunglą włącznie) i mnóstwo przemocy. Z odcinka na odcinek Pablo Escobar przekraczał kolejne granice. Terror i mord były jego ulubionymi metodami, obserwowaliśmy więc zaszokowani, jak nakazuje w kolejnych etapach walki z kolumbijskim rządem masowo zabijać policjantów, podkładać bomby, które zbierały krwawe żniwo, aż wreszcie nie cofa się nawet przed terrorystycznym zamachem na samolot, którym miał lecieć znienawidzony przez niego prezydent Kolumbii. To była wojna.

Kartel z Cali przyjął inną metodę działania, uznając łapówki za wydajniejszą metodę prowadzenia biznesu. Policjantów opłacał oczywiście także Escobar, ale

jemu chodziło głównie o to, by spokojnie transportować narkotyki przez granice. Jego konkurenci zainwestowali ogromne sumy w polityków, sędziów, nawet ważnych wojskowych. I starali się działać tak, by szefostwo kartelu pozostawało w cieniu. Żaden z nich nie cierpiał na manię wielkości podobną do tej, która zgubiła żadnego rozgłosu Escobara.

Wszystko to oznacza, że łowy na bandziorów z Cali muszą przebiegać inaczej. Agent Peña zaczyna od tropienia pieniędzy, zamorskich kont i spółek słupów na innych kontynentach. Kartel obraca gigantycznymi sumami, które musi przeciw gdzieś wyprać, żeby można z nich było skorzystać w nowym, legalnym życiu. Czy to znaczy, że w samej Kolumbii agenci DEA nie mają czego szukać? Mają, mają, tylko że robota jest piekielnie trudna.

FLIRT Z KARTELEM

„Narcos” przez sporą część trzeciego sezonu przypomina trochę filmy szpiegowskie z czasów zimnej wojny. Peña porównuje nawet metody działania kartelu do metod KGB. W mieście, które jest ich bazą, czyli w Cali, gangsterzy

REKLAMA

SCORPIONS

CRAZY WORLD TOUR

KONCERT

1 grudnia 2017

ERGO ARENA

Gdańsk/Sopot

THE-SCORPIONS.COM

BILETY: PRESTIGEMJM.COM, eBilet.pl, EMPIK

Prestige
MJMANTYRADIO
WPDziennik
BałtyckiTYGODNIK
POWSZECHNY
cgm.plwprost
trojmiasto.plRZECZY
DlaWaS.infoGAZETA BANKOWA
GOLD HITSGitarzysta
MultikinoPerkusista
empik

VIXION



Emocje w trzecim sezonie serialu wynikają z pojedynków typu „kto kogo przechrzty”, a nie z ulicznych strzelanin. FOT. JUAN PABLO CUTIERRIZ/NETFLIX

■ zainwestowali nie tylko w łapówki, lecz także w podsłuch, podgląd i technikę. Oprócz tego, że w kieszeni mieli sędziów, policjantów i urzędników, dysponowali także doskonałą wiedzą operacyjną – taśmami z kamer bezpieczeństwa, nagraniami prywatnych rozmów telefonicznych, nie gardzili też tradycyjnymi metodami inwigilacji. Cały ten system stworzony został – dowiadujemy się z serialu – przez szefa bezpieczeństwa kartelu z Cali, Jorge Salcedo (Matias Varela). Salcedo to specjalista od elektronicznych gadżetów i świetny organizator, dzięki któremu powstała podwójna siatka ostrzegawcza. Na ulicy konfidenci, a w kluczowych punktach infrastruktury (takich jak centrala telefoniczna) przekupieni zbieracze wrażliwych danych. Efekt jest znakomity: ktokolwiek przybędzie do Cali, by tropić szefów kartelu, sam od początku jest śledzony. A kto się kartelowi sprzeciwi, ten nie ma szans w starciu z ludźmi, którzy wcale nie muszą go okaleczać czy zabijać. Wystarczy, że pokażą zebrane kompromitujące materiały.

Salcedo jest najciekawszą i najważniejszą z nowych postaci w trzecim sezonie „Narcos”. Sam siebie nie uważa za gangstera. Narkotyków nie produkuje i nie sprzedaje, nikogo osobiście nie krzywdzi, obywateli się bez broni. On tylko sortuje dane zebrane dla ważnych mocodawców i zajmuje się tym, co mu akurat dobrze wychodzi – organizuje system bezpieczeństwa. Jest pracowity, cierpliwy, bezbarwny i przekonany, że flirt z kartelem to tylko epizod w jego życiu. Zarobi swoje i otworzy własną firmę ochroniarską. W wątku, którego bohaterem jest Salcedo, widzimy i banalność zła (jestem tylko „urzędnikiem” kartelu, ręce mam czyste), i przypowieść

o nieuniknionych konsekwencjach kompromisu ze złem. Panu Salcedo może się przecież wydawać, że łatwo jest zerwać z kartelem, ale bossowie z Cali mogą mieć na ten temat całkiem inne zdanie.

Ciekawe rzeczy dzieją się także między „Dzentelmenami z Cali”. Poznaliśmy tę ferajnę w poprzednim sezonie „Narcos”. Oprócz mózgu kartelu, Gilberta Orejuela, w najwęższym kręgu decyzyjnym liczą się jeszcze: jego brat Miguel Rodríguez Orejuela (mniej inteligentny i mniej zdecydowany), Hélder „Pacho” Herrera (geniusz przemytu) oraz José „Chepe” Santacruz Londoño, który pilnuje interesów kartelu w Nowym Jorku. Oni zarobili najwięcej i oni są najbardziej przekonani do planu legalizacji swoich fortun. Jednak szefowie pomniejszych rodzin, działający pod parasolem ochronnym Cali, są już mniej entuzjastycznie nastawieni. Dlaczego mieliby porzucić produkcję narkotyków i handel nimi? Szło dobrze, idzie świetnie, a będzie jeszcze lepiej – skoro z branży wycofają się takie reki – jak czołówka kartelu z Cali, to przecież ktoś będzie mógł zająć ich miejsce.

W miarę upływu czasu rośnie napięcie między braćmi – Miguel nie tylko jest głębszy od swego brata Gilberta, lecz także ma kompleks niższości wobec niego, co nie skończy się dobrze dla kartelu w chwilach, kiedy to na Miguela spocznie odpowiedzialność za podejmowanie decyzji. „Pacho” Herrera jest rozdarty – nie wyobraża sobie życia poza narkotykową branżą, ale jest wierny rodzinie Orejuela. Dowiemy się zresztą dlaczego.

W tle dzieje się historia. Mamy już połowę lat 90., w życie weszła umowa o wolnym handlu między USA, Meksykiem i Kanadą (NAFTA). Dla narkotykowych bossów to gwiazdka z nieba: zamiast na rozmaite sposoby przerzucać towar z Kolumbii do amerykańskich portów, mogą zalewać rynek w USA przez granicę meksykańską. Dzięki tej zmianie rosną nowe fortuny – nowym ważnym partnerem „Dzentelmenów z Cali” staje się kartel z Juarez w Meksyku.

Tymczasem agent Javier Peña i jego podwładni robią, co mogą, by dopaść narkotykowych bossów, zanim w życie wejdzie haniebny „układ legalizacyjny”. Będą potrzebowali trochę szczęścia, mnóstwo uporu, no i podobnie jak podczas polowania na Pabla Escobara szukać będą okazji, by wykorzystać te chwile, kiedy członkowie kartelu przez pychę lub niepotrzebne okrucieństwo zadziałają na własną zglubę. Rozgrywka toczy się na wielu szachownicach, oczywiście także w świecie polityki.

WOJNA NIE DO WYGRANIA

Trzeci sezon „Narcos” ogląda się świetnie. Historia jest bardziej zwarta od dzieł Escobara, które relacjonowano nam wcześniej przez 20 odcinków, emocje wynikają z pojedynków typu „kto kogo przechrzty” i nieoczekiwanych odpowiedzi na pytania w stylu „Co ci goście mają jeszcze w zanadrzu?”, a nie z ulicznych strzelanin. Wskazanie rosnącej roli Meksyku w narkobiznesie podpowiada też, co może nas czekać w sezonie czwartym (został już zamówiony).

Morał nie jest specjalnie krępujący. W skali mikro, owszem, cieszyć nas

będzie fakt, że pycha idzie przed upadkiem i że nieliczni skromni oraz cisi mogą przyczynić się do klęski potężnych i skorumpowanych. W skali makro nie wygląda to już tak różowo: w tej walce można wygrywać bitwy, ale nie da się wygrać wojny, w grze są zbyt wielkie pieniądze, zbyt wielki jest popyt na narkotyki. To, co zostaje na końcu, to pojedynczy ludzie uczciwie wykonujący swoją robotę, bo tak trzeba. Taki był bohater głośnego dramatu „Traffic” Stevena Soderbergha sprzed kilkunastu lat, taki jest – mimo mrocznych zakrętów w karierze – główny bohater „Narcos”, agent Javier Peña. © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★
SEZON 3
„NARCOS”
USA 2017

wyst. Pedro Pascal,
Damián Alcázar,
Matias Varela

Jak znaleźć fachowca w pięć minut?

Czasami nawet najdrobniejsze awarie potrafią sparaliżować funkcjonowanie firmy. Znanie powiedzenie mówiące o złośliwości rzeczy martwych lubi się niestety sprawdzać, a biurowe sprzęty potrafią ulec awarii wtedy, kiedy są najbardziej potrzebne. Spowodowane przez przeróżne usterki przestoje w każdym biznesie oznaczają z kolei straty, a poszukiwania solidnego fachowca mogą nieraz zająć sporo czasu. Nawet gdy uda się znaleźć firmę dokonującą błyskawicznych napraw, to takie usługi bywają zazwyczaj dość drogie. Warto więc poszukać rozwiązań, które pozwolą na uniknięcie dodatkowych kosztów i zapewnią ciągłość funkcjonowania firmy.

POMOCY! MAMY PROBLEM

Stresujące sytuacje, takie jak nagła awaria w firmie, wymagają podejmowania szybkich decyzji. Kiedy z kranu leje się woda lub nie działa sprzęt, jedynym wyjściem wydaje się wezwanie fachowca. Naprawa wydaje się najtańszym i najbardziej ekologicznym rozwiązaniem.

Poszukiwania profesjonalnej pomocy mogą być długotrwałe i frustrujące. Dziesiątki telefonów, porównywanie ofert i cen, przeglądanie internetowych opinii i porad mogą zmarnować naprawdę wiele czasu. Pośpiech bywa złym doradcą i dobrze być przygotowanym na taką ewentualność wcześniej.

Jeśli korzystasz z dodatkowego ubezpieczenia (np. Energiczni fachowcy – Pakiet Standard lub Energiczni fachowcy – Pakiet Premium, Spółki ENERGA – OBRÓT SA), to w ciągu kilku minut, przez



FOT. FOTOLIA

Gdzie zgłosić awarię?

Awaria prądu

– Pogotowie Energetyczne

(tel. 991)

Problemy z kanalizacją

– Pogotowie Wodno-Kanalizacyjne

(tel. 994)

Awaria instalacji gazowej

– Pogotowie Gazowe

(tel. 992)

Przed wszystkim poinformuj administrację budynku – jeśli to problem z kablami, gazem czy wodą, to warto też skontaktować się z właściwym pogotowiem przyjmującym takie zgłoszenia.

telefon, możesz zgłosić awarię i umówić wizytę fachowca. Takie rozwiązania dostępne są 24 godziny na dobę przez cały tydzień. W przypadku nagłej awarii nie musisz martwić się o pisemne składanie zgłoszenia. W trakcie rozmowy z konsultantem umawiasz się na spotkanie ze specjalistą i wiesz, że zgłoszenie zostanie

rozpatrzone w możliwie najkrótszym czasie. Dodatkowo takie ubezpieczenie daje gwarancję wykonanej usługi oraz gwarancję pokrycia kosztów materiałów i części użytych podczas naprawy.

DODATKOWE KORZYŚCI

Pośpiech często bywa złym doradcą. Presja czasu może

sprawić, że skusimy się na niesprawdzoną ofertę, która na pierwszy rzut oka wyda się atrakcyjna. Łatwo wtedy trafić na niezetelnego pracownika, którego efekty pracy nie będą zadowalające. Zamiast rozwiązać problem, przysporzy on dodatkowych kłopotów. Ponadto usługi szybkich napraw potrafią sporo kosztować, a wystawiony rachunek może poważnie nadwyrężyć firmowy budżet.

Wybierając ofertę dodatkowego ubezpieczenia dla małej lub średniej firmy, warto wziąć pod uwagę kilka szczegółów. Po pierwsze – jakie usługi dostaniesz w ramach umowy. Czy pakiet obejmuje zarówno specjalistów, takich jak ślusarz, elektryk, czy również serwis urządzeń biurowych.

Sprawdź też, czy w przypadku skomplikowanych napraw uzyskasz pomoc w transporcie i przechowywaniu ocalałego mienia firmy. Przechowywanie urządzeń w trakcie prowadzonych prac zabezpieczy je przed uszkodzeniami i pozwoli uniknąć dodatkowych kosztów. Zwróć też uwagę na dodatkowe korzyści, np. wsparcie ekipy sprzątającej i pomoc w usunięciu szkód.

Pakiet usług może okazać się naprawdę korzystnym rozwiązaniem dla niedużych przedsiębiorstw. Dzięki uzyskanej pomocy twoja firma będzie mogła funkcjonować bez zbędnych przerw. Każdy dzień, a nawet godzina przestoju są równoznaczne z utratą potencjalnych zysków i w konsekwencji mogą się okazać niezwykle kosztowne. Warto rozważyć takie rozwiązanie, ponieważ pozwoli ono poradzić sobie z wieloma uciążliwymi problemami i pozwoli skupić się na rozwoju oraz prowadzeniu przedsiębiorstwa.



Krzysztof Masłoń

W roku szkolnym 2019/2020 uczniowie klas pierwszych szkół ponadpodstawowych zaczną czytać nieco inne lektury. Kontrowersje budzi zwłaszcza poezja Wencła

Ogłoszona przez Ministerstwo Edukacji Narodowej nowa podstawa programowa – jak można było się tego spodziewać – powitana została ze świętym oburzeniem przez przeciwników obecnej władzy, mających za złe całą wprowadzaną reformę oświatową, a w związku z tym także załamujących ręce nad zmianami na liście lektur obowiązkowych i nadobowiązkowych, której, ich zdaniem, winniśmy strzec naczyniem niepodległości.

Jeremiady nad niepowetowaną stratą w postaci usunięcia ze spisu lektur tej czy innej pozycji bądź przeniesienia jej z kategorii obowiązkowych do uzupełniających przyćmiło nadmierne – twierdzą krytycy – uhonorowanie Wojciecha Wencła, nazywanego a to „szerzej nieznanym twórcą”, a to „poetą ludu smoleńskiego” czy „autorem PiS-owskim”, wreszcie – bez owijania w bawełnę – „grafomanem”. Tę ostatnią ocenę zawdzięczamy Rafałowi Grupińskiemu, który nieoczekiwanie przypomniał sobie, że przed wiekami, gdy miał jeszcze inne ambicje niż przewodniczenie Klubowi Parlamentarnemu Platformy Obywatelskiej, parał się krytyką literacką.

KARTAGINĘ NALEŻY ZNISZCZYĆ

Wencel, jak się przynajmniej wydaje, uważa jednak, że co go nie zabije, to wzmocni, i z olimpijskim spokojem znosi miotane nań inwektywy, a ze spotykającymi go szykanami dzielnie sobie radzi, czego dowodem jest reakcja na niedawne usunięcie jego tomu („Epigonia”) z zestawu książek kandydujących do Orfeusza – Nagrody Poetyckiej im. Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Poinformował mianowicie, że i tak nie przyjąłby nagrody, której patronuje autor „Umiłowanego kraju”, pomyślanego jako alternatywa dla hymnu narodowego. Przy okazji wyliczył też inne laury – istniejące bądź, być może, planowane – których sobie nie życzy, a to imienia Tuwima, Broniewskiego, Włodka,

Myśl odsuwając i myśl oszukując

Szyborskiej, Iwaszkiewicza, Ważyka, Przybosa, Słonimskiego, Różewicza itp. A poza tym, zakończył, „uważam, że Pałac Kultury i Nauki im. Józefa Stalina musi zostać zburzony”. Ta ostatnia fraza, wprost nawiązująca do słynnego zdania Katona kończącego wszystkie swoje przemówienia w rzymskim senacie słowami: „Ceterum censeo Carthaginem delendam esse”, wskazuje na dobrą formę poety, niezależnie od tego, czy warszawski „Pekin” podzieli los Kartaginy, czy też nie. W każdym razie i w tej, i w innych wypowiedziach jawi się Wencel jako twórca o wyrazistych poglądach, godnych zarówno upowszechnienia, jak i dyskusji z nimi.

Na razie jednak pozaszkolny polemiki natrząsa się nad takimi wierszami Wencła jak „Matka Boska Smoleńska” czy napisanym na gorąco po tragicznej katastrofie w kwietniu 2010 r. utworem „In hora mortis” („W godzinę śmierci”). Wencłowe strofy nie muszą się podobać, ale mogą być zaczynem świetnej lekcji języka polskiego, w której zawrzeć się da historię i współczesność, refleksję nad dziejami narodowymi, religię i tradycję literacką, wciąż żywą w naszym piśmiennictwie, o czym przekonują również wiersze innego twórcy wprowadzonego do szkolnego kanonu, najwybitniejszego żyjącego poety polskiego – Jarosława Marka Rymkiewicza. I, z dużą pewnością siebie, ośmielam się wyrazić nadzieję, że sąd mój podzieli każdy polonista z prawdziwego zdarzenia. A przynajmniej ten,

który – jak dotąd – nie analizował na lekcji np. „Pamiętnika z powstania warszawskiego” Mirona Białoszewskiego w oderwaniu od znaczenia Sierpnia '44 w historiozofii narodowej, od sporu o sens powstania, od konfrontacji „Pamiętnika...” z innymi utworami literackimi.

Jednak, jakżeby inaczej, łatwiej krytykom wszystkich i wszystkiego, co z rządami Prawa i Sprawiedliwości łączy się oraz kojarzy, łąca na potęgę, że oto usunięty został z listy lektur Czesław Miłosz. W istocie noblista nie został wyrugowany, a znalazł się nawet wśród poetów, których wiersze omawiane mają być już w szkole podstawowej.

No proszę, a tu erudycją zdążył już błysnąć sam Donald Tusk, cytując na Twitterze Miłoszowy „Traktat poetycki”, a dokładnie takie z niego słowa: „Jest ON-R-u spadkobiercą Partia”. Co ma piernik do wiatraka? Czy to ważne? Grunt, że zły PiS pomniejsza Miłosza, wywyższając jakiegoś bliżej nieznanego Tuskowi (choć też z Gdańska) Wencła. Podobne reakcje miały miejsce za rządów „pierwszego PiS”, kiedy to koalicyjny minister edukacji Roman Giertych (ten sam!) śmiało okazać swój sceptycyzm wobec Geniusza Gombrowicza, patronując za to wprowadzeniu do spisu lektur „Listów Nikodema” Jana Dobraczyńskiego. Tym samym z Wencła usiłuje się teraz zrobić Dobraczyńskiego-bis.

„Listy Nikodema”, jak wiadomo, długo nie zagościły wśród szkolnych lektur, bo



FOT. FOTOLIA

Zostałeś naczelnikiem polskiego ludu I tak jak tamten, masz przeciw sobie mocarstwa.

Piękny ten utwór korespondowałby z projekcją filmu Andrzeja Wajdy „Wąsęsa. Człowiek z nadziei” i z przypomnieniem słów najwybitniejszego polskiego twórcy filmowego, że u Wąsęsy mógłby być szoferem. Powiedzmy sobie, że wizja to odległa, bliższa wydaje się bowiem ta, w której w istocie w roku szkolnym 2019/2020 uczniowie klas pierwszych szkół ponadpodstawowych czytać zaczęły nieco inne lektury, niż obecnie czytają ich nieco starsi koledzy. Nad ich losem boleją specjaliści równie fachowi jak prof. Piotr Biedrzycki z Uniwersytetu Jagiellońskiego, którego przeraził narzucony uczniowi obowiązek przeczytania sześciu–siedmiu książek w ciągu roku szkolnego i, jakby tego mało było, dodatkowo jeszcze dużo poezji i fragmentów obszernych tekstów, powiedzmy, eseistycznych. No, zaharują się biedactwa na śmierć!

ŚWIĘTY BOŻE NIE POMOŻE

Nie bierze się jednak pod uwagę tego, że czytelnictwo drastycznie nam spadło w czasie, w którym szkoła robiła bardzo wiele, by jej wychowankowie się nie prześcizali. Oczywiście znana jest niecałkowicie oderwana od rzeczywistości teoria, że nic tak nie zniechęca do czytania jak szkolna lektura, ale skoro tak, to naprawdę nie przejmujemy się z nadmiarem tym, czy uczeń da sobie radę z przyswojeniem pięciu czy dziesięciu książek. Jeśli połknie bakcyła czytania, to pochłonie rocznie 100 tytułów i będzie mu mało. Jeśli zaś zarazi się drukowstrętą, to święty Boże nie pomoże.

A znakomita, większa część dyskusji okołolekturowej jest niczym więcej jak tylko przykrywką dla kolejnego etapu toczącej się bez przerwy rozgrywki czy – jak kto chce – wojny polsko-polskiej. Przy czym głupota sięgnęła zenitu, a najgłośniej krzyżującym obrońcom dawnego ładu, czyli tego sprzed reformy, nie chce się nawet sprawdzić, czy przypadkiem nie kruszą kopii o coś, czego nie ma. I tak, jak pisał Miłosz, którym ochoczo wycierają sobie gęby, „myśl odsuwając i myśl oszukując”. Na przykład kolejne wypadki antysienkiewiczowskie tyczą się usytuowania „Potopu” wśród lektur obowiązkowych (przypomnę, że to bynajmniej nie nowość). A przecież to ksenofobiczne (!!!) dzieło jeszcze niedawno można było zastąpić, rozumiem, że mniej ksenofobicznymi, „Krzyżakami” bądź „Quo vadis”. Z bzduurami polemizować nie warto

(ciekawe, że ataki na Sienkiewicza popiera rzekomy autorytet w tej materii – Olga Tokarczuk); wystarczy tylko spojrzeć do podstawy programowej dla szkół podstawowych, gdzie znajdziemy i „Krzyżaków”, i „Quo vadis”.

NATENCZAS WOJSKI...

W Zakładzie Dydaktyki Literatury i Języka Polskiego oraz Pracowni Innowacji Dydaktycznych Instytutu Filologii Polskiej Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza (nomen omen) w Poznaniu oburzyli się na to, że w szkole podstawowej zalecane są fragmenty „Pana Tadeusza” propagujące – jak czytamy – „ideę zabijania zwierząt”. Tak że – należy rozumieć – opis polowania i koncert Wojskiego na rogu: won!

Chór krytyków lamentuje nad brakiem literatury współczesnej w nowo zaproponowanych lekturach, co znów ma się nijak do rzeczywistości, gdyż jest i Rymkiewicz, i Nowakowski, i Dukaj, i Stasiuk z Tokarczuk pospół, a nawet załapał się Marcin Świetlicki, który – no, to można było przewidzieć – zaprotestował przeciw obecności swojej twórczości w szkolnej edukacji.

Rzecz jasna, nie podoba się, że „Ferdynand” Geniusza Gombrowicza będzie czytane jedynie we fragmentach, trwa płacz po Schulzu i Iwaszkiewicz, upomina się o obowiązkowego Conrada i Nałkowską. W zmianach doszukuje się antyfeminizmu, antysemityzmu, homofobii i lichy wie czego jeszcze. Nie podobają się treści patriotyczne i może przede wszystkim – choć w tym przypadku obowiązuje raczej mniej hałaśliwa retoryka – religijne. Do czegoż to podobne, że w szkołach znajdzie się miejsce dla „Lamentu świętokrzyskiego”, „Rozmowy Mistrza Polikarpa ze Śmiercią”, „Kazań sejmowych” Piotra Skargi i „Kwiatków św. Franciszka”. Przy tym ostatnim tytule o mało nie dostałem apopleksji. Za komuny trwały homeryckie boje, by te piękne opowiadania w cudownym przekładzie Leopolda Staffa wprowadzić do szkolnej edukacji. I to się w końcu udało, by teraz – w wolnej Polsce w ramach krucjaty antychrześcijańskiej – wracać do szkół bez Boga. W PRL istniały szkoły TPD, od innych różniące się tym, że nie było w nich nauczania religii. Później, gdy religię usunięto ze wszystkich szkół, placówki z TPD-owskim szyldem stały się zbyteczne. Widać niektórych za nimi tęsknią. Cóż, stalinizm wiecznie żywy, choć tym razem wprowadzany byłby pod flagą z aż 12 gwiazdami.

MOCARSTWA PRZECIW SOBIE

Nawiasem mówiąc, zmiany w oświacie zachodzą nieustannie i na hasło „reforma edukacyjna” Polak starszej daty ziewa, nic go już bowiem w tej materii nie zdziwi. Mnie np. bliska jest taka wizja przyszłej edukacji humanistycznej nad Wisłą i Odrą, gdy po teoretycznie możliwym przejściu władzy przez „totalną opozycję” teoretycznie postpionowany dziś Miłosz wróciłby do szkolnej ławy, i to koniecznie z wierszem „Do Lecha Wąsęsy” rozpoczynającym się, przypomnę, następująco:

***Po dwustu latach, Lechu Wąsęso,
Po dwustu latach odzyskiwanej i znów
traconej nadziei***



Lekcja z Wencła



Andrzej Horubała

A więc stało się! Wojciech Wencel, rocznik 1972, sztandarowy poeta smoleński, nie tylko celebrujący wszelkie narodowe nieszczęścia, lecz także siebie samego jako celebransa owych nieszczęść wielbiący, został wpisany do kanonu lektur szkolnych

Coś, co zdawać by się mogło groteskowym snem albo elementem szyderczego skeczu sprzed lat „Polska pod rządami PiS”, spełniło się. Uczniowie liceum zapoznają się z erupcją smoleńsko-martyrologicznej weny i będą czytali programowe strofy o tym, że *im bardziej bezsensowny twój zgon się wydoje tym gorętsze składaj dzięki że jesteś Polakiem naród tylko ten zwycięża razem ze swym Bogiem który pocałunkiem śmierci ma znaczoną głowę.*

I zapewniani będą maturzyści, że to, co wypisuje Wencel, to nie jest parodia. Że on tak serio. I że w parafrazie narodowego hymnu, jaką przyrządził poeta, nie należy doszukiwać się ironii: „Jeszcze Polska nie zginęła póki my giniemy”.

Odbędą uczniowie podróż razem z Wenclem po miejscach straceń, polach

przegranych bitew, katowniach. Delektować się będą zestawieniem „Zwiastowania” Fra Angelica z pocztówką przedstawiającą makabryczną ofiarę rzezi wołyńskiej – rozciągnięte na stole zwłoki rozkrojonej, pokawałkowanej Polki. Smakować będą Wenclowych koktajli przyrządzonych z głosów innych poetów, pod których podpina się twórca, przemycać przez nierzadko zręczne utwory psute zakalcem banału, przyglądać oszałamianiu się ojczyźnianymi klimatami, sycić nagminnym nadużywaniem religijnej symboliki.

Zerknąłem na zamieszczony w „Plusie Minusie” mój tekst z roku 2010 pt. „Patriotyzm w trupim pyłe” poświęcony Wojciechowi Wenclowi i miał zawstydzić się furją, z jaką rzuciłem się na jego tomik „De profundis”, upewniłem się o moich racjach. Kpiłem z prof. Macieja Urbanowskiego, który kwiecistym stylem próbował wmówić mi i czytel-

nikom, że wiersze Wencła to – cytuję – „wieniec żałobny utkany z kwiatów poezji polskiej”, mając nadzieję, że to przejściowa choroba, chwilowe otumianie. Sądziłem, że Wencel, poeta dość sprawny, ale często banalny, ogarnie się, tym bardziej że poprzednim, przedsmoleńskim tomikiem zdawał się wreszcie po nudnych wierszykach poprawnego ministranta, po mizernym naśladowaniu Eliota, odnajdywać własny oryginalny ton. W końcu jeszcze niedawno w swych felietonach powoływał się na Andrzeja Bobkowskiego, którego trudno uznać za patrona martyrologicznego patriotyzmu. Liczyłem, że to minie, że jego poezja z nieznosną pochwałą śmierci i przegranej to chwilowe zarażenie się idiomem podrzędnego romantyzmu.

Niestety, z upływem miesięcy zamiast uspokojenia następowało wzmożenie. Wencel uaktywnił się jako publicysta, głosząc jakąś manichejską wizję świata, kreując się na prześladowanego działacza podziemia. A prawicowi czytelnicy, zamiast zobaczyć w jego wierszach zawstydzającą karykaturę swoich wizji świata, zamiast dostrzec, do jakiego wynaturzenia prowadzi budowanie swej tożsamości na lotniczej katastrofie i celebrowaniu klęsk, uznali go za swojego twórcę, za wyraziciela swych tęsknot oraz przekonań.

Za swój lekko nekrofilski tom „De profundis” Wencel zdobył w roku 2011

nagrodę im. Józefa Mackiewicza, a laudację ku jego czci wygłosił Rafał A. Ziemkiewicz, cytując – ku mojemu zdziwieniu – utwory tak mierne, jak „Ojczyzna”:

**Znalazłem igłę w stogu siana – to był Bóg
w jej uchu tkwiła mocna nić – to był honor
po nitce trafiłem do kłębka.**

Rzeczywiście, świetnie nada się to do ćwiczenia szkolnego pod tytułem: wskaż zwroty frazeologiczne, do których nawiązuje poeta w wierszu „Ojczyzna”. No i te metafory: że Bóg to igła, honor to nitka, a kłębek – ojczyzna, a poeta ucieleśnia wszystkie te wartości. Faktycznie, jeśli ktoś doznaje wzmożenia na dźwięk tych słów, to jest w stanie sycić się takimi wierszami i maestrią puenty...

Stało się. Wojciech Wencel zasilili półeczkę ze szkolnymi lekturami. Poeta, triumfując, zaistniał na okładce wrześniowego „Gościa Niedzielnego” i udzielił wywiadu, w którym opowiadał, jak wspaniałą i różnorodną poezję tworzy.

No i co? Trudno polemizować z decyzją Ministerstwa Edukacji Narodowej. Przegrałem. To, co zdawało mi się początkowo osobliwym wykwittem nie dość odpornej na grafomanię głowy, okazało się trwałym elementem polskiej literatury. Smoleńsk zaraził polską wyobraźnię i uaktywnił jedną z najgorszych tradycji literackich. Na nic próby zbudowania jakiegś mądrzejszej wspólnoty pamięci, na nic próby wygaszania nierozumnym odruchów. Zwyciężyli Wencel i jego fani, naprawdę potężni – Andrzej Nowak, Joanna Lichocka, Andrzej Duda. Poeta z gdańskiej Matarni ze swoimi trupio-patriotycznymi wierszami wystąpił w filmie dokumentalnym „Przebudzenie” i zdobył Nagrodę Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej „Zasłużony dla Polszczyzny”.

Cóż z tego, że Krzysztof Koehler próbował z obrazu prezydenckiego pogrzebu w Krakowie wyciągnąć coś więcej? Cóż, że wielu cytowało jego strofy:

**Buty, czerwone sznurowadła,
Rozczłapane adidasy z Carrefoura,
krok po kroku, tureckie dżinsy, pod pachą
zrolowane koce (bo koczowali w koleje
w nocy) i reklamówki, spocone ciała,
a i mężczyzna z dzieckiem na rękę,
O kulach, jak starał się przyklepnąć,
a i sędziwy starzec, AK-owiec?
Widziałeś?**

Widziałeś naród?

**Widziałem, jak wznosi flagi
W łopocie na Rynku w Krakowie,
Jak intonuje pieśń, aż szuby drżą,**

**Jak szuka miejsca, by w przykucu
Najświętszy Sakrament, gdzieś
Na drugim końcu placu, we wnętrzu,
Wznoszony rękami kardynała,
Adorować.**

Widziałem, widziałem, widziałem.

(Krzysztof Koehler „Odpowiedź”
z tomiku „Od morza do morza”)

Na nic to się zdało. Okazało się, że wspólnota ma mieć trupio sine oblicze z wierszy Wencela. A że ten, traktując Smoleńsk jako swoje przeżycie formacyjne, niweczy świętowanie Sierpnia – kogóż to obchodzi? Że niszczy nadzieję na jakieś racjonalne spojrzenie na rzeczywistość, że funduje nam niekończącą się, absurdalną żałobę, kto o to dba.

Wencel w lekturach. Oczywiście można z niego uczynić materiał na fantastyczne lekcje i przecież – jako jednosemestrowy nauczyciel polskiego – wiem, że z poezji z tomików „De profundis” i ostatnio wydanej „Epigonii” da się przyrządzić wyborną intelektualną potrawę. Że da się – z wierszami Wencela jako katalizatorem – obcować z najlepszą polską literaturą. No bo zestawić jego wiersze ze scenami z „Trans-Atlantyku” i pokazać, jak prześmiewczy obraz Związku Kawalerów Ostrogi rysowany przez Gombrowicza znajduje ucieleśnienie w strofach poety laureata. Zobaczyć z uczniami, jak groteskowe są wizje Wencela, poety smoleńskich klimatów i celebrowania wiecznej żałoby. Zestawić je z kuriozalnością comiesięcznych manifestacji smoleńskich, domagających się prawdy, w dwa lata po uzyskaniu pełnej władzy przez PiS (inna sprawa, jaki procent uczestników demonstracji stanowią cynicy). Och tak, stworzyć z tego smakowity podkład do lektury książek o polskim samodurstawie. Książek z szarżami na polskość groteskową, anachroniczną. Szarżami, zdawałoby się już nieaktualnymi, już przebrzmiałymi. A tymczasem, proszę: wziąć można: „O tu, wybili, panie, za wolność wybili!” z „Monizy Clavier” Mrożka i przewracając strony tomików wydawanych przez Arcana, pokazywać tego ekwiwalenty w twórczości poety laureata.

I przecież świetnie oraz ożywczo w kontekście wierszy Wencela zabrzmi anegdota Miłosza, jak w bibliotece

w Berkeley na marginesie książki o polskim romantyzmie i męczeństwie, odnalazł komentarz studenta: „Dobrze im tak!”.

Kłopot w tym, że sprawdzi się tu i główny list prof. Marii Janion do Kongresu Kultury: „Dziś obserwujemy oczywisty, centralnie planowany zwrot ku kulturze upadłego, epigońskiego romantyzmu – kanon stereotypów bogoojczyźnianych i Smoleńsk jako nowy mesjanistyczny mit mają scalać i kołować skrzywdzonych i poniżonych przez poprzednią władzę. Jakże niewydolny i szkodliwy jest dominujący w Polsce wzorzec martyrologiczny!”.

No i jeśli Wencel miałby być sztandarowym poetą polskiej prawej strony, traktowaną serio duchową propozycją, to i Jan Klata ze swoim przerysowanym „Weselem” miałby rację.

Na nic więc zdążyłyby się próby zredefiniowania mitu Powstania Warszawskiego przez „muzealników” i uczynienia z tej narodowej katastrofy wyrazu naszych wolnościowych, państwowych i obywatelskich aspiracji, na nic opowieść o Sierpniu '80 i wysiłki uczynienia z tego polskiego zwycięstwa założycielskiego mitu wolnej Rzeczypospolitej, na nic pozostające jeszcze pod powiekami wielu z nas obrazy Jana Pawła II w polskim parlamencie i jego: „Ale nam się wydarzyło!”... O nie, na to Wencel nam nie pozwoli i wbije ostrogę, przywołując do żałoby oraz rozpamiętywania naszych przegranych. A że taki mit zbiorowy, mit

klęski, jest jednocześnie samospełniającą się przepowiednią, nie trzeba chyba nikomu tłumaczyć. Naród zarażony klęską, na klęski jest skazany.

Napisałem, że lekcje z poezją Wencela mogą być uczną smakowitą. No ale przecież uczniowie słabsi po lekturze „Epigonii” i „De profundis” mogą uznać, że w wielkim polskim sporze rację mają kombinatorzy z Platformy Obywatelskiej i nachalni modernizatorzy z nowomodnych teatrów. Że do sztychów i prześmiewców należy głos ostatni.

Jak z tomikami Wojciecha Wencela w lekturach szkolnych przekonać ich, że jest inaczej – to zadanie niezwykle trudne. Ale nikt nie powiedział, że będzie łatwo.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone





FOT. MATERIAL Y PRASOWE

WIESŁAW
CHĘĆMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Houellebecq mówi, jak żyć



★★★★★

**REŻ. ARNO
HAGERS, ERIK
LIESHOUT,
REINIER VAN
BRUMMELEN**
**„PRZEŻYĆ:
METODA
HOUELLEBECQ”
(„TO STAY ALIVE:
A METHOD”
HOLANDIA 2016**

W 1991 r. mało znany francuski wierszokleta opublikował manifest indywidualizmu zatytułowany „Pozostać żywym”. Był wówczas w dołku osobistym i zawodowym. Minęło jeszcze kilka lat i fortuna pokazała mu faskawsze oblicze. W wieku, w którym inni ulubieńcy muz zaczynają już odcinać kupony od sławy, stał się enfant terrible światowej literatury. Teraz, syty sławy, zapragnął przenieść tamten esej na ekran.

Efektom jest łże-dokument, mniej dołujący niż „Czastki elementarne”, lecz nie tak zabawny jak „Porwanie Michela Houellebecq”. Punktem wyjścia jest mało oryginalne twierdzenie, że twórczość rodzi się z cierpienia i samotności. Oto niemowlę: zanosি প্লaczem, bo przeczuwa, jak nędzna jest

ludzka egzystencja. Oto nastolatek, który jeszcze nigdy nie całował się z dziewczyną. Widzi, jak obiekt jego westchnień bezwstydnie migdał się z innym. Po tym wstrząsie prawdopodobnie zostanie artystą.

Sporo tu złotych myśli typu: „nieoryginalni ludzie nie istnieją”, „wszechświat jest dyskoteką” i „życie to seria testów wytrzymałości”. Przed popadnięciem w pretensjonalny banał film broni się ironią, niepozabawioną wszakże typowo francuskiej kokieterii. Narratorem jest Iggy Pop, zbyt inteligentny i odczytany jak na rockmana, co kino wykorzystuje już od jakiegoś czasu. W ustach ojca chrzestnego punk rocka, który za młodu słynął ze skłonności do autodestrukcji, rada: „Rujnuj sobie życie, ale nie za bardzo” brzmi nieco przekornie. Patrząc prosto w kamerę, Iggy

swym uroczym barytonem snuje opowieści dziwnej treści. Robi to z takim przekonaniem, że trudno oddzielić myśli Houellebecq od jego własnych.

Żywym przykładem prawdziwości też pisarza jest czwórka wyalienowanych twórców z Bożej łaski. Jeden pracoholizm przypłacił manią prześladowczą, literatura jest jego terapią. Drugi to malarz z chorobą dwubiegunową. Stawkę uzupełniają poeta schizofreniczka i zdziwaczka rzeźbiarz (grany osobicie przez autora „Platformy”), który w piwnicy ukrywa instalację artystyczną „Sekret życia”. Pop ją zobaczy, nam nie będzie to dane. Wolno jednak podejrzewać, że to dzieło radykalne i obrazoburcze. Z wykładu wynika bowiem, że społeczeństwo chce zniszczyć artystę, więc ten powinien mu odpłacać tym samym: pisząc, malując lub śpiewając o sprawach skandalicznych i haniebnych. Alternatywą jest ucieczka w samobójstwo lub obłęd.

Iggy zna ten ból. Przebywał w psychiatriku i wie, że szaleńcy są naprawdę sobą. Dlatego ich zamykają. „Walcz, poeto!” – wzywa Houellebecq, chociaż sam do boju się nie rwie i antyfrancuskiej „Uległości” na ekran nie przenosi. ©©

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „KINGSMAN: ZŁOTY KRĄG”

Trzy lata po premierze filmu „Kingsman: Tajne służby” na ekrany trafia jego kontynuacja. To wciąż pastisz Bondów (choć nie tak młodzieżowy jak pokrewny „Alex Rider”), w którym najważniejsza jest tajna organizacja brytyjskich agentów dżentelmenów strzegących świata przed złoćmi. Tyle że tym razem robią to

wraz z zaskakującymi amerykańskimi sojusznikami. Na drugim planie wśród gwiazd Jeff Bridges, Channing Tatum, Halle Berry i Pedro Pascal. ©© **Piotr Gociek**

• „Kingsman: Złoty krąg”, reż. Matthew Vaughn, wyst. Taron Egerton, Colin Firth, Julianne Moore, USA/Wielka Brytania 2017

DO KIN WCHODZĄ TAKŻE:

- „LEGO® NINJAGO: FILM” („The LEGO NINJAGO Movie”), reż. Charlie Bean, USA 2017
- „Ptaki śpiewają w Kigali”, reż. Krzysztof Krauze, Joanna Kos-Krauze, Polska 2017
- „Piękny kraj” („God’s Own Country”), reż. Francis Lee, Wielka Brytania 2017



Jankes potrafi?

Najsłynniejszy filmowy agent nie jest Amerykaninem, z czym Hollywood do dzisiaj nie umie się pogodzić. Próbowano lansować podróbki męskie i damskie, wysiłki Jasona Bourne'a i Ethana Hunta nagrodzono wioletteńską licencją na zarabianie. Niczego to jednak nie zmieniło. James Bond

wciąż rządzi. Atak kolejnego młodego wilczka też wytrzyma, choć aż czterech scenarzystów bieżącego się, by uczynić z Mitcha Rappa godnego konkurenta (następcę?) agenta 007. W rezultacie „American Assassin” stał się osobliwym połączeniem „Skyfall” i „Ośmiorniczki”.

Z filmu wynika, że w zwalczaniu terroryzmu Stany Zjednoczone mogą liczyć jedynie na pomoc Mossadu.

Irańczykom i Turkom nie można ufać z zasady. Europejczycy są zaś bezradni lub sprzedajni. W Warszawie na targu staroci każdy obwieść może kupić pluton potrzebny do budowy bomby nuklearnej. Nic dziwnego, że supermani z CIA bardziej przejmują się losem VI Floty US Navy niż mieszkańców

zgniłego kontynentu. „American Assassin” jakością nie odbiega od innych akcyjniaków made in USA. Jego piętą achillesową jest tytułowy bohater: Go-dzinę po seansie nie pamięta się już jego twarzy. To źle rokuje na przyszłość, choć cykl powieści Vin-ce'a Flynna o przygodach niezdyscyplinowanego łamignata na państwowej pensji opiewa już na 15 tytułów. ©©

Wiesław Chelminiak



★★★★★

REŻ. MICHAEL CUESTA
„AMERICAN ASSASSIN”
USA 2017

wyst. Dylan O'Brien,
Michael Keaton,
Taylor Kitsch



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

GRA TYGODNIA: „DESTINY 2”

„Destiny” była jedną z pierwszych gier, która naprawdę pokazała, na co stać konsole nowej generacji. Jako strażnik posiadający efektywne moce i jeszcze bardziej efektowną broń odpierałeś hordy wrogów od Ostatniego Miasta na Ziemi przez Księżyc do Marsa. Niestety, dla wielu

gra, ze względu na braki fabularne i niedopracowaną rozgrywkę, stała się kompletna dopiero po kilku dodatkach. Druga część naprawia błędy pierwszej – narracja jest bardziej rozbudowana, grafika zachwyca, a wyważenie poziomu trudności i systemu zbierania łupów sprawia,



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

że walka o przyszłość ludzkości jest jeszcze ciekawsza. ©©

Marcin Makowski

- Gatunek: FPS/RPG
- Platforma: PC/PS4/XONE
- Producent, dystrybutor: Bungie/CDP
- Klasyfikacja wiekowa PEGI: 16+

POWRÓT KING KONGA

Cuda się zdarzają – nowy „King Kong” wskrzesza ducha prawdziwej kinowej przygody. Pierwsze pół godziny to jedno z najlepszych zawiązań akcji, jakie w tym roku widzieliśmy w kinie rozrywkowym, m.in. dzięki pomysłowi osadzenia fabuły w ostatnim roku wojny wietnamskiej. Na wyspę zamieszkaną przez gigantyczną małpę rusza ekspedycja zaprawionych w boju wojaków dowodzonych przez charyzmatycznego pułkownika (Samuel L. Jackson). Świetny jest John Goodman jako naukowiec tropiący potwory, a rewelacyjny John C. Reilly jako zestrzelony podczas II wojny światowej pilot, który spędził w gościnie u King Konga 28 lat. Skoro jest bestia, to musi być i piękna kobieta. Fotoreporterkę gra Brie Larson – uwaga, będzie i nowa wariacja na temat sceny „wielka małpa spotyka blondynkę”. Dobre kino rozrywkowe z dreszczykiem, a nawet dreszczem, bo niektóre potwory z Wyspy Czaszki naprawdę robią wrażenie.



★★★★★

REŻ. JORDAN VOGT-ROBERTS
„KONG: WYSPA CZASZKI”
 („KONG: SKULL ISLAND”)
USA 2017,
GALAPAGOS

wyst. Tom Hiddleston, Samuel L. Jackson,
Brie Larson

KOSMOS, NASA, RASA

Za kulisami amerykańskiego programu kosmicznego znajdowali się nie tylko chwaccy piloci, importowani z Niemiec inżynierowie i motywowani przez prezydenta Kennedy'ego naukowcy. Także grupa czarnoskórych kobiet wykonujących obliczenia dla panów doktorów i profesorów. Kilka z nich weszło do historii, ale zanim



★★★★★

REŻ. THEODORE MELFI
„UKRYTE DZIAŁANIA”
 („HIDDEN FIGURES”)
USA 2017,
IMPERIAL

wyst. Taraji P. Henson,
Octavia Spencer, Janelle Monáe

sprawy zaczęły iść dobrze, szły oczywiście źle, bo rasizm i uprzedzenia wobec płci pięknej okazały się w NASA równie silne jak na głębokiej amerykańskiej prowincji. Jest to zatem film o walce o równouprawnienie i o czasach zmiany, ale nienachalny, przyzwoicie opowiedziany i z bardzo sympatycznymi bohaterkami (szczególnie dobrze wypadła Taraji P. Henson w roli głównej). Obsadę uzupełnia niezły Kevin Costner jako szef programu kosmicznego oraz Mahershala Ali (pamiętny lobbysta Remy Danton z „House of Cards”) w roli armijnego weterana. ©©

recenzuje Piotr Gociak

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Brzozowski bez uprzedzeń

Do Stanisława Brzozowskiego bardzo długo byłem uprzedzony, pewnie nie ja jeden, i to nie z powodu przypisywanych mu związków z ochroną, ale przez Sienkiewicza. Trudno, bym cenił najbardziej nieprzejednanego wroga mojego ulubionego pisarza, zarzucającego mu zły smak, obskurantyzm, zaściankowość, wtórność, nienowoczesność, religianctwo i przypisyującego mu wiele innych grzechów, przez wielu uznawanych za główne.

Dlatego też bez większych oporów przyjąłem swego czasu „Człowieka wśród skorpionów” Czesława Miłosza, w którym przyszły noblista, choć głosił chwałę Brzozowskiego, to przytomnie zauważał, że kiedy mówił on, iż „rumieni się ze wstydu za literaturę polską, bo wydała Sienkiewicza i takie arcydzieło fałszu jak »Quo vadis«, nawet przeciwnicy Sienkiewicza krzywili się z niesmakiem. Nie znaczy to, że kampanie Brzozowskiego nie przysparzały mu entuzjastów wśród młodzieży. Byli to jednak na ogół tylko uczuciowi sprzymierzeńcy, opowiadali się za Brzozowskim dlatego, że był »postępowy«, i on sam nie bardzo w nich wierzył”.

Tę „postępowość” autora „Płomieni” podkreślają również współcześnie jego obecni entuzjaści z kręgów „Krytyki Politycznej”.

A przecież z Panem Bogiem się pojednał, nawrócił, by na końcu swojego „Pamiętnika” stwierdzić: „Człowiek jest niezrozumiałą zagadką bez Kościoła. Życie ludzkie jest sztyrdstwem i igraszką, jeżeli Kościoła nie ma”.

W swoim krótkim, brutalnie przerwany przez gruźlicę 33-letnim życiu napisał Brzozowski bardzo wiele, pozostawiając po sobie ogromny dorobek filozoficzny, publicystyczny, powieściopisarski, diarystyczny, którym – dziwi się prof. Maciej Urbanowski, autor



FOT. ANDRZEJ IWANCUK/REPORTER

świeżo wydanej książki „Brzozowski. Nowoczesność” – nie bardzo zainteresował się świat. Czy na przeszkodzie stała wyłącznie bariera językowa, jak sugerował Miłosz? Ten ostatni zmieniał zresztą swój stosunek do Brzozowskiego ewidentnie pod wpływem osobistych przeżyć i doświadczeń. Wcześniej, podejrzewam, miał go za faszystującego nacjonalistę, gdyż taką etykietę otrzymał on od marksistów w stalinizmie, a Miłosz był wobec niego nieufny od lat okupacji, gdy zafascynował się Brzozowskim Andrzej Trzebiński.

Z tą czarną legendą eksponującą rzekome związki autora „Legendy Młodej Polski” z faszystwem rozprawia się prof. Urbanowski w jednym z dziewięciu szkiców składających się na jego książkę. Zaczynając od uświadomienia co bardziej zapalczywym zwolennikom tej wielce problematycznej tezy, że „w roku 1911, gdy pisarz umarł, słowa takie jak »faszysta« czy »fasyzm« nie były znane, bo

też nie było wtedy kryjącego się za tymi słowami zjawiska”.

Maciej Urbanowski zastrzega się, że jego książka nie jest monografią Brzozowskiego, ale zapisem – powiada – „indywidualnej przygody z jego książkami i myślami”. Ten pisarz interesuje go jako „przenikliwy diagnosta nowoczesności, a zarazem jej wyznawca i krytyk”. Marzył on – czytamy – „o unowocześnieniu Polaków i Polski, był entuzjastą nowoczesnej literatury. Podobał mu się wpisany w nią projekt człowieka świadomie stwarzającego swój świat i swoją historię, odpowiedzialnego za siebie i swój los. A zarazem w jednym z listów oświadczał, iż nowoczesność go przeraża i że nie jest w stanie znieść »całego mnóstwa tzw. nowoczesnych idei«”.

Przygląda się autor „Brzozowskiego. Nowoczesności” mniej znanym utworom swojego bohatera, takim jak np. „Pod ciężarem Boga”, powieści skonfiskowanej przez rosyjską cenzurę, i pisany na łożu śmierci „Głosom wśród nocy”. Pisze o stosunku Brzozowskiego do Rosjan i Żydów, a także o niezwyklej żonie pisarza – Antoninie, córce malarza Antoniego Kolberga i bratanicy twórcy polskiej etnografii Oskara Kolberga. Najstarszy z esejów miał swój pierwodruk – po polsku, ale i po angielsku oraz po włosku – w roku 2001, najnowszy w zeszłym roku. Tworzą wizerunek twórcy niejednoznacznego, który wymyka się prostemu przypisaniu do lewicy czy prawicy.

Brzozowski stawia niewygodne pytania, zmusza do refleksji, wydaje się też, że niewiele stracił ze swojej aktualności. W końcu wczytywali się w niego i Jerzy Braun, i Kazimierz Wyka, i Tomasz Burek, i teraz Maciej Urbanowski. Cóż, trzeba będzie odrzucić uprzedzenia i sięgnąć na nowo do jego dzieł. Sienkiewicz mi wybacz. © Wszelkie prawa zastrzeżone



★★★★★

MACIEJ
URBANOWSKI
„BRZozowski.
NOWOCZESNOŚĆ”
WYDAWNICTWO
UNIwersytetu
Łódzkiego,
Łódź 2017



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Z gorącą krwią

To bardzo młodzieńcze opowiadania, ze wszystkimi wadami i zaletami takiego pisania. Wszystkie z lat 40. XX w., wszystkie niepublikowane, odnalezione niedawno w archiwach nowojorskiej biblioteki publicznej (tam to mają biblioteki!). Przeglądamy się Trumanowi Capote, zanim jeszcze wydał pierwszą książkę, wiele lat przed perełką, jaką było „Śniadanie u Tiffany’ego”, i dwie dekady przed jego opus magnum, czyli powieścią „Z zimną krwią”.

Młodzieńcze, więc emocjonalne – 14 tekstów to rodzajowe obrazki, w których słów „łzy”, „miłość” czy „śmierć” mamy w nadmiarze, jak to zwykle bywa u pisarzy odkrywających dopiero, jak bardzo świat boli, i pragnących swoje odkrycia wykrzyścić. Bohaterowie, motywy, deklaracje, niemal wszystko wydaje się nadmiernie melodramatyczne: umierający chłopiec i jego pies, zawody miłosne i nadzieje na wielkie uczucie, zaprzysiężone panie domu fantazjujące na temat tego, jak się pozbyć swoich mężów, chłopak, którego odrzucają wszyscy – od rodziców do niani.

To, co jest w tych historiach odświeżające, to fakt, że są po prostu pisaniem – wielka rzadkość w czasach, gdy niepodzielnie panuje literatura gatunków i nawet dzieła ma-

instreamu roszczące sobie pretensje do uniwersalności korzystają z klisz powieści historycznej, kryminału, horroru czy fantastyki. W miniaturach (bo to naprawdę krótkie teksty) młodego Capote mamy króciutkie obyczajowe historie, czasem zbudowane wokół jednego wydarzenia.

Ta prostota i świeżość przywodzi na myśl wczesne opowiadania Marka Hłaski i przypomina, że często „mniej” znaczy „więcej” (może dlatego spośród wszystkich filmów Emira Kusturicy, a ma w dorobku wiele ekstrawaganckich, najbardziej wzruszający jest debiutancki „Czy pamiętasz Dolly Bell?”).

Współcześni interpretatorzy już dokładają swoje, obudowując teksty sprzed ponad półwiecza współczesnymi tezami: a to, że Capote wykazał zbyt małą wrażliwość wobec ciemnoskórej bohaterki jednego z opowiadań, a to, że ma skłonność do opowieści o outsiderach, bo był homoseksualistą.

Omińcie interpretacje, zajmijcie się lekturą – choć bywa okrutnie pretensjonalna, a zbiór jest mocno nierówny, to już wiadać w tych tekstach wielki talent: oko do szczegółów, ładne dialogi, wielką wrażliwość.

To jeszcze nie jest wielki Truman Capote, ale z pewnością już ktoś wart uwagi. ©©



★★★★★
TRUMAN CAPOTE
„OSTATNI
AUTOBUS I INNE
OPOWIADANIA”
REBIS 2017

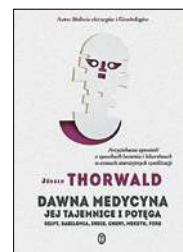
NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Z liczbami się nie dyskutuje, więc bestsellerowa seria „Millennium” musiała znaleźć kontynuatora, nawet jeśli jej autor już nie żyje. Dzieło Stiega Larssona kontynuuje David Lagercrantz, a ta książka to już drugi tom nowej serii.



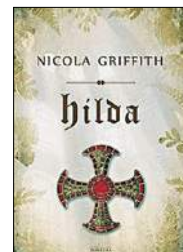
DAVID
LAGERCRANTZ
„MEŻCZYZNA,
KTÓRY GONIŁ
SWÓJ CIEŃ”
CZARNA OWCA

Wznowienie jednej z zapomnianych nieco książek autora „Stulecia chirurgów”. „Dawna medycyna” ukazała się w Polsce w roku 1990, a opowiada o osiągnięciach lekarzy ze starożytnego Egiptu, Indii, Chin czy Meksyku.



JÜRGEN
THORWALD
„DAWNA
MEDYCYNĄ”
WYDAWNICTWO
LITERACKIE

Bohaterką tej barwnej powieści jest młoda dziewczyna, która w przyszłości zostanie benedyktynką i stanie się św. Hildą z Whitby. Tem są fascynujące dzieje Wysp Brytyjskich VII stulecia, czyli jeszcze przed inwazją Normanów.



NICOLA GRIFFITH
„HILDA”
ZYSK I S-KA

Nowa powieść gwiazdy szkockiego kryminału i autora świetnej trylogii „Wyspa Lewis”. Tym razem korzenie zagadki sięgają roku 1965 i pulsującego energią, pełnego nowej muzyki Londynu. ©©



PETER MAY
„NA GIGANCIE”
ALBATROS

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. **Tomasz Piątek „Macierewicz i jego tajemnice” (Arbitror)** – pomieszanie z poplątaniem, czyli rzecz sensacyjna w tonie, wątku, gdy chodzi o fakty.
2. **Marek Krajewski „Mock. Ludzkie zoo” (Znak)** – drugi tom serii kryminałów opowiadających o młodości wrocławskiego policjanta, Eberharda Mocka.
3. **Katarzyna Michalak „Błękitne sny” (Znak)** – bestseller literatury kobiecej, trzeci tom „Leśnej trylogii”, zapoczątkowanej powieścią „Leśna polana”.
4. **Guillaume Musso „Dziewczyna z Brooklynu” (Albatros)** – pisarz w poszukiwaniu ukochanej, która po krótkim czasie znikła w dziwnych okolicznościach.
5. **Paulina Świsł „Prokurator” (Akurat)** – grafomańskie połączenie klimatów z Greya oraz kryminału. Omijać szerokim łukiem.

(Najchętniej kupowane książki w sieci Empik 21.08–3.09.2017 r.)



KONTRA/BASEM

Kielce i Davis

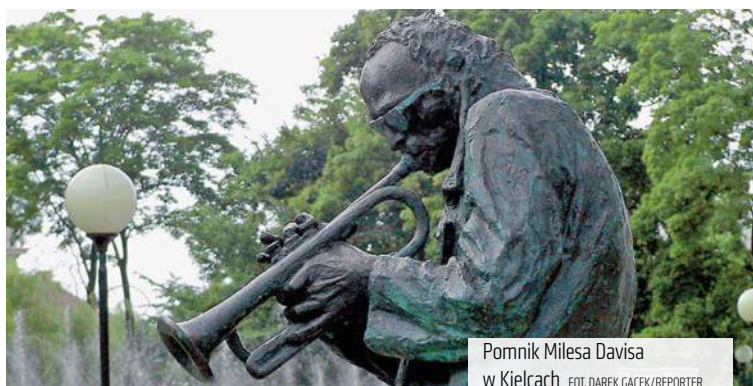
Mija 26 lat (28 września) od śmierci jednego z najwybitniejszych muzyków jazzowych, Milesa Davisa. Miles towarzyszył mi od momentu, gdy złapałem gitarę do ręki, a był to czas, kiedy właśnie ukazały się jego dwa niesamowite albumy wyznaczające nowy, elektryczny nurt jazzu: „In a Silent Way” i „Bitches Brew”. Potem dopiero odkrywałem wcześniejsze nagrania z arcydziełami „Kind of Blue” i „Sketches of Spain”. Do Polski Miles zawitał dwukrotnie. Ten pierwszy koncert, w październiku 1983 r. (trzy miesiące po zniesieniu stanu wojennego), dla naszego środowiska jazzowego był jak detonacja. Znalismy nagrania prawie na pamięć, ale koncert na żywo to inny

świat. Było w tym coś z obrzędu, miało to metafizyczny wymiar. Pamiętam, że do Sali Kongresowej ściągnęła prawie cała jazzowa Polska. Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki (cudownej trąbki) powstają w Polsce zespoły idące tropem wytyczonym przez Milesa: Tie Break, Young Power, Free Cooperation, Green Revolution.

Niedawno nawigując w przepastnych zasobach kablówki, trafiłem na stację jazzową i koncert Milesa w Rotterdamie z lat 80., na którym grał program z albumu „Tutu”. Badziewna realizacja, jakaś dziwna plenerowa scena, trzy, może cztery kamery, kiepskie światło, a mimo to nie mogłem oderwać się od telewizora. Miles hipnotyzował i choć minęła epoka, to ciągle

działa. Nic dziwnego, że przed laty grono polskich fanów powołało do życia festiwal Memorial to Miles. W dniach 29 września–1 października w Kieleckim Centrum Kultury zagrają zespoły, które choć nie wprost nawiązują do repertuaru patrona, to wyróżnia je pewien podobny rodzaj odwagi, świeżości, nieraz drapieżności, która cechowała muzykę Davisa.

Wystąpią m.in. izraelski gitarzysta Dima Gorelik, Wojtek Mazolewski Quintet, szwedzkie trio Ulfa Wakeniusa, a niekwestionowaną gwiazdą festiwalu będzie China Moses, amerykańska wokalistka łącząca jazz, soul i R&B – córka legendarnej Dee Dee Bridgewater. Więcej na: www.jazzfestiwal.kck.com.pl. ©©



Pomnik Milesa Davisa w Kielcach. FOT. DAREK GACEK/REPORTER



GRZEGORZ BRZozowicz

NA SŁUCH

Testament południowca

Mimo przeszczepu wątroby nastąpił nawrót raka i 27 maja odszedł kolejny rockowy arystokrata. Album powstawał, kiedy zegar odliczał Greggowi ostatnie takt.

Historia zespołu Allman Brothers Band nadaje się na hollywoodzki film. Trzy miesiące po ukazaniu się epokowego, koncertowego albumu „At Fillmore East” zginął Duane Allman, jeden z najlepszych gitarzystów w historii. Rok później odszedł basista Berry Oakley. A później wielkie wzloty zastępowały dotkliwie upadki.

Dziesiąty solowy album Gregga należy do jego najlepszych. Tylko pożegnalna ballada „My Only True

Friend” jest jego autorstwa, ale niewątpliwie dołączy do klasyków. Starannie wybrane utwory autorstwa m.in. Boba Dylana, Tima Buckleya, Willa Dixona czy pochodzące z repertuaru zespołów Grateful Dead i Little Feat zostały zrealizowane w słynnym studiu Muscle Shoals pod producenckim nadzorem Dona Wasa. Brzmiałośniewająco jak najlepsze nagrania southern rocka. Mimo bogatych aranżacji (14 muzyków, żeński chór, sekcja dęta) płyta emanuje intymną atmosferą. Kończy ją ballada „Song for Adam” autorstwa Jacksona Browne’a (śpiewa w nagraniu), którą Gregg nagrał w hołdzie bratu. W niebie zapewne teraz z nim jammuje. ©©

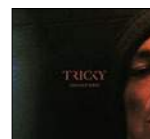


★★★★★
GREGG ALLMAN
„SOUTHERN BLOOD”
ROUNDER



★★★★★
GRIZZLY BEAR
„PAINTED RUINS”
RCA

Nowojorscy faworyci krytyków nagraли piątą urokliwą album w konwencji barokowego popu. Nie jest tak odkrywczy jak wcześniejsze płyty, ale warto pozwolić mu się uwieść. ©©



★★★★★
TRICK
„UNIFORM”
FALSE IDOLS

Ćwierć wieku temu był jedną z najbardziej nowatorskich postaci sceny klubowej. Dzisiaj wspomagany przez kazachskiego rapera i pięć wokalistek wydaje się zagubionym w czasie eksperymentatorem. ©©

JAN POSPIESZALSKI: Jesteś artystą na wskroś współczesnym, nieobce ci progresywny jazz, improwizacja. Tworzysz postmodernistyczne połączenia, gdzie jest miejsce na chorał gregoriański, symfonię, nurt R&B, formy wokalne. Kantatą „Myśląc Ojczyzna” sięgasz głęboko w historię. Dlaczego?

WŁODEK PAWLIK: W 2015 r. pojawiła się możliwość napisania większej formy inspirowanej jubileuszem 1050-lecia chrztu Polski. Pomyślałem sobie, że jeżeli teraz jej nie napiszę, to za 50 lat, na kolejną rocznicę, szans mam niewiele (śmiech). Tak powstała kantata „Myśląc Ojczyzna” na zamówienie MKiDN. Premiera odbyła się 1 lipca w roku jubileuszu, tydzień przed szczytem NATO, w Teatrze Wielkim w Warszawie, tylko dla zaproszonych gości. Teraz, w tym samym miejscu, 23 września zagramy w pełnej obsadzie, już dla szerokiego audytorium.

Mówisz „w pełnym składzie”. Czyli?

Kantata, jak sama nazwa wskazuje, to forma śpiewana, oparta na tekstach wykonywanych przez solistów, chór, naprzemiennie lub razem. W przypadku mojego utworu towarzyszą temu orkiestra symfoniczna i – uwaga! – trio jazzowe. Solistami są znakomici wokaliści operowi, jazzowi i popowi, jak również dwoje dzieci.

Tvoja kantata ma konkretną ideę i program literacki. Jaki?

Sięgnąłem do wierszy Juliusza Słowackiego, Władysława Bełzy, Krzysztofa Kamila Baczyńskiego, a część tekstów napisałem sam. Polskie dzieje, historia wydają się czymś oczywistym, podręcznikowo-



Z Włodkiem Pawlikiem, kompozytorem i pianistą jazzowym rozmawia Jan Pospieszalski

Ideę pod prąd

wym. Wynosimy je z domu, z lekcji historii. Ważne było dla mnie wybranie szczególnych momentów, poczynając od chrztu, który ukształtował Polskę, wprowadzając ją w krąg cywilizacji chrześcijańskiej. Opowiada o tym pierwsza część, potężna introdukcja, która ma dwa podtytuły – „Taniec Pogański” i „Primus Ergo Polonorum Dux”. Tutaj, po bardzo mocnej, dynamicznej, wręcz transowej części, gdzie

chór śpiewa słowa nawiązujące do archaicznego języka pogańskich Polan, następuje czytelne przejście – zmienia się muzyka, zmienia się też język. Łaciński, oryginalny fragment z Galla Anonima opowiada o przyjęciu chrztu przez polskiego władcę Mieszka I. Potem następuje część „Mieszko i Dobrawa”, dalej „Męczennicy”, „Królowa Jadwiga”... Tych części jest 12, więc chyba nie opowiem ich wszystkich (śmiech), ale ten mój subiektywny wybór pokazuje, jak ja widzę podróż przez dzieje. Podróż, którą rozpoczynam właśnie chrztem, a wieńczy ją pieśń „Wsiądź do barki”. Pewnie nie trzeba nikomu wyjaśniać, że utwór ten (akurat z moim tekstem i napisany w konwencji gospel) odnosi się do pontyfikatu Jana Pawła II. W ten sposób świadomie klamrą łączę istotne wydarzenia: to najstarsze i współczesne.

Oczywiście masz rację, nie opowiem o wszystkich 12, ale podaj jeszcze jakiś przykład.

Kolejna pieśń – „Męczennicy” – to utwór o polskich patronach, św. św. Wojciechu i Stanisławie, biskupie z Krakowa. Tutaj chciałem zwrócić uwagę na związek historii Polski z daniną krwi przelaną przez wielkich świętych polskiego Kościoła. I choć wymieniam imiona dwóch świętych, to wiemy, że w kolejnych stuleciach za ich przykładem poszli inni, aż do św. Maksymiliana Kolbego i bł. Jerzego Popiełuszki.

To, o czym mówisz – chrześcijaństwo, polskość, martyrologia – przez wielu ludzi sztuki postrzegane było jako balast, który przeszkadza w modernizacji Polaków. Polską, chrześcijańską tradycję trzeba było odrzucić lub poddać dekonstrukcji w imię budowania nowej, przyszłej i lepszej tożsamości. Zwalczając narodowe mity i stereotypy, wybrano model kserokopiarki, twierdząc, że najlepsza będzie droga imitacji zachodnich trendów. Historia, patriotyzm, silna wspólnotowa tożsamość przez wielu postrzegane są jako źródło opresji. Ty wybrałeś inną drogę...

Nie komponowałem kantaty, aby reinterpretować historię, ponieważ nasze dzieje, szczególnie ten okres najdawniejszy, to księga już zapisana. Do tych fundamentalnych momentów sięgnąłem świadomie. Przecież nie da się zakwestionować zwycięstwa Jana III Sobieskiego pod Wiedniem czy też nie rozumieć wymowy wiersza Baczyńskiego „Elegia o chłopcu polskim”, którym posłużyłem się, aby ukazać dramat Powstania Warszawskiego. Dekonstruując i odrzucając to wszystko, niczego nie budujemy, lecz się wykorzenia. W tytułowym wierszu „Myśląc Ojczyzna” właśnie o zakorzenieniu mówi Karol Wojtyła. Ten sam autor w „Tryptyku” napisał, że aby odnaleźć źródło, trzeba iść pod prąd. Ja widocznie idę pod prąd i to jest moja droga oraz moja wolność.



FOT. MAREK BALAJA

Liberał widzi więcej





Sławomir Cenckiewicz

Alain Besançon kreśli myśli, które są w Polsce sieroce, jeśli nie liczyć wyrzuconych poza nawias debaty intelektualnej kręgów tradycjonalistycznej prawicy

Polski wydawca tekstów Alaina Besançonu słusznie wprowadza nas w poruszające refleksje francuskiego uczonego, sytuując na pierwszym planie jego esej o ortodoksji w religii. Zauważmy, że ortodoksja jest dzisiaj sierotą i powodem do wstydu do tego stopnia, iż nie wspominają o niej nawet katolicy hierarchowie ani papież. A przecież jest ona immanentną cechą każdego systemu religijnego. Jak zauważa Besançon, ortodoksja jest to „maksimum prawdy, którym dysponuje religia”, dostarczając oku „najrozleglejszy pejzaż najlepszego stosunku do rzeczywistości” (herezja zaś „ogranicza pola widzialności”). Jednak jest też ortodoksja „punktem równowagi”, w którym „wszystkie części” systemu religijnego są „ze sobą harmonijnie powiązane i pozwalają się wyraźnie dostrzec w swym wzajemnym oddziaływaniu, by żadnej z tych części nie brakowało, by nie można było ani niczego usunąć, ani bezkarnie dodać niczego heterogenicznego”. A zatem ortodoksja jest czymś naturalnym, a jej zanik zawsze musi rodzić postawy defensywne i pociągnąć za sobą kryzys tożsamości w obrębie konkretnego systemu religijnego.

Pomijając zaproponowaną przez profesora typologię ortodoksji (pogańską, islamską, żydowską i chrześcijańską), problem „złego pogaństwa” oddziałującego na „uznane” religie (zwłaszcza „pogański charakter islamu”) oraz kwestię tzw. pogańskiej heterodoksji opartej na fizycznej przemocy i ofierze składanej z ludzi (charakterystyczną np. dla religii azteckiej), dochodzimy do refleksji najistotniejszej z punktu widzenia katolickiego czytelnika esejów Besançonu. Mam tu na myśli kwestię relacji wspomnianej już naturalności ortodoksji z rewizją katolickiej teologii po II wojnie światowej, a w zasadzie podczas Soboru Watykańskiego II. Besançon, choć generalnie (mimo wątpliwości) uważa – z czym się nie zgadzam – że dogmat (a więc ortodoksja) został w Kościele katolickim

zachowany po dziś dzień, to wielokrotnie wyraźnie stwierdza, że „katastrofy wieku XX” (nazizm, Zagłada, komunizm, ludobójstwo) wymusiły na Kościele „rewizję teologii” ostatecznego wybraństwa nowego Izraela (chrześcijan-katolików) i Chrystusa jedynego Zbawiciela świata.

SOBÓR EFEKTEM WOJNY

A zatem skoro „potworna trauma Szosa nie mogła nie mieć religijnego echa”, to podczas Vaticanum II, a zwłaszcza po jego zakończeniu, kwestia „substytucji” (wybraństwa chrześcijan i zerwania – przez grzech bogobójstwa – przymierza z Bogiem przez Żydów) „została porzucona”. Wojna i tak wyraźnie podkreślana przez Besançonu wyjątkowość Zagłady, rewidując dotychczasowe relacje Kościoła z Synagogą, musiała rzutować na całość nauczania Kościoła katolickiego i to nie tylko w stosunku do wyznawców judaizmu (choć ta sprawa była w obliczu soboru pierwszorzędna). Skoro żydzi (jako wspólnota religijna) w świetle nauki Soboru Watykańskiego II i posoborowych papieży jednak nie utracili swojego wybraństwa, to duch optymistycznej epoki, którą charakteryzuje strach przed wykluczeniem kogokolwiek (z Raju), musiał wymóc niejako rozszerzenie idei wybraństwa na cały rodzaj ludzki, bez względu na wyznawaną religię (deklaracja „Nostra aetate” opisana w eseju „Czy Drugi Sobór Watykański zrozumiał islam?”).

W ten sposób wyznawane w Kościele od zawsze „prawo prawdy” ustąpiło „swobodzie aktu wiary” i „wolności religijnej” bez wskazywania, która z religii jest prawdziwa, a która fałszywa. Kresem tej współczesnej herezji jest unikanie pojęcia grzechu śmiertelnego (pomimo zachowania tej nauki w Katechizmie) i idea pustego piekła lub – jak chce Besançon (w eseju „Dlaczego zmienia się demografia piekła?”) – „masowe uwolnienie i radykalne zmniejszenie liczby potępionych”. Z piekła „wyszli” zatem poganie, których uwolniła „nieprzewidywalna niewiedza” o Bogu; żydzi, gdyż „są wciąż

żywą gałęzią ludu Bożego”; muzułmanie, bo czczą „tego samego Boga” i „oddają cześć Jezusowi i Maryi”; heretycy (nieświadomi wyznawanych błędów); prawosławni („Kościoł siostrzany”) i dzieci zmarłe bez chrztu (nie są winne temu, że dziedziczą grzech pierworodny).

PODWÓJNE MILCZENIE

Alain Besançon jest twórcą oryginalnej tezy o „podwójnym milczeniu” Kościoła w XX w. – najpierw wobec niemieckiego nazizmu (ale od Piusa XII), a później wobec komunizmu (od Jana XXIII). Są to według niego „przemilczenia tej samej natury”. Zupełnie wyjątkowy esej z 2014 r. zatytułowany „Jak Rzym przemyślał rosyjski komunizm?” pozwala nam zrozumieć sposób myślenia Besançonu w tej kwestii. Ważne wydaje mi się „ulożenie” zarzutu „podwójnego milczenia” na osi czasu. Mistrz chwali Piusa XI za „Divini redemptoris” („O bezbożnym komunizmie”) z 1937 r. (choć gani za jednoczesne potępienie liberalizmu) oraz za „Mit brennender Sorge” („Z palącą troską” – o niemieckim nazizmie) także z 1937 r., ale jednocześnie uważa, iż tę symetrię potępienia komunizmu i nazizmu zaburzył podczas II wojny światowej Pius XII, uznając bolszewizm za zło absolutne, znacznie groźniejsze od hitleryzmu. Besançon chwali natomiast papieża Pacellego za obronę depozytu wiary i nieprzejednany antykomunizm po 1945 r., kiedy Związek Sowiecki „usadowił się w obozie pokoju”, a przemyślaną strategią zakulisowego oddziaływania na Zachód starał się skruszyć mury katolickiej ortodoksji i antykomunizmu, licząc na popularność ruchu „księży robotników” oraz rebelieńskich teologów (Chenu, Congara czy de Lubaca).

Rozważania Besançonu wykraczające poza cezurę 1958 r. (śmierć Piusa XII i wybór Jana XXIII) mogą niejednego katolickiego romantyka przyprawić o ból głowy. „Pius XII trzymał go [Kościoł] na baczność! »Dobry papież« Jan XXIII zakomenderował: »Spocznij« i świat duchownych miał ochotę trochę poruszać nogami” – pisze. Profesor uważa bowiem, że od 1958 r. następowała stopniowa rewizja negatywnego stosunku Kościoła do komunizmu (wielokrotnie opisywana na Zachodzie przez historyków, na gruncie polskim po raz pierwszy przez Józefa Mackiewicza), a od 1963 do 1990 r. (pontyfikaty Pawła VI, Jana Pawła I i Jana Pawła II) trwało 27-letnie

„milczenie na temat komunizmu”, a komunizm stał się dla Kościoła „pokusą”. Za wielce symboliczne uznał Besançon to, że pierwsza całościowa diagnoza komunizmu od czasów „Divini redemptoris” pojawiła się dopiero w 1991 r. („Centesimus annus”), kiedy nastąpił już upadek komunizmu w Europie Wschodniej.

O ile jednak milczenie w sprawie nazizmu wynikać miało z „ostrożności”, „kalkulacji politycznej” i „lęklivosti”, o tyle milczenie w sprawie komunizmu wynikało raczej „z sentymentalnego pociągu i uwiedzenia intelektualnego”. Besançon powraca w ten sposób do starej swojej tezy o komunizmie jako swego rodzaju „perversa imitatio”, czyli przewrotnej, fałszywej i zepsutej parareligii (rodzaj gnozy), której istoty Kościół w należyty sposób nie rozpoznał ani nie przeniknął, oddalając od siebie naukę płynącą z „Divini redemptoris”, nie mówiąc już o jej pogłębieniu. Zwłaszcza w latach 60. uległ fałszywemu wyobrażeniu podpowiadającemu, że komunizm rzeczywiście zmierza do „rozwoju” i złagodzenia „niesprawiedliwego podziału dóbr”, podszytego w dodatku propagandą o imperializmie amerykańskim.

REFORMA ANTYKOMUNIZMU

Na podstawie dość nonsensownie dzisiaj brzmiących fragmentów encykliki „Pacem in terris” z 1963 r. o „nowych formach życia społecznego i publicznego”, dzięki którym „społeczność ludzka przekształca się”, „osiąga wolność” lub jest „w trakcie jej zdobywania”, Jan XXIII jawi się jako reformator antykomunizmu. Papież zaczął twierdzić, że „tak naprawdę komuniści poszukują sprawiedliwości i są ludźmi cierpiącymi”, potem „utopił” pierwszą możliwość potępienia przez sobór błędu komunizmu (378 biskupów prosiło o poruszenie tematu współczesnego ateizmu, a szczególnie komunizmu), aż wreszcie patronował tajemnemu „dialogowi” w Metz z agentem KGB o ps. Adamant, czyli abp. Nikodemem (Borysem Rotowem) – przewodniczącym Wydziału Zewnętrznych Stosunków Cerkwi Patriarchatu Moskiewskiego, który oznajmił, że warunkiem uczestnictwa sowieckich prawosławnych w soborze jest milczenie Kościoła katolickiego na temat komunizmu.

„Dobry papież” pozostawił po sobie testament w postaci encykliki „Pacem in terris”. Besançon pisze, że „Pacem in



Alain Besançon FOT. LOUIS MONIER/FORUM

terris” oznaczała „dokładne przyjęcie, bez śladu krytyki, twierdzeń propagandy komunistycznej, jakoby ZSRS był swobodną federacją republik, które większością 95 procent głosów ratyfikowały swoją przynależność do Związku”. Mało tego, „oznaczało to przyjęcie za dobrą monetę – czytamy – oświadczeń skomunizowanych państw takich jak Polska, Węgry, Czechosłowacja, które zapewniały, że dokonały swobodnego wyboru. Ludność tych państw była katolicka, Stolica Apostolska nie mogła nie znać sytuacji tamtejszych Kościołów – chyba jedynie przez jakieś nadzwyczajne zanegowanie uznania rzeczywistości”.

Euforia, optymizm i szalona myśl tamtej epoki, że „Kościół nie powinien mieć wrogów”, a jeśli tacy w ogóle są, to ich potępienie oznaczać musi „niedostatek miłosierdzia”, dało o sobie znać w konstytucji „Gaudium et spes” z grudnia 1965 r. Sobór, już pod wodzą Pawła VI, „przekształcał wrogów w przyjaciół” do tego stopnia, iż twierdził, że „wśród form dzisiejszego ateizmu nie należy pominąć tej, która oczekuje wyzwolenia człowieka przede wszystkim drogą jego wyzwolenia gospodarczego i społecznego”, chociaż dodaje,

iz religia z natury swej stoi na przeszko-dzie, gdyż budząc nadzieje człowieka na przyszłe złudne życie, odstręcza go od budowy państwa ziemskiego”! Besançon jest wobec tej agitki bezlitosny i twierdzi, że pobrzmiewa w niej aluzja do słynnej tezy Karola Marksa o religii jako „opium dla ludu”. Konsekwencją tego soborowego optymizmu i woli „przekształcenia wrogów w przyjaciół” była z kolei watykańska „Ostpolitik”, której ofiarami stali się kard. Mindszenty, kard. Beran, kard. Slipyj...

Czytając tę pouczającą książkę, pomyślałem sobie, że Alain Besançon kreśli myśli, które na dobrą sprawę są w Polsce sieroce, jeśli nie liczyć zaszufladowanych i wyrzuconych poza nawias debaty intelektualnej kręgów tradycjonalistycznej prawicy. Jednak nawet nie to było dla mnie najbardziej dojmującą refleksją. Przy całym moim uznaniu wyjątkowości i wielkości Besançonu uświadomiłem sobie, jak marne jest życie intelektualne w Polsce, skoro żaden liberał nie doszedł do podobnych wniosków lub nie miał odwagi wyłożyć nieszablonych, wykraczających poza linie ideowych podziałów, poglądów na katastrofę wieku XX i jej bieżące konsekwencje. I znów wróciłem pamięcią do doświadczenia lat młodości, kiedy jesienią 1989 r. w ramach „Konwersatorium Sierpień ’80 Uniwersytetu Gdańskiego” po raz pierwszy wysłuchałem francuskiego mistrza sowietologii. Była to zasługa Joanny i Andrzeja Gwiazdów oraz Ewy Kubasiewicz, którzy utrzymywali z Besançonem ożywione kontakty, pozostając pod wrażeniem jego oryginalnych analiz

(stojących w opozycji do uznanych też Zbigniewa Brzezińskiego) dotyczących sowieckiej maskarady zwanej pierestrojką (na łamach drugoobiegowego „Poza układem” Gwiazdowie relacjonowali wówczas poglądy i drukowali teksty Besançon). Powrót do tego pierwszego spotkania z prof. Besançonem na Uniwersytecie Gdańskim, na które przyszła zaledwie garstka kilkunastu słuchaczy, uzmysłowiła mi, że w Polsce wciąż niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o intelektualną recepcję myśli francuskiego uczonego.

Tym bardziej dziękuję środowisku „Teologii Politycznej” za tę książkę! © Wszelkie prawa zastrzeżone



ALAIN BESANÇON
„WSPÓŁCZESNE
PROBLEMY
RELIGIJNE”
TŁUM. WIKTOR
DŁUSKI,
„TEOLOGIA
POLITYCZNA”,
WARSZAWA 2017



IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Szczęście i Lotto

Niedawno była kumulacja w Lotto. Do wygrania było 25 mln zł. Na nędzne 5 mln się zazwyczaj nie łaszczę, ale suma pięć razy większa podziała mi na wyobraźnię. Kupiłem kupon i z radosnym drżeniem zacząłem myśleć, co bym zrobił z taką kupą forsy.

Kulminacja rozmyślań nadeszła wieczorem. W łóżku. Przed snem, gdy przymknąłem oczy. Nie gwarantuję, że mam rację, ale w przededniu szczególnie wypasionych losowań wiele milionów Polaków pograża się w takich uciezkowych widziadłach na granicy jawy i snu. Tak sądzę. Ja w każdym razie odpłynąłem, wyobrażając sobie, jak zmieni się moje życie, gdy już wygram te 25 mln. Albo przynajmniej 12,5 mln. Niech ktoś inny też się nacieszy.

Oczywiście pociągającą wizją była zupełna rezygnacja z pracy. Ach, nie pisać już tych felietonów (domyślam się, że wielu czytelników żałuje, że nie wygrałem), nie stresować się, nie szukać tematów, bimbać sobie na wszystkim i wszystkich. Jakież to pociągające! Jednak potem pociągnąłem tę wizję dalej i uświadomiłem sobie, że zafundowałbym sobie w życiu nudę. Wszak lubię pisać i pewnie bym za tym tęsknił. No dobra, więc tak zupełnie rzucić pracy nie można. Coś tam sobie zostawić trzeba, żeby nie popaść w zupełne zgnęśnienie.

Może zatem więcej podróży? Dwa, trzy lata w trasie? No tak, ale dziecko mi się uczy, mama ma swoje lata, a podróżowanie bez najbliż-

szych to średnia przyjemność. W dodatku ilekroć zdarzało mi się wyjeżdżać poza Polskę na dłużej niż trzy tygodnie, tylekroć pod koniec wojaży dopadała mnie nostalgia. I tęsknota za Zbigniewem Hołdyssem czy Krystyną Jandą.

Marzyłem i marzyłem, i ze zdziwieniem zobaczyłem, że idzie mi z tymi marzeniami gorzej niż kilka lat temu (to oczywiście nie była pierwsza kumulacja w moim życiu). Czy znaczy to, że się postarzałem i przestałem marzyć? Gdzie te Mulatki, które niegdyś wypełniały moje wizje? Gdzie te sportowe wozy i flaszki 30-letniej whisky? Ani chybi starość. A może jest mi tak dobrze, że niewiele muszę w życiu zmieniać? W każdym razie nie na to, co można dostać za pieniądze.

Nieprawdą jest, że pieniądze szczęścia nie dają. Dają, ale zadziwiająco niewielkie. Eric Weiner, autor książki „Geografia szczęścia”, pisze w niej, że wystarczy zarabiać ok. 15 tys. dol. rocznie, by czuć się ukontentowanym z życia (jak na amerykańskie warunki to skromna suma, a i w Polsce to nie jest fortuna). I nie jest tak, że jeśli się ma więcej pieniędzy, to poczucie szczęśliwości rośnie. Milionerzy nie są bardziej spełnieni niż żyjąca w dostatku klasa średnia. A bogatsze narody nie zawsze są szczęśliwsze od uboższych. Wśród światowych szczęśliwców są zarówno Szwajcarzy, jak i Tajowie oraz obywatele Bhutanu.

No tak. Szkoda jednak, że nie wygrałem tych 25 baniek... ©©



MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Mocodawcy

Od czasu słynnej podsłuchanej rozmowy, w której Bartłomiej Sienkiewicz stwierdził, że państwo polskie istnieje czysto teoretycznie, nie przestaje mnie nurtować pytanie: Na ile owa teoretyczność była spontanicznym splotem postkomunistycznych zaszłości, a na ile świadomym działaniem ówczesnych gremiów kierowniczych, które realizowały plan likwidacji państwa polskiego połączony z doraźnym wyciąganiem dla siebie tego, co się da? A więc kwestia sprowadza

Gold, sprawa warszawskich nieruchomości czy afery VAT-owsko-paliwowa – rozkwitały wyłącznie dzięki korupcji niższych urzędników i parasolowi lokalnych władz. Stąd pilna potrzeba odpowiedzi na pytanie, czy odgórne przyzwolenie polegało tylko na tym, że Pierwszy Trampkarz III RP oświadczył kiedyś, tak jak Ludwik Filip Francuzom: „Bogaćcie się!” i zakończył zdaniem: „Ja nie chcę o niczym wiedzieć”, czy też kierownictwo kraju coś niecoś o wszystkim wiedziało i czerpało określone zyski.

Powoli przecież ujawnia się skala przestępstw i można wyobrazić sobie rzekę pieniędzy, płynącą przez wiele lat. Co się z nią stało? Została roztrwoniona? Trafiła do kieszeni grupy oligarchów? Rozsmarowała się wśród szerszej rzeszy beneficjentów, którzy gromko wołają, „by było, jak było”?

Wsumie jest to przecież problem światowy – więcej wiemy o bossach karteli narkotykowych niż o ich wspólnikach z najwyższych władz. Podobnie jest z włoską mafią – jej przywódcy niekiedy wpadają, mocodawcom przydarza się to dużo rzadziej. Cena jest wysoka. Ameryka Łacińska dzięki swoim rządóm wypadła już dawno z kręgu światowych liderów, Polsce również groził postępujący upadek. Czy jego groźbę da się wyeliminować? Będę dużo spokojniejszy, kiedy pęknie omerta uwikłanych płotek i zaczną padać nazwiska z politycznej górnej półki. ©©

Więcej wiemy o bossach karteli narkotykowych niż o ich wspólnikach z najwyższych władz

się do zagadnienia, czy byli to nieudacznicy i złodzieje, czy też złodzieje i zdrajcy. Tutaj przed oczami stają mi pokerowa twarz Waldemara Pawlaka i wielki znak zapytania, czy jego hojność wobec rosyjskiego monopolisty wynikała wyłącznie z ignorancji oraz przyjaznego nastawienia do przyjaciół Moskali? Jest to oczywiście zadanie dla Trybunału Stanu, który – nie wątpię – kiedyś się tym zajmie.

Trudno uwierzyć, że największe przekręty ostatnich lat – Amber



Kahlenberg, 10 września 2017 r.
FOT. NURPHOTO/GETTY IMAGES

Jak lewica pisze historię na nowo



Marcin Makowski

Od Jana III Sobieskiego przez konfederatów do Kolumba i adm. Nelsona. Lewica bierze na celownik przeszłość i pisze ją po swojemu

Wnocy z 8 na 9 września „dowiedzieliśmy się”, że król Jan III Sobieski był nazistą. W rzeczywistości akt wandalizmu dokonany w Kahlenbergu przez austriacką skrajną lewicę mówi więcej o jej podejściu do teraźniejszości niż do historii. To tylko wierzchołek góry lodowej politycznej walki o teraźniejszość, której ofiarami padają najpierw pomniki, a chwilę później fakty.

W owej wojnie nie bierze się jeńców, a na celownik może trafić każdy: od Kolumba do adm. Nelsona. Wszystko w imię jedynej, poprawnej politycznej wizji przeszłości. Jak przekonują nasi rozmówcy – jeśli się nie przeciwstawimy, to będzie tylko gorzej.

„NO NAZI”

Wzgórze Kahlenberg, z którego 12 września 1683 r. zwycięskie uderze-

nie na wojska sułtana Kary Mustafy rozpoczął król Jan III Sobieski, do tej pory nie doczekało się adekwatnego do rangi wydarzenia pomnika. W 2013 r. nakładem krakowskiego bractwa kurkowego wmurowano jednak kamień węgielny pod budowę monumentu oraz postawiono piedestał, na którym widnieją data bitwy, imię władcy oraz tablica z wizualizacją przedsięwzięcia. To właśnie na niej – jak donosi lokalna policja – trzy dni przed rocznicą grupa skrajnie lewicowych aktywistów sprayami napisała m.in. „No nazi”. Jak przed sejmową komisją łączności z Polakami za granicą tłumaczył minister Jan Dziedziczak, „[...] akt wandalizmu należy traktować w kategoriach rywalizacji i walki dwóch konkurencyjnych grup aktywistów – skrajnie prawicowej i skrajnie lewicowej, a stojąca na wzgórzu tablica była dogodnym celem ataku, ponieważ [austriacka prawica – przyp. M.M.] chętnie posługuje się wizerunkiem Sobieskiego jako archetypem walki z muzułmanami”. Problem instrumentalnego wykorzystywania historii do współczesnej walki politycznej sięga jednak znacznie głębiej, a przykład „nazyfikacji” polskiego władcy okazuje się kluczem do zrozumienia tego zjawiska.

– W przypadku wzgórza Kahlenberg mamy do czynienia ze „swobodnym strumieniem skojarzeń” europejskiego lewactwa. Być może ci ludzie słyszą, że Polska jest krajem, który nie chce przyjmować muzułmańskich imigrantów, a Jan III Sobieski pokonał pod Wiedniem muzułmańską armię, i wyciągają z tego wnioski w stylu „był skrajnie prawicowy”. W ich rozumieniu natomiast skrajna prawica to nazizm – przekonuje prof. Marek Kornat, dyrektor Instytutu Historii Polskiej Akademii Nauk. Zdaniem wiceprzewodniczącego Parlamentu Europejskiego Ryszarda Czarneckiego poza „szczególnym podziękowaniem dla Polaków za uratowanie Wiednia przed najazdem imperium osmańskiego” niepokojące jest państwowe przyzwolenie na „poprawianie historii”. – Bardziej od aktów wandalizmu razi mnie postawa Austrii i tamtejszych historyków, którzy od lat robią wszystko, aby pomniejszyć rolę Sobieskiego w odsieczy wiedeńskiej – twierdzi Czarnecki. Jak dodaje prof. Kornat, analogiczna sytuacja ma obecnie miejsce również w Hiszpanii. – Przez Europę i Amerykę przelewa się

fala instytucjonalnego przetwarzania pamięci historycznej. Hiszpańska lewica dąży np. do zlikwidowania mauzoleum gen. Franco w Dolinie Poległych. Co dalej? Na jakich symbolach się zatrzyma? – pyta historyk.

KONFEDERACI

W Stanach Zjednoczonych zwolennicy Antify oraz część władz stanowych postanowili przejść od dywagacji do czynów. Genezę krwawych starć w Charlottesville w Wirginii, podczas których amerykański neonazista zamordował jedną z protestujących, była przecież decyzja o usunięciu z przestrzeni miejskiej pomnika dowódcy konfederatów, gen. Roberta Edwarda Lee. Chociaż wcześniej przez wiele dekad nikomu nie przeszkadzał wizerunek legendarnego stratega, prywatnie zwolennika abolicji, to Robert Lee wpisany w kontekst nacjonalistycznej polityki Donalda Trumpa stał się ideologicznym papierkiem lakmusowym i punktem odniesienia dla wszelkiej maści radykałów. – W tej chwili Ameryka doświadcza skutków ofensywy grupy niewykształconych ideologów, którzy nie znają własnej historii, ale doskonale wiedzą, jak kierować się emocjami. Dlatego właśnie nasz rodzimy taliban z taką łatwością wychodzi na ulice i w aktywistycznym uniesieniu obala pomniki znienawidzonych żołnierzy, mężów stanu oraz generałów – tłumaczy w rozmowie z „Do Rzeczy” akademik i publicysta Christopher Manion, były szef personelu senackiej Komisji Spraw Zagranicznych Stanów Zjednoczonych. – Tego się dzisiaj uczy w naszych szkołach – nie każe się zadawać trudnych pytań, ale szukać „bezpiecznych sfer” i „czuć się dobrze z samym sobą”. Czy jednak ktokolwiek z tych samozwańczych bojowników o przeszłość i historię słyszał o czynach Jana III Sobieskiego, o Lepanto, zna życie Karola Młota i wie, że to dzięki tym i podobnym wydarzeniom istnienie cywilizacji Zachodu w ogóle było możliwe? Wątpię – dodaje Manion.

W pewnym momencie skala dewastacji zabytkowych pomników związanych z konfederacją osiągnęła w Ameryce tak alarmujący poziom, że nawet lewicowo-liberalne media zaczęły występować z apelem o poszanowanie miejsc pamięci oraz dziedzictwa narodowego. „The New York Times” pisał wprost, że akty wandalizmu to również występkę przeciw

sztuce oraz zabytkom, a pomniki żołnierzy Południa „nie mogą być niszczone, tak jak nie niszczy się dowodów i śladów dawnych zbrodni, ale mogą być przeniesione na inne, bardziej adekwatne niż centra miast miejsca”. To wydarzenie, porównywalne skalą absurdu z nazwaniem Sobieskiego nazistą, można jednak zestawzić ze zdewastowaniem popiersia... Krzysztofa Kolumba w nowojorskim Yonkers Park. Ponieważ wydarzyło się to następnego dnia po zajściach w Wirginii, kontekst polityczny nie był dla nikogo zaskoczeniem. Podobnie jak zdewastowanie innego pomnika Kolumba w Houston oraz podpalenie rzeźby Abrahama Lincolna w Chicago. Jak twierdzi Ryszard Czarnecki, podobne wydarzenia można tłumaczyć charakterystycznym dla części współczesnych elit oraz działaczy społecznych ahistoryzmem. – Nagle polski król odpierający Turków staje się symbolem nazizmu, Kolumb poprzez odkrycia geograficzne niewoli Amerykę, Lincoln reprezentuje obskurantyzm. Tutaj nie chodzi o polemikę, ale o wymazanie tych postaci z kart historii – przekonuje wiceprzewodniczący europarlamentu.

ADMIRAŁ NELSON I GRZECH PREZENTYZMU

Oczywiście jak większość złożonych procesów społecznych również „walka z pomnikami” ma swoje drugie dno i prawdziwe, często niemanifestowane wprost cele. Chociaż podczas niezliczonych europejskich i światowych rewolucji w parze z przemocą fizyczną szła przemoc symboliczna, a pomniki padały gęsto, współczesne wydarzenia coś od owych rewolucji różni.

Chyba najtrafniej ujął to Wojciech Stanisławski, który na łamach „Nowej Konfederacji” napisał, że „[...] aktywiści tej rewolty dopuszczają się niewybaczalnego grzechu prezentyzmu, rzutując w przeszłość dzisiejsze rozumienie kategorii sprawiedliwości czy ładu społecznego”. Jak przekonuje historyk, u podstaw ruchu Monuments Must Fall stał „[...] nie gorący gniew, lecz myśl równie chłodna jak przerażająca: myśl o przereagowaniu przeszłości”. Na kanwie dyskusji po Charlottesville, która przelała się również przez brytyjskie media, lewicowa pisarka oraz aktywistka stwierdziła, że wreszcie przyszedł czas na usunięcie z przestrzeni publicznej pomników najsłynniejszego admirała floty brytyjskiej, Horatia Nel-

sona. „Wielu ówczesnych abolicjonistów walczyło w swoich czasach z kłodami rzucanymi pod nogi przez ludzi takich jak Nelson, którego można byłoby dzisiaj nazwać białym rasistą” – napisała w „The Guardian”. W tym samym czasie grupa studentów z Oksfordu domagała się od władz uczelni usunięcia popiersia „imperialisty Cecila Rhodesa” – jednego z najbardziej wpływowych polityków brytyjskich XIX w. oraz twórcy idei kolonialnego imperium w Afryce Południowej. – Wcale mnie to mieszanie porządków nie dziwi. Dla lewicy wszystko w swej naturze jest polityczne. Przecież już Marks w manifestie partii komunistycznej pisał, że: „Historia wszelkiego społeczeństwa dotychczasowego jest historią walk klasowych” – twierdzi Christopher Manion.

Wydaje się, że właśnie w tym miejscu – gdzie przeszłość przeplata się z polityką, ahistoryzm łączy z prezentyzmem, a do kontekstu minionych epok przykłada się miarę współczesności – światowa skrajna lewica uaktywniła się ostatnio z pełną mocą. – Chodzi o narzucenie jedynej słusznej i postępowej wizji historii, wymazując z niej niewygodne i kontrowersyjne postaci. Ta walka będzie się nasilać, ponieważ – jak głosi stara prawda – kto panuje nad przeszłością, ten również kontroluje teraźniejszość – uważa prof. Marek Kornat. Manion dodaje, że to, co się wydarzyło w Kahlenbergu i co dzieje się w USA, ma wspólny mianownik. – Akt wandalizmu zawsze spotka się z większym zainteresowaniem mediów niż książka, którą ktoś pisał przez 10 lat. Nieco głębiej za dewastowaniem miejsc pamięci stoi wysiłek ukrywania historii takiej, jaką była, podjęty zamiast próby jej zrozumienia i wyjaśnienia – mówi były szef personelu senackiej Komisji Spraw Zagranicznych. Gdyby tą samą miarą jak gen. Lee czy adm. Nelsona oceniać całą przeszłość ludzkości, z piedestałów należałoby strącić właściwie wszystkich władców starożytnych, zrównać z ziemią piramidy (symbol wyzyskiwania niewolników), a historię współczesną zacząć od ruchów emancypacyjnych oraz abolicjonizmu. I na nich skończyć. – Zachód zwrócił się przeciwko sobie, przygotowując do spełnienia samobójstwa – odpowiedział mi prof. Marek Chodakiewicz, którego pytałem, jak rozumie źródła prezentyzmu. Oby się mylił.



Robert Bogdański

Na froncie propagandowym i politycznym dzieci są niezastąpione. Żywe, ranne, martwe. Przekształcają światopogląd niczym pigułka Murti-Binga. Oczywiście muszą pasować do przekazu

Dwa lata temu do przekazu pasował znakomicie widok martwego kurdyjskiego chłopca na tureckiej plaży. Przed niewieloma dniami wizerunek martwego australijskiego siedmiolatka zabitego w zamachu w Barcelonie nie był już tak atrakcyjny medialnie i politycznie. Dlaczego? Naiwne pytanie.

TRAGEDIA I STATYSTYKA

Fotografia bezwładnego ciała kilkuletniego chłopczyka ubranego w czerwoną koszulkę z krótkim rękawem i niebieskie krótkie spodenki, leżącego na piasku i omywanego łagodnie morskimi falami, po raz pierwszy pojawiła się w światowych serwisach 2 września 2015 r. Zrobiła ją turecka dziennikarka Nilüfer Demir, pracująca dla agencji Dogan. W następnym roku otrzymała za nią prestiżową nagrodę Press Photo. Jak wyznała, na początku miała wątpliwości, czy powinna była zrobić te zdjęcia, ale instynkt zawodowy przeważał.

Obraz wywołał szok w świecie. Informacje o tysiącach ludzi tonących w Morzu Śródziemnym były dla masowej publiczności abstrakcją. Oglądanie zdjęcia konkretnej osoby, i to wątłego dziecka, które wyglądało tak, jakby spało, było wstrząsającym przeżyciem. Dobrze ujął to były redaktor naczelny brytyjskiego „Observera”, Roger Alton, mówiąc, że „miliony ofiar to statystyka, ale jedno martwe dziecko to tragedia”.

Obraz chłopca był eksploatowany nie tylko przez media, lecz także – bardzo intensywnie – przez kulturę masową. Odbywały się happeningi, w których czasie uczestnicy ubrani w podobne stroje kładli się w miejscach publicznych w podobnych pozach. Bodaj najśłynniejszy zorganizowała na plaży w Rabacie marokańska aktorka Latifa Ahrar. Chiński dysydent i artysta Ai Weiwei był fotografowany w pozie Aylana



Mali chłopcy w krainie Murti-Binga

Kurdiego. Mural przedstawiający chłopca powstał m.in. we Frankfurcie. Hinduski artysta Sudarsan Pattnaik, tworzący wielkie kompozycje z piasku, rzeźbę przedstawiającą nadnaturalnej wielkości figurę Aylana podpisał: „Ludzkość wyrzucona na brzeg – wstyd, wstyd, wstyd...”. Mieszała się w tych działaniach autentyczna potrzeba wyrażenia swojego przerażenia tym, co się stało, z potrzebą zaistnienia.

Oczywiście tak silnie oddziałujące wydarzenie nie mogło pozostać niezauważone przez polityków. Jako pierwszy odezwał się ówczesny prezydent Francji François Hollande, który ze zwykłym dla siebie namaszczeniem odegrał rolę pożytecznego idioty. Zadzwonił do prezydenta Erdoğan, od miesiący świadomie

wypuszczającego strumień migrantów przez swoją granicę ku Europie, wyrażając współczucie i zaniepokojenie. Zaoferował też pomoc, co turecki dyktator przyjął zapewne z uśmiechem, bo zrobił oto ogromny krok na drodze do zawarcia z Unią umowy gwarantującej spore korzyści finansowe i wpuszczenie obywateli jego kraju do strefy Schengen. Hollande ogłosił też, że wypracowany przez Francję i Niemcy sposób rozwiązania kwestii migracji, polegający na przymusowej relokacji przybyszów we wszystkich państwach członkowskich Unii, jest dobry i rozwiąże problem. Jak zwykle w takich przypadkach nadmiar emfazy i chęć pokazania się za wszelką cenę zaowocowały tym, że kto inny zebrał owoce. Tym kimś była Angela



FOT. ASIT KUMAR/AP/FEAST NEWS

Merkel, która tylko czekała, by pokazać się w roli zbawczyni.

WEŻ PIGUŁKĘ

Śmierć chłopca i rozpowszechnienie jego fotografii nastąpiły w momencie dramatycznego nasilenia kryzysu migracyjnego. Od dwóch dni trwała okupacja budapeszteńskiego dworca Keleti przez tłumy migrantów, którzy żądali przepuszczenia ich do Austrii i Niemiec. Rząd węgierski próbujący zastosować się do konwencji dublińskiej, nakazującej rejestrację przybyszów, znalazł się pod ostrzałem mediów całego świata, oskarżających go o bezduszość. Obraz martwego Aylana Kurdiego był w tym momencie symboliczny: oddzielał Viktora Orbána, twardego i bezwzględного polityka, który chciał przestrzegać procedur, nie patrząc na ludzką tragedię, od empatycznej kanclerz Niemiec, chcącej po prostu ratować uchodźców bez względu na koszty i procedury.

Trzy dni po tym, jak obraz chłopca przeorał świadomość Europejczyków, Angela Merkel ogłosiła, że „prawo do azylu politycznego nie ma granic mierzonych liczbą szukających azylu”. Węgry zostały zmuszone do porzucenia prób rejestracji imigrantów i po prostu dostarczyły autobusy, którymi przewieziono ich do Austrii.

Kilka dni później przez europejskie miasta przetoczyły się wielkie demonstracje żądające otwarcia granic i przyjmowania imigrantów, których określano mianem uchodźców. Nikt przy tym nie zwracał uwagi na precyzyjne rozróżnienie tych dwu pojęć. W ogólnej atmosferze moralnego wzmożenia, do jakiej przyczyniło się niewątpliwie zdjęcie małego Aylana, wszelkie próby dochodzenia, którzy z przybyszów są autentycznymi ofiarami wojny, a którzy po prostu szukają lepszego losu w bogatej Europie, były z góry skazane na niepowodzenie. Ginęęły w zgiełku moralnego oburzenia i w powodzi oskarżeń o nieczułość. Europejski system przyjmowania imigrantów opierający się na konwencji dublińskiej został rozmontowany.

Politycznym zwycięzcą okazał się tu przede wszystkim prezydent Turcji. Już w połowie września prawie udało mu się doprowadzić do zawarcia układu z Unią Europejską. Ponieważ jednak oferta Brukseli nie zadowalała go, pozwolił imigrantom płynąć jeszcze jesienią. Zima w naturalny sposób przerwała napływ ludzi, a gdy wiosna przyniosła wznowienie żeglugi, prędko w marcu 2016 r. zawarto układ: Erdoğan otrzymał pieniądze i obietnicę zniesienia wiz. Otrzymał też coś jeszcze: półoficjalne usankcjonowanie przez Unię używania przez niego „broni migracyjnej”. Od tego czasu niejednokrotnie dało się słyszeć ze strony Turcji, że może ona ponownie otworzyć swoją granicę, i nikt nie traktował tego ze zdziwieniem.

Drugim politycznym zwycięzcą była oczywiście Angela Merkel, która przez kryzys spowodowany jej wezwaniem do przyjmowania imigrantów i uchodźców przeszła suchą stopą, a potem zebrała profity. Częściowo stało się tak z powodu silnego wsparcia mediów. Ostatnio opublikowano na ten temat raport pokazujący, że przez całą drugą połowę roku 2015 największe niemieckie media zachowywały się niczym propagandowa tuba spełniająca życzenia rządu. Przeciwnicy niekontrolowanej migracji byli przedstawiani ze wzdargą jako pozbawieni ludzkich uczuć, zwolennicy zaś Willkommenskultur jako dobrzy samarytanie. Dopiero fala gwałtów w noc sylwestrową w Kolonii doprowadziła do otrzeźwienia, ale wówczas osłona mediów nie była już tak potrzebna. Za chwilę wchodziło w życie porozumienie z Erdoğanem, a w Niemczech znajdowało się milion ludzi, którzy mogli zasilić gospodarkę. Jednocześnie system relokacji mógł posłużyć z jednej strony do tego,

aby pozbyć się najmniej produktywnych, a z drugiej do wywierania politycznego nacisku na kraje, których rządy stały się dla niemieckich elit niewygodne, czyli Polskę i Węgry. Wszystko to w aurze dobroci oraz moralnej wyższości.

W tej sytuacji nie jest istotne, że chłopiec, którego zdjęcie posłużyło politykom, nie był w sensie prawa międzynarodowego uchodźcą. Był kurdyjskim dzieckiem pochodzącym z Kobane w Syrii. Nazwisko jego brzmiało inaczej, ale do historii przejdzie jako Kurdi, bo tak jego rodzinę nazywano w Turcji, gdzie zamieszkała po tym, jak walki w jej rodzinnym mieście zmusiły ją do ucieczki. Turcja właśnie była dla niej owym „pierwszym krajem bezpiecznym”, o jakim mówią międzynarodowe umowy. W następnym kraju chłopiec był już imigrantem. Za śmierć jego, jego matki i brata skazani zostali dwaj szmuglerzy ludzi, ale przez dłuższy czas wydawało się, że taki los może spotkać jego ojca, który został wspólnie z nimi postawiony przed sądem. To on prowadził przeciążony ponton, na którym znajdowali się ci, którzy chcieli dotrzeć z plaży koło Bodrum na odległą o 4 km grecką wyspę Kos. Turecki sąd oddalił zarzuty przeciwko ojcu Aylana. Być może dlatego, że w czasie trwania procesu znajdował się już w rodzinnym Kobane i nie zamierzał wracać do Turcji. Nie zamierzał też jechać do Kanady, co było pierwotnym jego zamiarem i bezpośrednim powodem tego, że jego żona i dwóch synów utonęli. Rola ojca małego Aylana nie była od początku jasna: niektórzy z pasażerów feralnego pontonu twierdzili, że to jemu dali pieniądze za przewiezienie do Grecji, on sam utrzymywał natomiast, że złożył wniosek o azyl dla rodziny w Kana-dzie, co okazało się nieprawdą. Niezależnie od tego, jaka była rola ojca, Aylan Kurdi był niewinną ofiarą sytuacji uchodźców z Syrii, a jego śmierć została do maksimum wykorzystana politycznie.

Zdjęć siedmioletniego Juliana Cadmana, który zginął w zamachu samochodowym w Barcelonie, nie znajdziemy w sieci. Nie ma też happeningów, rzeźb z piasku ani murali, choć poza, w jakiej spoczywał po śmierci, była ludzko podobna do pozy Aylana Kurdiego. Ta śmierć nie była potrzebna. W tym przypadku światowe media postanowiły być wrażliwe i nie upowszechniały obrazu, który nie dość, że byłby drastyczny, to jeszcze nie niosłby żadnego użytecznego politycznie przekazu. Murti-Bing jest zapewne zadowolony.

Dwaj nawiedzeni szturmują ziemie muzułmanów [W 800. ROCZNICĘ STARTU V KRUCJATY]



Witold Wojtkiewicz, „Krucjata Dziecięca” (1905)

Juliusz Słowacki:

*„Bo na drogach Pańskich ciemno
I często jest krwią zbryzgana
Ta ciemna i nocna droga,
Krwą szaleńców roztrąconych o Boga”.*

Stanisław Cat-Mackiewicz:

*„Dzieci wyskakiwały w nocy z łóżek, łączyły się w gromady
i urządziły ucieczki-pielgrzymki ku Ziemi Świętej”.*



Waldemar
Łysiak

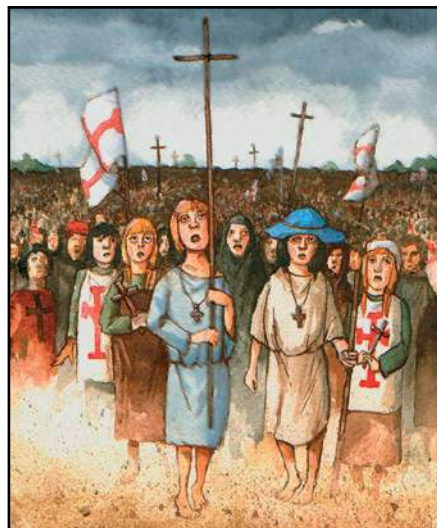
Przez kilka minionych lat słyszeliśmy coraz głośniejsze ostrzeżenia, iż muzułmanie najeżdżają Europę. Zwiemy to tak, bo widzimy kolejne ich fale pełnzące do trzewi Starego Kontynentu. Jeszcze nie rozlewają tu tyle krwi, ile rozlewały dawne ich uderzenia militarne z dwóch kierunków (na zachodzie Półwysep Pirenejski, na południowym wschodzie Bałkany i Ukraina), lecz obiecują, że gwoli ukontentowania Allaha i Mahometa utopia Europę w czerwonej posoce prędkiej czy później. Myśląc o tym warto pamiętać, że chrześcijanie szturmowali tereny muzułmańskie na Bliskim Wschodzie przez dwieście lat (1096–1291), formalnie dla wyzwolenia Ziemi Świętej i odzyskania Grobu Pańskiego, lecz również dla przyczyn ekonomicznych (handlowych, łupieżczych), prestiżowych (terytorialnych, dynastycznych), a nawet zawadiackich tout court. Bieżącego roku mija 800 lat od wyruszenia V krucjaty, którą prowadzili (pod patronatem papieża Honoriusza III) węgierski król Andrzej II i austriacki książę Leopold VI. Szeregi rycerzy z wielu krain gromadziły się przy brzegach Morza Śródziemnego już przed końcem lipca 1217, lecz brakowało statków. Pierwsze wypłynęły do Palestyny na początku września. Lądowano w Akcie i kierowano się (miast ku Jerozolimie!)

ku Egiptowi, przywódcy bowiem uznali (całkowicie nonsensownie), że trzeba tam zrobić dywersję antymuzułmańską. Nie mam zamiaru relacjonować Czytelnikom tej czteroletniej (1217–1221) chybionej krucjaty, są to bowiem dzieje dobrze opisane, chcę natomiast przypomnieć uczestnictwo w niej dwóch „szaleńców Bożych”, słabo pamiętane (święty Franciszek z Asyżu) lub nie pamiętane prawie kompletnie (Mikołaj z Kolonii). Zaczniemy od tego drugiego:

MISTYFIKOWANIE KRUCJATY DZIECIĘCEJ

Mikołaj z Kolonii był jednym spośród trzech głównych liderów tzw. Krucjaty Dziecięcej, obok Stefana z Cloyes i Ottona. Dowodził jej niemiecką falą, która wyruszyła z Nadrenii w lipcu 1212 (francuska wyruszyła z okolic Chartres między Wielkanocą a Zielonymi Świątkami, czyli w maju–czerwcu 1212). Warto temu zjawisku poświęcić parę zdań, gdyż mamy o nim całkowicie błędne wyobrażenia za sprawą sztuki, literatury (również tej scjentycznej) i nawet encyklopedii, które wciąż powielają mitologię dziecięco-krucjatową jako faktografię.

Wyobrażenia polskiej publiczności o Krucjacie Dziecięcej mają swoje godło graficzne niezwyklej urody. Jest nim quasi-monochromatyczne malowidło Witolda Wojtkiewicza „**Krucjata Dziecięca**” (1905): na burzowym tle mającą niewielkie ludziki drepnące wytrwale ku Ideałowi religijnemu, jakby zagubione i skazane/stracone, serce się ścisła widzom. Czytelnikom również ścisłały się serca, gdyż naukowe i popularyzatorskie



relacje przez kilkaset lat mówiły o gehennie dziesiątków tysięcy malców, których tajemnicza siła mistyczna/metafizyczna wyrwała z domostw na gościnie europejskie i skierowała ku portom śródziemnomorskim, skąd chciały udać się do Ziemi Świętej i oczyścić ją z muzułmanów. Prezentowano to niczym rodzaj zbiorowej hipnozy, dziwnego zauroczenia, transu paralunatycznego: koło północy dzieciaki we wszystkich częściach kraju lub regionu budzą się raptownie pod wpływem niezemskiego impulsu, wybiegają na drogi, łączą się w wielkie gromady i ciągną przed siebie tygodniami (tzw. „*Długi Marsz Krucjaty Dziecięcej*”), aż docierają do portów Méditerranée, gdzie zaokrętowują się na statki szczywanich handlarzy, a ci wywożą te biedactwa do portów Orientu i sprzedają „*Saracenom*” (konkretnie: muzułmańskim handlarzom niewolników), czyniąc je katowaną służbą wrogów Chrystusa. Najświeższe edycje PWN-owskich kompendiów piszą o „*sprzedaniu w niewolę*” rzesz owych małoletnich „*krzyżowców*”, chociaż te pseudonaukowe anachronizmy to kompletne bzdury.

Już w drugiej połowie XIX wieku akademicy historycy zwani „*pozytywistami*”, preferujący faktografizm i empiryzm, stąd wrodzy wszelkiej metafizyce, którą przepełniona była historiografia romantyczna — uznali tradycyjną wykładnię Krucjaty Dziecięcej za „*pełną bajan legendę ludową*”. Jednak nie znalazło to szerszego oddźwięku, czego jaskrawy dowód stanowi najpopularniejsze dzieło poświęcone krucjatom, trzynomowa rozprawa brytyjskiego bizantynisty Stevena Runcimana „*History of Crusades*” (1951–1954), pełna klechdowych nonsensów, z których ulepiły „*image*”





Krucjata Dziecięca (sztych z XIX wieku)

■ Krucjaty Dziecięcej średniowieczne kroniki. I właśnie na „**Dziejach wypraw krzyżowych**” Runcimana bazują rodzimi encyklopedyści jako na „*pracy fundamentalnej*”, nie znając rozpraw scjentycznych neglżujących tradycyjną wizję owej krucjaty zmystyfikowanej przez natchnionych konfabulatorów. Rozpraw takich, jak choćby praca amerykańskiego historyka Gary’ego Dicksona „**The Children’s Crusade**” (2009). Dickson wykonał imponującą pracę badawczą: przeczytał chyba każde słowo, jakie kiedykolwiek napisano o Krucjacie Dziecięcej, skonfrontował wszystkie średniowieczne kroniki wzmiankujące o niej, wizytował mnóstwo

ośrodków badawczych i archiwów klasztornych, starał się nie pominąć niczego. W kilkusetstronicowym rezultacie tych badań (broń Boże nie obciążonych przechyłem ateistycznym, wolnych od laickiej tendencyjności) — słowem, które pada najczęściej, jest wyraz: „*mitotwórstwo*”.

Budowniczymi (swoistymi ojcami-założycielami) mitu stali się skrybowie będący (mniej więcej) równieśnikami Mikołaja z Kolonii i Stefana z Cloyes. Naj-

starsze bowiem (czyli najbliższe wydarzeniom) źródła dotyczące Krucjaty Dziecięcej to 23 teksty pisane w XIII wieku (kroniki klasztorne, listy, etc.), ale nie na bieżąco, tylko kilkadziesiąt lat po niej. Są one pełne twierdzeń tak sprzecznych ze sobą, że wzajemnie się wykluczających, jak również niejasności i oczywistych bredni, co razem skłoniło Dicksona do konkluzji bardzo sceptycznej: „*Cale to konfabulacystwo jest medievalnym odpowiednikiem dzisiejszych scenariuszy filmowych, których kanwę stanowiły «wydarzenia autentyczne» swobodnie potraktowane przez scenarzystów*”. A dziejopisowie kolejnych stuleci dodawali do tych „*luźnych*” przekazów

kolejne mistyfikacje, gwoili dramatyzowania zjawiska historycznego.

Przyjrzyjmy się głównym punktom mitologii dziecięcokrucjatowej i głównym słabościom tradycyjnego przekazu:

MIĘDZY PRAWDĄ A LEGENDĄ

● Wszystkie średniowieczne teksty używają (wobec wzmiankowanego zjawiska) terminu: „*peregrinatio puero-rum*”. Po łacinie słowo „*peregrinatio*” to: pielgrzymka, wędrówka. Czy więc tłumaczenie tego wyrazu jako „*krucjata*” nie jest nadużyciem? Być może nie do końca, ale trzeba zważyć tu dwie rzeczy. Tak okolice Chartres, jak i okolice Kolonii, pełne były wówczas pątników, pielgrzymka przewalała się za pielgrzymką, a wędrowni kaznodzieje porywali tłumy apologią wypraw krzyżowych dla odbicia Ziemi Świętej. Ta atmosfera ekstazy religijnej mogła skłonić dużo młodzieży do pielgrzymowania, podczas którego hasła krucjatowe się rozpowszechniały.

● Według średniowiecznych przekazów — w owej krucjacie uczestniczyły głównie dzieci („*pueri*”), jednak słowo „*pueri*” oznacza również młodocianych, kilkunastoletnich, a nawet dużo starszych (słowem tym określano także kawalerów, czyli młodzieńców choćby trzydziestoletnich nieożenionych jeszcze). Wybitny etymolog średniowieczny, Izydor z Seville, głosił, że uczestnicy tej krucjaty są określani słowem „*pueri*” ze względu na swą niewinność, czystość duchową („*puer*” to czysty). Dzisiaj już wiemy, że w Krucjacie Dziecięcej brało również udział mnóstwo dorosłych pątników, a jej trzon „*dzieci*” stanowili nastolatki (wówczas siedemnastoletków uważano za dojrzałych; ciężkie prace, choćby kamieniarskie przy budowie katedr, wykonywali dwunastoletkowie). Mikołaj z Kolonii czy Stefan z Cloyes (nie znamy ich wieku) mogli być smarkaczami charyzmatycznymi, co uczyniło ich liderami pątniczo-krucjatowych marszów.

● Dzisiejsi historycy nie wykluczają też, że zarojenie się młodzieżą dróg francuskich i niemieckich (a w konsekwencji włoskich) A.D. 1212 mogło być rezultatem swoistej epidemii ucieczkowej młodych ludzi tyranizowanych wtedy drastycznie przez rodziców. Starczył jeden wędrowny kaznodzieja epatujący krucjatą młodzieńczą (niewinność dzieci dokonała tego, czego nie zdołał oręż rycerski), by rozpalili płomień pokoleniowego buntu (Dickson pisze o „*wyrywaniu się z do-*



Elias Kanarek, „Krucjata Dziecięca” (~1928)



Fleciści z Hameln według Dika Browne'a oraz (powyżej) żartobliwa współczesna wersja graficzna Krucjaty Dziecięcej



byli — świętymi czy diabłami — nęcili odpustem i cudem. W Rzymie pątnicy/krzyżowcy mieli dostać odpuszczenie wszelkich grzechów, a wody morza miały się rozstać przed nimi, umożliwiając wędrówkę do Ziemi Świętej suchą stopą. Lecz papież był wobec nich obojętny (kler uważał ruch „*pueri*” za pseudokrucjatowy i odżegnywał się od niego), a przy tym niewielu maszerujących osiągnęło pierwszy cel, czyli dolną połowę „*włoskiego buta*”. Marli po drodze (przez bory, rzeki, przełęcze alpejskie) jak muchy, wielu zawróciło do domów, na wybrzeżach morskich zjawyły się resztki pierwotnego tłumu. I gdy jeszcze morze się nie rozstało — upadek ducha tych niedobitków był kompletny. Wyjątkowi twardziele, ci co zawzięli się krucjatowo, musieli czekać kilka lat aż ruszy prawdziwa krucjata, piąta, i dołączyć do jej szeregów. Tak właśnie uczynił Mikołaj z Kolonii.

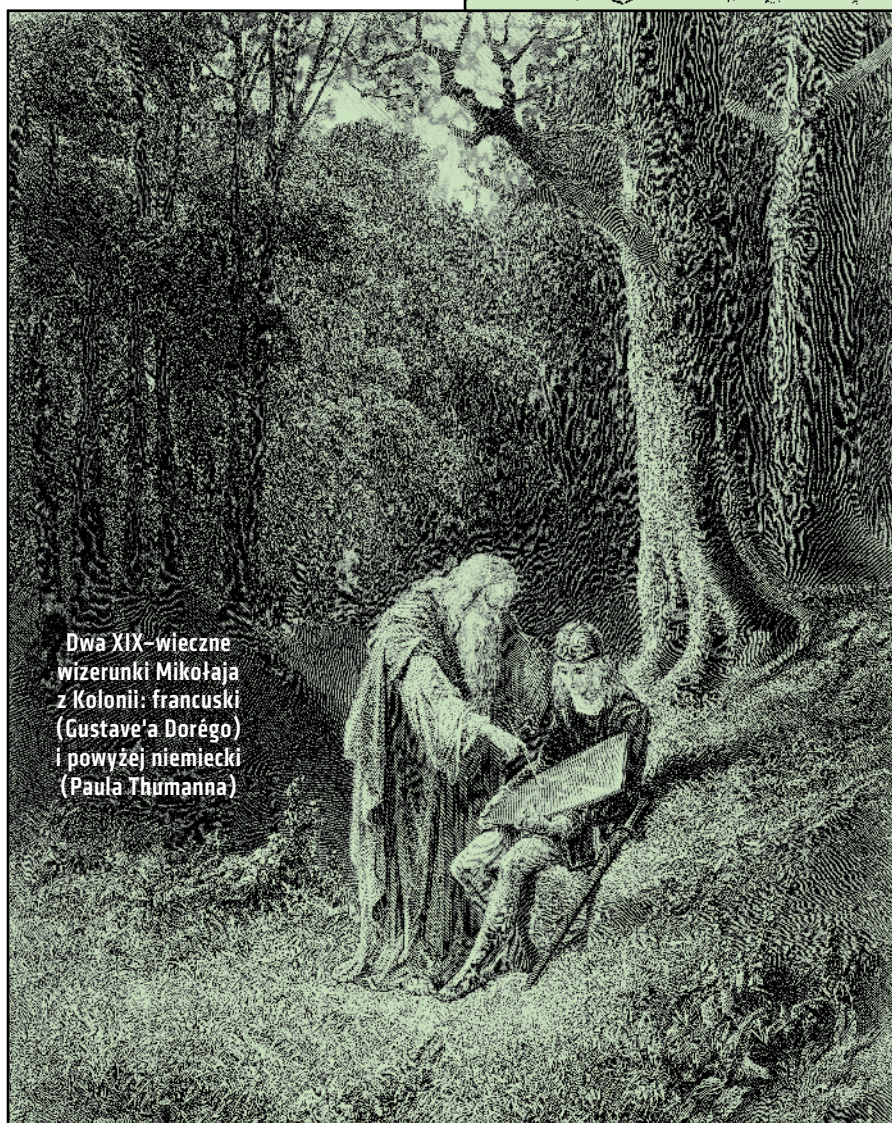
ZAWZIĘTY MIKOŁAJ

Mikołaj z Kolonii prowadził swych „*pueri*” (głównie nadreńskich) wzdłuż Renu, mijając (nieopodal alzackiego Colmaru) klasztor Marbach. Później



mowego uwięzienia”). Co zresztą skłoniło niektórych badaczy do kojarzenia „zaklinacza z Hameln” i owego mnisiego fanatyka, czyli do upatrywania związku między mitologią Krucjaty Dziecięcej a legendą (również XIII-wieczną) o „flecisku z Hameln”, który mszcząc się na mieszczuchach, bo nie zapłacili mu za odszczurzenie grodu, uprowadził poza Hameln, daleko w świat, wszystkie ich dzieci. Ten trzydziestoletni szczurołap miał na imię Piotr; a wywiódł dzieci z Hameln w roku 1284, czyli właśnie wtedy, kiedy gęsie pióra kronikarzy smarowały historijki o Krucjacie Dziecięcej często. Nie od rzeczy będzie też dodać, iż sam Roger Bacon, genialny angielski filozof XIII wieku, sądził, iż uwodzicielem krucjatowych „*pueri*” był „*wysłannik szatana*”. Ciekawostka: minęło od tamtej pory prawie 800 lat i oto roku 1985 wybitny amerykański historyk Warren H. Carroll swym dziełem „*Historia chrześcijaństwa*” mówi tak samo: „*W wyprowadzeniu tysięcy owładniętych złudzeniami dzieci na krucjatę można dopatrywać się ręki szatana*”.

● Ci, którzy motywowali tłumy wędrujące ku stolicy papieżstwa i później ku portom Morza Śródziemnego, kimkolwiek



Dwa XIX-wieczne wizerunki Mikołaja z Kolonii: francuski (Gustave'a Dorégo) i powyżej niemiecki (Paula Thumanna)

■ przekroczyli Alpy (prawdopodobnie przełęczą Brenner, choć historycy nie wykluczają też przełęczy Splügen i przełęczy Chur). Pierwszym miastem włoskim, do którego dotarli, była Piacenza (fakt ów odnotował lokalny annalista Jan Codagnello), po czym ruszyli ku Genui, gdzie zjawili się w sobotę 25 sierpnia. Świadkiem tego był miejscowy skryba Ogerio Pane, dzięki któremu wiemy kto dowodził („*pevien niemiecki chłopak imieniem Mikołaj*”) oraz ilu było tych „*pielgrzymów*” (Pane nie pisze o krucjacie, lecz jedynie o pielgrzymce) — otóż zaledwie 7 tysięcy. Liczba ta mówi dużo, bo przed Alpami wędrowało 15 tysięcy „*pueri*” z Nadrenii (z Kolonii i Moguncji), a więc wykruszyła się już połowa.

Genua to port, mógł zatem Mikołaj stanąć na brzegu morza i błagać, by spełniło się proroctwo. Modlił się, wznosił ręce do Boga („ — *Miserere! Okaż nam litość, Panie!*”, itp.), zaklinał i przeklinał morze, które wszelako pozostało obojętne i nie chciało się rozstąpić. Dla sekundujących temu tysięcy pielgrzymów był to szok. Mając poczucie klęski — zaczęli się rozchodzić (Dickson: „*«pueri» opuścili «en masse» swego Mojżesza*”). Mikołaj kilkakrotnie jeszcze ponowił próby. Wszedł do morza, trzymając nad sobą „*krucjatowy krzyż*”, ale wody nie rozstąpiły się. Zaczął więc pertraktować z kapitanami kotwiczących w porcie statków handlowych. Jeden zgodził się przewieźć Mikołaja do Ziemi Świętej wraz z grupą towarzyszy, lecz nie darmo, a nastoletni „*Mojżesz*” nie miał żadnych finansowych środków (wszędzie po drodze karmiono ich i goszczono litościwie, bez płacenia). Część towarzyszy Mikołaja powędrowała tedy do Marsylii, licząc, że francuskie morze okaże się łaskawsze, inni ruszyli do Pizy, gdzie portowe wody także wykazały obojętność, reszta zaś do Rzymu, licząc (według jednej hipotezy) na pomocne wstawienie papieża u Pana Boga, lub raczej (według drugiej hipotezy) na dyspensę od ślubowania krucjatowego (bo wcześniej przysięgali wziąć udział w krucjacie).

Sam Mikołaj z Kolonii, któremu towarzyszyła garstka wiernych kompanów, dotarł najdalej, bo aż ku „*obcasowi włoskiego buta*”, do portu Brindisi, gdzie przez prawie pięć lat czekał na okazję spełnienia swej misji krucjatowej. Doczekał się w roku 1217, kiedy ruszyła V krucjata, mająca papieskie błogosławieństwo. Statek, jakim płynął, wiozł krzyżowców, którzy podlegali kardynałowi Pelagiuszowi, legatowi papieskiemu. Ładował w Akrze

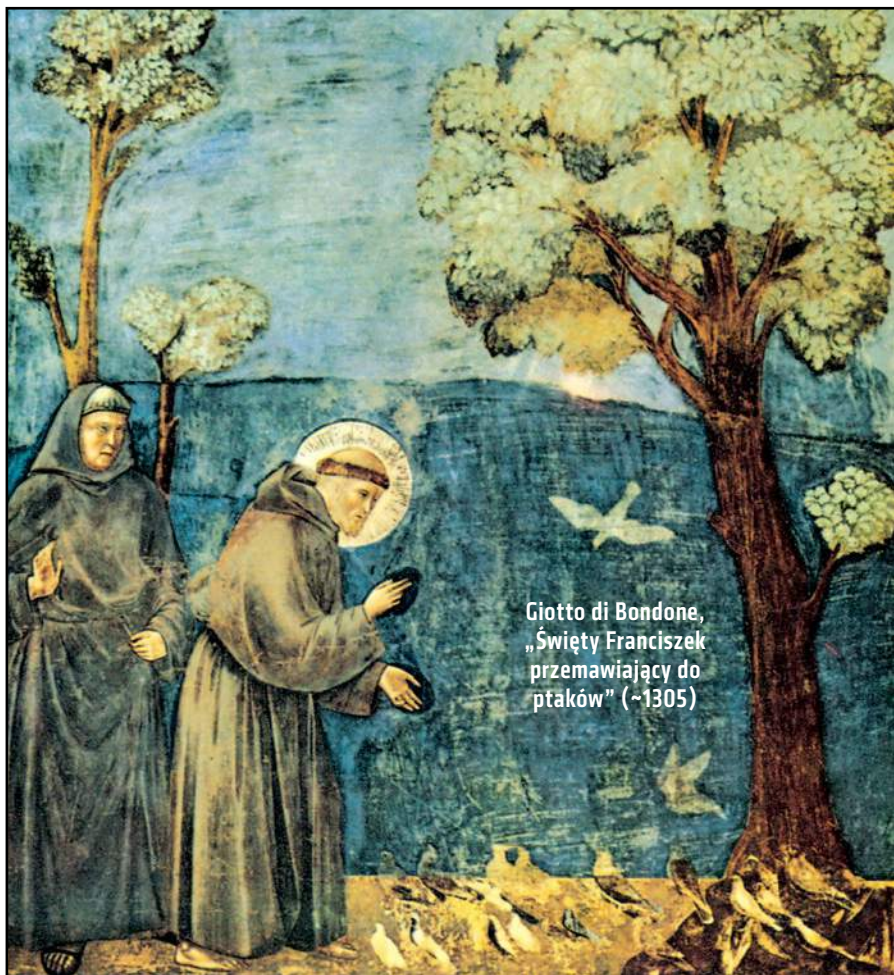


Damietta w dobie krucjat

i walczył dzielnie przez dwa lata, głównie wokół murów Damietty, którą chrześcijanie zdobyli dopiero 5 listopada roku 1219. Historycy przypuszczają, że musiał tam zetknąć się z dziwnym mnichem, który pojawił się wśród oblegających Damiettę krzyżowców późnym latem owego roku. Jest to bardzo możliwe o tyle, że ów mnich wyruszył do Syrii pod wpływem Krucjaty Dziecięcej. Gdy przybyła na teren Włoch i do Rzymu, on również tam był i wzruszył się nią tak mocno, że bezzwłocznie zapragnął jej towarzyszyć. Nie czekał aż rozstąpią się wody morza, tylko znalazł statek i popłynął (złośliwi twierdzili, że spieszył się, bo szukał aureoli męczeństwa, chciał być zamordowany przez „*pohańców*”). Miał na imię Franciszek.

Dzisiaj czcimy tego mnicha jako Franciszka Serafickiego vel świętego Franciszka z Asyżu.

Dla Mikołaja z Kolonii ten przybysz, który wśród krzyżowców pod Damiettą narobił sporego zamieszania, bo zakazywał im walczyć (o czym niżej), nie mógł być figurą anonimową. W ciągu „*Długiego Marszu*” przez Italię i w ciągu pięciu lat spędzonych na południowych wybrzeżach Włoch — musiał o nim dużo słyszeć. Choćby o tym, że to „*Biedaczyna*”, który intensywnie naśladuje Chrystusa, szerząc miłosierdzie i wspomaganie ubogich. I że trzy lata przed Krucjatą Dziecięcą stworzył regułę Braci Mniejszych, a rok po tej krucjacie dostał od hrabiego Orlanda da Chiusi górę Alvernię, na szczycie której rozmawia z Panem Bogiem bezpośrednio. Lub że papieżowi Innocentemu III śniła się w 1209 roku burza chwiejąca kościołem Laterańskim (zwanym „*matką wszystkich kościołów*”), lecz kiedy mury zaczęły już giąć się i pękać, zjawił się jakiś mnich obdartus i swymi barkami podtrzymał świątynię, więc Ojciec Święty zrewanżował mu się uznając regułę franciszkańską



Giotto di Bondone, „Święty Franciszek przemawiający do ptaków” (~1305)

wbrew opozycji niektórych hierarchów Kościoła. Ta legenda była głośna, a religijna ekstaza obydwu (Franciszka i Mikołaja) była znaczna, obaj chcieli całym sercem wzmacniać Kościół, stąd ich rozmowy pod Damiettą musiały być dialogami pulsującymi świętością.

KRUCJATA ŚW. FRANCISZKA

Franciszek wyruszał do Syrii dwukrotnie, za każdym razem z Ankony. Pierwszy raz jesienią 1212, uskrzydłony gorączką Krucjaty Dziecięcej, lecz dotarł wówczas tylko do Dalmacji i musiał zawrócić, nie mogąc wynająć statku płynącego na Bliski Wschód. Później zajęły go sprawy klasztorne i dopiero w 1219 roku znalazł czas oraz ponowną chęć, by wspomóc V krucjatę chrześcijaństwa. Wypłynął zatem, miał kłopoty dalmatyńskie, wreszcie okrężną drogą, przez Maroko, dotarł do syryjskiego celu i zjawił się pod Damiettą 29 sierpnia, kiedy przypadała rocznica ścięcia głowy Janowi Chrzycielowi. Było to apogeum walk o miasto, dlatego

Mnich perswadujący pokój krzyżowcowi (sztych według rys. Lalaisse'a, przed 1838)



wezwanie Franciszka, by zaniechać boju (motywowane, jak twierdzą niektórzy, właśnie tą rocznicą, bo uważał, że walki profanują ów martyrologicznie święty dzień), zostało przez krzyżowców przyjęte ze złością. Tymczasem jemu chodziło generalnie o pokój między walczącymi, i sądził, że stanie się rozjemcą — pogodzi obie strony „Bożym słowem”. Obecny tam wtedy biskup Akry, Jakub z Vitry, notował: „Poznaliśmy przeora zakonu, który sam utworzył, człowieka nieuczonego, prostego, lecz kochającego Boga. Zwał siebie «bratem Franciszkiem»”.

Władcą Egiptu (wicekrólem, choć potocznie zwano go „sultanem Egiptu”) był wówczas Al-Kamil I Mohammed (vel: Melek el-Kamel, jak pisała dawna historiografia). Krzyżowcy V krucjaty walczyli z nim, ale też negocjowali z nim. „Brat Franciszek” postanowił włączyć się w te negocjacje i... nawrócić „sultana”, skłonić sultańskiego namiestnika Egiptu, by ten przyjął wiarę chrześcijańską. Kardynał Pelagiusz, gdy usłyszał o tym, pukał mnichowi w czoło, biorąc go za wariata, lecz po paru dniach uległ natarczywym prośbom i zezwolił głupcowi jechać do obozu wrogów. Dał nawet eskortę Franciszkowi, któremu towarzyszył drugi mnich, „brat *Illuminato*”. Eskorta bała się zapuścić daleko ku obszarom muzułmańskim, więc finalną część drogi dwaj mnisi pokonali sami. Franciszek kroczył śpiewając: „*Choćbym szedł ciemną dolinę, zła się nie ulękę, bo Ty jesteś ze mną!*”, a kiedy mijali stado owiec, rzekł do wystraszonego towarzysza: „ — *Odwagi, bracie. Zaufaj Temu, który posyła nas niczym owce do stada wilków*”. Straże obozu muzułmańskiego trochę obu poturbowały, lecz widząc



Walka krzyżowców pod Damiettą (ilustracja współczesna)

■ łagodność „niewiernych” i słysząc jak Franciszek powtarza: „ — *Soldan! Soldan!*” (Sułtan! Sułtan!) — skuły ich kajdanami i zaprowadziły przed oblicze władcy Egiptu.

Al-Kamil spytał Franciszka najpierw czy jest on emisariuszem krzyżowców oblegających Damiettę. Włoch odparł, że w pewnym sensie tak, lecz że głównie jest emisariuszem chrześcijańskiego Boga. Został więc spytany po co przybył. Odparł, że chodzi mu zwłaszcza o to, by nawrócić na wiarę chrześcijańską jak najwięcej muzułmanów, przede wszystkim zaś samego Al-Kamila. „*Sułtan*” był człowiekiem mądrym i dobrotliwym, dlatego nie rozgniewał się, tylko zapytał czemu miałby zmieniać wiarę. Franciszek wyjaśnił mu, że dlatego, iż Jezus Chrystus to jedyny prawdziwy Bóg, absolutnie wszechmocny, i zaproponował, że dowiedzie tej prawdy wchodząc do rozpalonego pieca (wyrażając taką chęć Franciszek łamał kościelne prawo, gdyż cztery lata wcześniej, roku 1215, Czwarty Sobór Laterański stanowczo zakazał praktykowania tzw. „*próby ognia*” vel „*próby płomieni*” vel „*próby żaru*”). „*Sułtan*” grzecznie odmówił przyjęcia chrztu chrześcijańskiego,

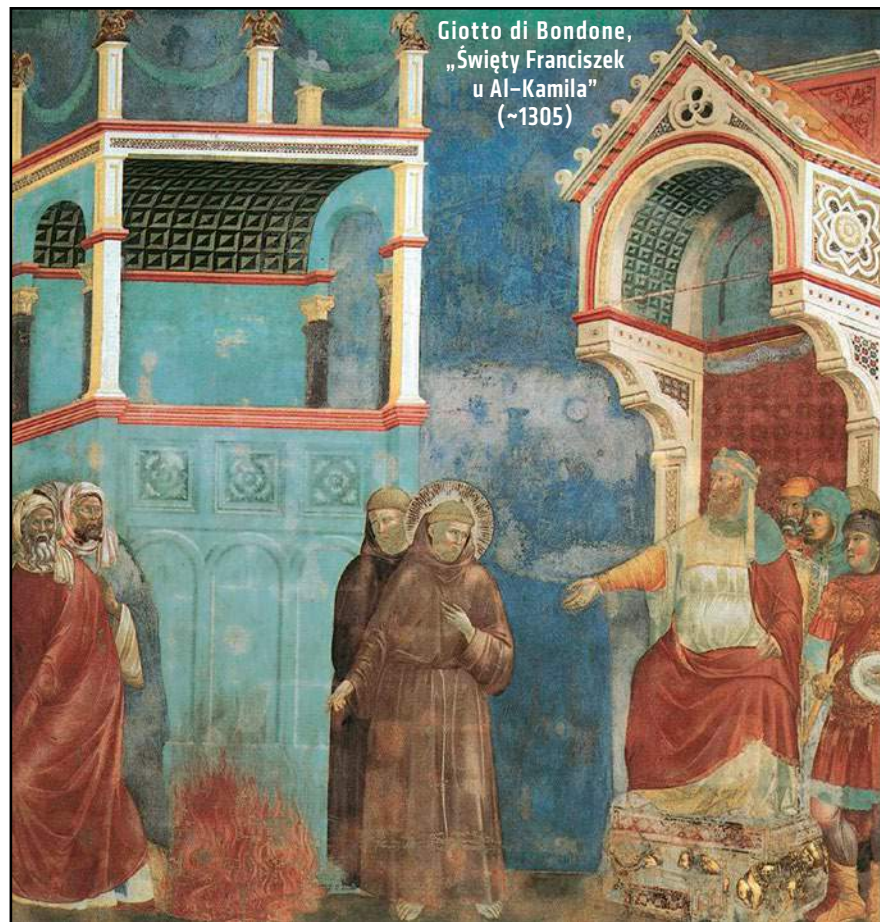
po czym obaj gawędzili jeszcze jakiś czas. Przy pożegnaniu Al-Kamil ofiarował mnichowi bogate dary, lecz Franciszek wziął spośród nich tylko piękny róg, mówiąc, że będzie nim wzywał wiernych na kazania.

„*Sułtan*” osobiście odprowadził go ku liniom chrześcijańskim i pożegnał drugi raz, prosząc: „ — *Nie zapominaj o mnie w swych modlitwach, przyjacielu*”. Według dużo późniejszej legendy: umierając miał półprzytomny już Al-Kamil wzywać do swego łóża świętego Franciszka z Asyżu (kanonizowano „*Biedaczynę*” A.D. 1228).

Franciszek rozmawiał z „*sułtanem*” we wrześniu roku 1219. Ten dialog mógł mieć wpływ na zaskakującą dla krzyżowców decyzję, którą Al-Kamil podjął właśnie w końcu tego miesiąca. Przysłał do oblegających Damiettę hierarchów V krucjaty dwóch uwolnionych rycerzy chrześcijańskich z następującą propozycją: jeśli odstąpią od murów grodu i opuszczą Egipt, to on przekaze im Jerozolimę, środkową Palestynę plus Galileę, zwróci relikwie Krzyża Świętego (które utracili w bitwie pod Hattinem) i wypuści wszystkich wziętych do niewoli krzyżowców. Głupota Pelagiusza i reszty sztabowców V krucjaty kazała im na te warunki splunąć. Co ich



Bonaventura Berlinghieri, „Święty Franciszek” (1235)



Giotto di Bondone, „Święty Franciszek u Al-Kamila” (~1305)

kosztowało wkrótce klęskę i hańbę — do robek V krucjaty okazał się zerowy.

* * * * *

Obaj „*szaleńcy Boży*” wrócili zdrowo do domu. Franciszek opuścił Bliski Wschód A.D. 1220 i tegoż roku zjawił się w Asyżu, zaś Mikołaj rok później zjawił się w Kolonii. Po tym drugim zostały głównie średniowieczne klechdy, natomiast po tym pierwszym wielkie humanitarne przesłanie Chrystusowe dla całego świata. Tak silnie gnące karki, tak mocne, że ulegali mu (podobnie jak Al-Kamil) również wrogowie *empireum* chrześcijańskiego. Niech przykładem będzie pułkownik Valentin Müller, z woli Hitlera wojenny komendant Asyżu. Był typowym butnym „*Szwabem*”, lecz gdy stanął u grobu Franciszka, doznał łaski objawienia. Podczas trwania okupacji bronił mieszkańców miasta przed soldateską, ukrywał Żydów, karał żołnierzy za krzywdy wyrządzone ludności i rekompensował szkody. Gdy dowiedział się, że jego zwierzchnictwo armijne chce wysadzić Asyż, zrobił wszystko (ryzykując głową), by nie doszło do takiego barbarzyństwa. Za te starania został później uhonorowany tablicą pamiątkową przez mieszkańców miasta, według których jemu również przysługiwało miano „*szaleńca Bożego*”. ©



PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Kawalerzysta płk Beck u steru państwa

Ja nie jestem dyplomatą. Mój dyrektor gabinetu, pan Łubieński, jest dyplomatą, a ja jestem pułkownikiem konnej artylerii”. Te słowa wypowiedziane przez ostatniego ministra spraw zagranicznych II RP przytoczył Sławomir M. Nowinowski we wstępie do książki „Pułkownik Józef Beck (1894–1944). Żołnierz, dyplomata, polityk”.

Niestety, duże europejskie państwo to organizm znacznie bardziej skomplikowany niż armata ciągnięta przez kilka koni. I nie można takim państwem kierować tak, jak kieruje się konnym zaprzęgiem. Słowa Becka, które miały dodać mu animuszu, po latach brzmią więc tragicznie. Wiemy bowiem, jak fatalne skutki przyniosła Polsce jego ryzykowna, pełna dezynwoltury polityka.

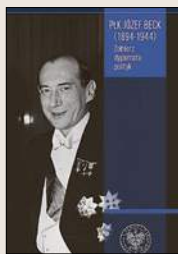
Wydana przez IPN książka to zbiór tekstów dotyczących biografii oraz koncepcji politycznych Becka. Na szczególną uwagę zasługują artykuł Piotra Wandycza „Piłsudski i Beck” oraz analiza niemieckiej polityki ministra pióra niezastąpionego prof. Stanisława Żerki.

Znakomity naukowiec dowodzi, że słynna „polityka równowagi”, jaką miał rzekomo prowadzić Beck, nigdy nie istniała. Do

Berlina było bowiem Polsce znacznie bliżej niż do Moskwy. W rzeczywistości Polska prowadziła politykę balansowania między Francją a Niemcami. A podpisany w 1934 r. układ z Berlinem stanowił podstawę naszej pozycji w Europie. Pozwolił uwolnić się Polsce spod kurateli francuskiej „starszej siostry”.

„Ładnie byśmy wyglądali, gdybyśmy nie mieli dzisiaj polsko-niemieckiej deklaracji o nieagresji. Przecież w rozmowach londyńskich sprzedano by nas za 2 funty i 13 szylingów” – mówił Beck po brytyjsko-francuskich konsultacjach w sprawie polityki wobec Niemiec.

Beck, mówiąc to, miał niewątpliwie rację. Niestety, w 1939 r. zmienił zdanie i wprowadził Polskę do wojny, opierając się jedynie na papierowych anglofrancuskich gwarancjach.



★★★★★

**RED. SŁAWOMIR
M. NOWINOWSKI**
**„PUŁKOWNIK
JÓZEF BECK
(1894–1944).
ŻOŁNIERZ,
DYPLOMATA,
POLITYK”**
IPN

Już we wstępie do książki Sławomir M. Nowinowski deklaruje, że jest przeciwnikiem „czarnej legendy” Becka i „rewolwerowych teorii dziennikarskich”. Przygotowana przez niego książka nie jest jednak hagiografią i może stanowić kolejny przyczynek do pasjonującej dyskusji między przeciwnikami a zwolennikami polityki płk. Becka. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Dzielny pies Cywil

Niedawno pisałem o serialach dla młodzieży z epoki PRL, warto jednak przypomnieć, że w tych latach telewizja (nawet w wersji dla młodego widza) była narzędziem propagandy. Takim też produktem był serial „Przygody psa Cywila” (premiera 9 września 1971 r.), którego tytułowy bohater był godnym następcą słynnego Szarika.

Tytułowy bohater był godnym następcą słynnego Szarika

Reżyser, Krzysztof Szmagier, miał owczarka o imieniu Bej, który został głównym bohaterem produkcji. Niestety, władzom telewizji źle się kojarzyło imię psa (w krajach muzułmańskich oznaczało wysokiego urzędnika, natomiast w slangu młodzieżowym skończono go lenia), wobec tego Beja przechrzczono na Cywila, i tak już zostało.

Serial nigdy by nie powstał, gdyby nie współpraca producentów z milicją i wojskiem, które nieodpłatnie użyczały sprzętu (nawet śmigłowców). To było w czasach PRL naturalne, film miał mieć przesłanie propagandowe, zatem wspomagano jego twórców. O sukcesie zadecydowały jednak dobry scenariusz i znakomita obsada. W rolę opiekuna Beja, sierż. Walczaka, wcielił się krakowski plastyk i artysta Piwnicy pod Baranami,

Krzysztof Litwin. Cieszył się on w tym czasie już znaczną popularnością wśród młodzieży po roli w „Niewiarygodnych przygodach Marka Piegusa”, jednak największą sympatię przyniosła mu rola przewodnika Beja. Serial oglądali także dorośli, więc Litwin nie miał nigdy problemów w urzędach, pytano go tylko, dlaczego nie przyszedł ze swoim psem.

W produkcji wzięło udział wielu znakomitych aktorów, którzy obecnie nie lubią się do tego przyznawać. Do dziś wesołość wzbudzają perypetie przełożonego Walczaka, tępego służbisty, por. Zubka (Wojciech Pokora), na ekranie pojawił się też Piotr Fronczewski. W serialu wystąpił także Stanisław Tym, który wcielił się w rolę bezwzględного mordercy, uciekiniera z więzienia. Największą karierę zrobiła jednak scenografka Ewa Braun, która po latach dostała Oscara za kostiumy do „Listy Schindlera”. Treser Beja, płk Franciszek Szydełko, brał udział w realizacji największych polskich produkcji – z „W pustyni i w puszczy”, „Quo vadis” i „Ogniem i mieczem” na czele. Nie ograniczał się wyłącznie do psów, opracowywał sceny z udziałem: węży, kaczek, tchórzofretek i owadów... Na swój los nie mógł narzekać także Szmagier, który niebawem wyreżyserował kolejną kultową produkcję o przygodach dzielnych milicjantów – „07 zgłoś się”. Stare sentymenty powodują, że do dziś widzowie chętnie oglądają bohaterów swojej młodości, nawet gdy noszą milicyjne mundury... ©©



Przez lata wydawało się, że Josef Mengele był dla Mossadu jednym z najważniejszych celów. Analiza odtajnionych właśnie akt izraelskiego wywiadu na temat osławionego „Anioła Śmierci” z Auschwitz-Birkenau pokazuje jednak, że przez długie lata pojęcie go było dla Izraela kompletnie trzeciorzędną sprawą.

Analizy tysięcy stron akt z „Teczki »Meltzera«” (tak brzmiał kryptonim Mengele używany przez Mossad) dokonał Ronen Bergman, dziennikarz śledczy izraelskiej gazety „Yedioth Ahronoth”.

Historia nieudanego polowania na Mengelego na dobre zaczęła się w maju 1960 r., przy okazji pojmania w Buenos Aires Adolfa Eichmanna. Mengele, nieniekoszony przez nikogo, mieszkał już w stolicy Argentyny od 12 lat. W 1948 r. uciekł z Niemiec za ocean, używając fałszywego nazwiska. Dosyć szybko poczuł się jednak w Argentynie na tyle swobodnie, że wrócił do swojego prawdziwego nazwiska, umieszczając je nawet na drzwiach swojego mieszkania.

Ekipa Mossadu, która w maju 1960 r. pojawiła się w Buenos Aires z zadaniem porwania Eichmanna, dostała równocześnie – dzięki pracy Szymona Wiesenthala – informacje o miejscu pobytu Mengelego.

– Znaleźliśmy mieszkanie, w którym mieszkał Mengele, ale akurat wtedy nie zastaliśmy go w domu. Sąsiad powiedział, że pojechał na kilka dni na wakacje – powiedział w rozmowie z nami Rafi Eitan, emerytowany oficer Mossadu, który był wówczas szefem pionu operacyjnego Mossadu i osobiście nadzorował w Buenos Aires akcję porwania Eichmanna.

Isserowi Harelowi, ówczesnemu szefowi Mossadu, marzył się jednak podwójny sukces. Chciał, żeby ekipa Eitana za jednym zamachem pojmała dwóch niemieckich zbrodniarzy. Eitan miał jednak duże wątpliwości co do tego planu.

– Zasugerowałem mojemu szefowi, żebyśmy nie zajmowali się Mengelem, ponieważ mieliśmy już jednego ptaszka w klatce i naszym najważniejszym zadaniem było dostarczenie go do Izraela. Każda nowa operacja wiązałaby się z niepotrzebnym ryzykiem. Dlatego postanowiliśmy dokończyć jedną operację i dopiero później rozpocząć kolejną.

Gdy jednak gruchnęła wiadomość o porwaniu Eichmanna, Mengele zapadł się pod ziemię – nie wrócił już do swo-

Jak Mossad odpuścił Mengelemu



Piotr Włoczyk

Upublicznione właśnie akta Mossadu dotyczące Josefa Mengelego pokazują, jak bardzo różniła się rzeczywistość izraelskiego pościgu za „Aniołem Śmierci” od naszych wyobrażeń na ten temat

jego mieszkania, które przez długi czas pozostawało pod obserwacją Mossadu. W tym okresie sprawa Mengelego była jeszcze traktowana przez Izrael priorytetowo i nie szczędzono na nią środków.

FASCYNACJA BLIŹNIAKAMI

Izraelczycy chcieli dostać w swoje ręce i postawić przed sądem człowieka, który wyselekcjonował na rampie w Auschwitz-Birkenau i posłał na śmierć być może nawet 400 tys. ludzi. Z relacji jego współpracowników wiemy, że Mengele uwielbiał dokonywać selekcji i robił wszystko, by spędzać na rampie jak najwięcej czasu. Szczególnie zależało mu na wyłuskiwaniu z nowych transportów bliźniaków, na których przeprowadzał swoje przerażające eksperymenty.

Jedną z jego ofiar była Eva Mozes Kor, która trafiła do Auschwitz-Birkenau w maju 1944 r., mając 10 lat. Eva stała się numerem A-7063, a jej siostra bliźniaczka Miriam A-7064.

– Miałam bardzo wysoką gorączkę i trzęsłam się cała, choć na zewnątrz było bardzo gorąco. Spuchły mi ręce i nogi, a na całym ciele pojawiły się czerwone wypryski – powiedziała w rozmowie z „Do Rzeczy” Eva Mozes Kor. – Zabrano mnie do obozowego szpitala położonego tuż obok krematoriów. Następnego dnia rano pojawił się koło mojego łóżka Josef Mengele z czterema innymi lekarzami. Spojrzał na wykres z temperaturą i zaśmiał się, mówiąc z przekąsem: „Wielka szkoda. Taka młoda dziewczynka, a nie zostało jej więcej niż dwa tygodnie życia...”

Jakimś cudem jej organizm przetrzymał jednak potworne eksperymenty „Anioła Śmierci”. Po latach dowiedziała się z dokumentacji znalezionej w obozie, że została zarażona m.in. gruźlicą i szkarlatyną.

– Gdybym wtedy umarła, moja siostra natychmiast zostałaby wysłana do prosektorium i zabito by ją zastrzykiem chloroformu prosto w serce. Mengele przeprowadziły na naszych ciałach równolegle dwie sekcje zwłok, żeby porównać, jakie zmiany wywołała choroba w moim organizmie. Wiele par bliźniaków spotkał ten straszny los – mówi Eva Mozes Kor.

Mengele napędzała chora ambicja – chciał dokonać przełomu w nazistowskiej genetyce. Był przekonany, że uda mu się odkryć sekret ciąży bliźniaczych i wkrótce dzięki jego „badaniom” nie-

mieckie kobiety będą masowo rodziły bliźnięta.

Z tego powodu Mengele zmuszał uwięzione w obozie bliźnięta do współżycia – chciał się przekonać, jak często dochodzi do ciąży mnogich u samych bliźniaków.

Wśród wielu „eksperymentów” przeprowadzanych przez Mengelego, kompletnie bezużytecznych z punktu widzenia medycyny, szczególnym okrucieństwem wyróżniało się m.in. odstawianie niemowlaków od pokarmu, by przekonać się, po jakim czasie umrą, czy zszywanie rodzeństwa ze sobą.

„Anioł Śmierci” pracował w Auschwitz od maja 1943 do stycznia 1945 r. Do samego końca wysyłał wyniki makabrycznych eksperymentów swojemu idolowi, piewcy nazistowskiej eugeniki, prof. Otmarowi von Verschuerowi, kierownikowi Instytutu Antropologii Cesarza Wilhelma w Berlinie-Dahlem.

RAKIETY WAŻNIEJSZE

Od czasu, gdy wiadomość o porwaniu Eichmanna wystraszyła Mengelego i zmusiła go do ucieczki z Buenos Aires, minęły dwa lata. Przez ten czas Mossad nie miał na jego temat żadnych wiarygodnych informacji.

Jak opisuje to Bergman, w końcu w 1962 r. Izraelczycy uzyskali od Willemasa Sassena, holenderskiego nazisty i znajomego Mengelego, informację, że ich cel żyje wśród nazistowskich uciekinierów w pobliżu São Paulo.

23 lipca 1962 r. w wiosce pod São Paulo jeden z agentów Mossadu wypatrzył w grupie mężczyzn człowieka, który wyglądał dokładnie jak selekcjoner z Auschwitz-Birkenau.

Jednak ku zaskoczeniu izraelskiej ekipy ścigającej Mengelego szef Mossadu Isser Harel nakazał przerwanie całej operacji. Mossad już nigdy nie był bliżej schwytania „Anioła Śmierci”. Jak tłumaczy Bergman, tego samego dnia okazało się, że Egipt ściąga do siebie niemieckich naukowców, aby zbudować arsenał rakietowy. W jednej chwili zostało to uznane za pierwszoplanowe zagrożenie dla egzystencji Izraela i Harel wszystkie siły przesunął na ten odcinek.

Następca Harela, Me’ir Amit, nie zmienił kursu. Amit ujął sprawę prosto: należało zaprzestać „ścigać duchy przeszłości i poświęcić wszystkie dostępne środki sprawom zagrażającym bezpieczeństwu państwa”. Polowanie na

nazistów stało się kompletnie pobocznym wątkiem.

Gdy w 1968 r. jeden z agentów Mossadu postanowił działać na podstawie wiarygodnej informacji, że w okolicy São Paulo po raz kolejny pojawił się Mengele, centrala agencji szybko odwołała go do Izraela. Przez kolejne dziewięć lat właściwie nic się nie działo ze sprawą Mengelego.

Wszystko zmieniło się w 1977 r., gdy premierem został Menachem Begin. Wyrównanie rachunków z czasów II wojny światowej było w jego oczach priorytetem. Nakazał on Mossadowi „wznowienie poszukiwań nazistowskich zbrodniarzy wojennych, w szczególności Josefa Mengelego. Jeżeli nie jest możliwe sprowadzenie ich na proces, należy ich zabić”.

Pomysłów na dotarcie do Mengelego, jak pisze Bergman, nie brakowało. Mossad myślał nawet o porwaniu 12-letniego syna Hansa-Ulricha Rudela, asa Luftwaffe, który był przyjacielem Mengelego z lat szkolnych. Porwanie miało zmusić Rudela do ujawnienia miejsca pobytu Mengelego, ale ostatecznie Mossad zarzucił ten pomysł.

Izraelczycy sięgnęli też po najbardziej klasyczną broń w arsenale szpiegowskim – piękna agentka miała rozkocharć w sobie jego syna Rolfa Mengelego, który mieszkał w Berlinie Zachodnim i – jak podejrzewał Mossad – był w kontakcie z ojcem. Wreszcie w 1983 r. Mossad założył podsłuch w telefonie Rolfa. Izraelczycy liczyli na to, że ojciec skontaktuje się z synem 16 marca (obaj urodzili się tego dnia) i w ten sposób uda się go namierzyć.

Z planów Mossadu nic jednak nie miało prawa wyjść. Mengele od czterech lat był już bowiem martwy – utonął w 1979 r. w oceanie nieopodal São Paulo.

Został pochowany pod fałszywym nazwiskiem (Wolfgang Gerhard) przez swoich znajomych. Dopiero w 1985 r. udało się go „dopaść”: ekipa brazylijskich śledczych, we współpracy z zachodnoniemiecką prokuraturą, zidentyfikowała wówczas jego ciało, co w 1992 r. ostatecznie potwierdziły badania DNA.

Rodzina nie zdecydowała się odebrać jego szczątków i tym sposobem szkielec „Anioła Śmierci” służy dziś jako pomoc naukowa studentom medycyny na Uniwersytecie w São Paulo.

Najpotężniejsza kobieta świata



Jacek Przybylski

Rządząca od 12 lat Angela Merkel jest na drodze do kolejnego zwycięstwa. I to mimo że jej podejście do kwestii imigrantów, ochrony klimatu czy greckiego długu budzi ogromne kontrowersje

Nuda. Wielka nuda. Tak najkrócej można by scharakteryzować obecną kampanię przedwyborczą w Niemczech. Z wyników sondaży i komentarzy politologów wynika bowiem, że największym newsem dotyczącym niedzielnych wyborów w Niemczech będzie brak newsa. Po zaskakującym wyniku referendum w sprawie brexitu czy niespodziewanym zwycięstwie Donalda Trumpa czwartą kadencję ma rozpocząć Angela Merkel. Pierwsza kobieta na stanowisku kanclerza stała się symbolem silnych, zjednoczonych Niemiec i zarazem jedną z najpotężniejszych i najbardziej znanych postaci XXI w.

OJCOBÓJCZYNI

Określana mianem chłodnej analityczki, pragmatyczki czy idealistki Angela Merkel uważana jest za świetnego człowieka do zarządzania kryzysowego, a także za bezwzględniego politycznego gracza. Kluczem do sukcesu kanclerz jest też zdolność do rozbrajania oponentów poprzez włączanie ich najpopularniejszych postulatów do programu własnej partii. Tak było choćby w przypadkach ustaw o energii odnawialnej, płacy minimalnej czy legalizacji małżeństw homoseksualnych, dzięki którym Merkel przyciągnęła do siebie wielu wyborców o lewicowych poglądach. Niemieccy Zieloni – którzy próbowali niegdyś stanowić główną siłę opozycyjną wobec niemieckiej kanclerz – teraz grzecznie ogłosili, że będą walczyć o to, by stać się trzecią siłą w parlamencie i wejść do rządzącej koalicji pod przywództwem Angeli Merkel.

Bać powinni się jednak nie tylko jej wrogowie. Na szczyt niemieckiej polityki Merkel dostała się bowiem po trupach, często nie zważając na los najwierniejszych sojuszników. Najboleśniej przekonał się o tym Helmut Kohl. To on

FOT. HANNUBAL HANSCHE/REUTERS/FORUM

wypromował Angelę Merkel na scenie politycznej. Sprawiał, że po zjednoczeniu stała się ona pierwszą polityczną gwiazdą ze wschodnich Niemiec, i ułatwił jej zrobienie takiej kariery w polityce, o jakiej wcześniej nie mogła marzyć żadna kobieta w tym kraju. Rozwój w cieniu kanclerza, który swoją tajemniczą protegowaną określał mianem „dziewczynki”, nie był jednak szczytem ambicji Merkel. Ta dążyła więc do ostatecznej transformacji z cichej i skromnej „Mädchen” w polityka, do którego najbardziej pasuje określenie „mächtig” (potężna). Gdy na początku XXI w. w mediach wybuchła afera dotycząca nielegalnego finansowania CDU, Merkel oficjalnie zwróciła się przeciw swemu mentorowi, aby samej sobie otworzyć drogę do urzędu kanclerskiego. Kohl do końca swoich dni jej tego nie wybaczył. Zdrada Merkel tak bardzo go uraziła, że jego rodzina próbowała uniemożliwić jej zabranie głosu podczas pogrzebu byłego kanclerza w lipcu obecnego roku.

Specjaliści od marketingu politycznego dbają o to, by kanclerz miała wizerunek ciepłej, miłej i subtelnej niemieckiej „mamusi” („Mutti”). Niemcy dowiedzieli

się więc, że ich przywódczyni piecze świetne placzki ze śliwkami oraz smaczne ciastka porzeczkowe, płacze, oglądając „Pożegnanie z Afryką”, a po powrocie do domu eleganckie kostiumy zamienia szybko na dżinsy i sweterki. Pragmatyczna polityk deklaruje również, że preferuje fryzury, które bez problemu wytrzymają bez poprawek co najmniej 12 godzin.

Zwolenniczka równouprawnienia nie tylko w pracy, lecz także w domu podkreślała w jednym z wywiadów, że idealny mężczyzna to facet, który „zmywa i czyści sedes”. Joachim Sauer – profesor chemii kwantowej i od 1998 r. drugi mąż kanclerz Niemiec – ponoć chętnie pomaga w domowych obowiązkach, a zwłaszcza w robieniu zakupów. Poza starannie wyselekcjonowanymi drobiazgami o życiu prywatnym niemieckiej kanclerz wciąż wiadomo więc bardzo niewiele. Merkel pilnie strzeże swej prywatności. Tajemnicy – czy to w sprawach prywatnych, czy rządowych – potrafi dotrzymać również jej zaufane grono współpracowników.

Angela Dorothea Kasner urodziła się 17 lipca 1954 r. w Hamburgu. W czasach, gdy większość Niemców starała się prze-

nieść na zachód, jej ojciec – luterański pastor – podjął decyzję o przeprowadzce na wschód. W 1973 r. zaczęła studia na Uniwersytecie w Lipsku. Pod koniec studiów wyszła za mąż za kolegę ze studiów. Małżeństwo z Ulrichem Merkelem nie było jednak udane. Para już w 1981 r. była w separacji.

Mimo to Angela Merkel imponuje wielu Niemcom m.in. życiem prywatnym. W przeciwieństwie do mieszkańców Francji, Włoch czy Czech niemieccy wyborcy nie muszą obawiać się skandali obyczajowych związanych z szefową swojego rządu.

POŻĄDANE STATUS QUO

Niemcy cieszą się również z przewidywalnej przeważnie polityki prowadzonej przez obecną kanclerz. Wielu wyborców nie chce ryzykować zmiany na stanowisku szefa rządu. Pamiętają bowiem, że kiedy rządy sprawował Gerhard Schröder, bezrobocie w kraju było na poziomie sporo wyższym niż średnia w Unii Europejskiej, a gospodarka rozwijała się w wyjątkowo marnym tempie. Tymczasem od 2005 r., gdy ster władzy objęła Merkel, bezrobocie spadło aż

REKLAMA

KLINIKA UZDROWISKOWA „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II w Ciechocinku



Czy cierpisz na?

- bóle kręgosłupa, dyskopatie
- rwę kulszową
- migreny kręgotopochodne
- bóle mięśni i stawów
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- ostrogi piętowe
- łokieć tenisisty i golfisty
- **nietrzymanie moczu**

Przyjedź na pobyt leczniczy z zabiegami.

Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie 17.09-01.10.2017 r. oraz 01.10 - 29.10.2017 r.

25 zabiegów na 7 dni pobytu posiłki w formie bufetu szwedzkiego

- dwa badania lekarskie oraz badanie postawy **lub** stóp
- wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie
- seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień
- wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe



Klinika Uzdrowiskowa „Pod Tężniami” im. Jana Pawła II
ul. Warzełniana 7, 87-720 Ciechocinek

www.podtezniami.pl
rezervacja@podtezniami.pl

tel. **54 416 70 00**

o połowę, zdominowana przez eksport gospodarka rozwija się w fenomenalnym tempie, a zamiast deficytu Niemcy odnotowują nadwyżkę budżetową – dzięki czemu stanowią wzór do naśladowania dla większości krajów rozwiniętych. W 2016 r. sięgnęła ona 23,7 mld euro i był to najlepszy wynik od ponad ćwierć wieku. „Dziękujemy za nudę” – taki tytuł nosił więc jeden z komentarzy politycznych opublikowanych na łamach tygodnika „Der Spiegel”. Podczas kampanii przedwyborczej kanclerz nie powiedział niczego nowego, opowiadając się po prostu za utrzymaniem status quo. Jej brak zdecydowania w wielu dziedzinach stał się tak znany, że w niemieckim leksykonie z 2015 r. pojawił się nowy termin: „merkelowanie” stało się synonimem słowa „niezdecydowanie”.

Mimo rewelacyjnych wyników gospodarczych nie wszyscy Niemcy marzą jednak o czwartej kadencji obecnej

kanclerz w 2016 r. przyznała, że w sprawie uchodźców jej rząd popełnił wiele błędów, a ona i jej ministrowie nie przewidzieli tego, jak wielki problem będzie stanowił polityka otwartych drzwi i przyjęcie do kraju setek tysięcy imigrantów. Poza tym mimo nadwyżki budżetowej infrastruktura w Niemczech – zwłaszcza zachodnich – jest w coraz gorszym stanie, a los wschodniej części kraju wciąż w dużej mierze zależy od rządowych subwencji. Chęć przypodobania się ekologom po tragedii w elektrowni atomowej w Fukushima sprawiła z kolei, że niemiecki sektor energetyczny – w ogromnym stopniu wykorzystujący energię odnawialną – stał się potwornie drogi.

Im więcej gwałtownych protestów przeciwko kanclerz, tym więcej Niemców staje jednak w obronie Angeli Merkel. Często zgadza się z nią nawet jej główny polityczny przeciwnik Martin Schulz. Choć ma opinię polityka, który

on w połowie września zaproponował Merkel stanowisko w swoim rządzie. Martin Schulz prawdopodobnie jednak przegra wybory, które odbędą się już w najbliższą niedzielę. Wszystkie sondaże wskazują bowiem na zwycięstwo kanclerz Merkel i koalicji CDU-CSU, na którą – gdy zamykaliśmy to wydanie „Do Rzeczy” – zamierzało głosować 37–38 proc. Niemców. I chociaż poparcie dla rządzących partii chadeckich jest najmniejsze od czterech miesięcy, to na kierowaną przez Schulza SPD chciał głosować zaledwie co piąty Niemiec. Jeszcze większą przewagę sondaże dają obecnej szefowej niemieckiego rządu, gdy ankietaowani pytani są o najlepszego kandydata na kanclerza. Według sondażu przeprowadzonego przez Instytut Forsa 48 proc. Niemców nadal widzi w Angeli Merkel najlepszego kandydata na przywódcę Niemiec. Martina Schulza, byłego przewodniczącego Parlamentu Europejskiego, na fotelu kanclerza chciałoby widzieć jedynie 22 proc. pytanym.

Ostatnie lata pokazały jednak, że sondaże mogą być bardzo mylące. Ostateczny rozkład głosów w nowym Bundestagu będzie miał zaś kluczowe znaczenie nie tylko dla Niemiec, lecz także dla kształtu reformy Unii Europejskiej. Wiele wskazuje na to, że pierwszy raz od zakończenia II wojny światowej do parlamentu może też wejść antyimigrancka, eurosceptyczna partia AfD (według sondaży może liczyć na 9–11 proc. głosów). To oznaczałoby, że AfD może być trzecim największym ugrupowaniem w niemieckim parlamencie. Kwestia imigrantów stanie się wówczas, podczas czwartej kadencji niemieckiej żelaznej damy, najważniejszym problemem do rozwiązania. Niemcy mogą więc bardziej zaangażować się w szukanie rozwiązań u źródeł kryzysu migracyjnego, czyli organizację większej pomocy humanitarnej dla tych, którzy pozostali w Syrii, a także w działania dyplomatyczne mające nie dopuścić do dalszego zalewu Europy imigrantami z Bliskiego Wschodu i Afryki. Zapewne Niemcy będą też stosować coraz większe środki nacisku, aby wprowadzić mechanizm solidarnego rozdziału uchodźców pomiędzy poszczególne kraje unijne. Od tego, jak Angela Merkel rozwiąże ten problem, zależy to, jak na kartach historii zapisze się najpotężniejsza kanclerz w historii Niemiec.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



„Merkel musi odejść” – pod takim hasłem w ostatnich tygodniach odbyły się demonstracje w wielu niemieckich miastach. FOT. FABRIZIO BENSCH/REUTERS/FORUM

kanclerz. I chociaż wielu jej krytyków boi się występować otwarcie, to w ostatnich tygodniach coraz częściej na ulice miast wychodzą protestujący pod hasłem „Merkel muss weg” („Merkel musi odejść”). Podczas wrześniowego wiecu wyborczego w Heidelbergu nieznanymi sprawcy rzucili w kierunku kanclerz dwa pomidory, jeden z nich obryzgał stojącą na scenie szefową rządu. Wśród protestujących dużą część stanowią zwolennicy antyimigranckiej partii AfD.

Merkel można zarzucić nie tylko fatalną politykę imigracyjną – sama

dużo lepiej wypada przy wyłączonych kamerach, to w debacie telewizyjnej na początku września kanclerz udało się rozłożyć na łopatki lidera SPD. Zdaniem wielu komentatorów konkurent niemieckiej żelaznej damy w porównaniu z nią wypadł na tyle słabo, że debata przypominała raczej rozmowę kwalifikacyjną Schulza na ministra w rządzie Merkel niż starcie równorzędnych polityków.

Lider niemieckich socjaldemokratów – znany z bezpardonowych ataków na Polskę i ostrą krytykę rządów PiS – jest na tyle pewny zwycięstwa, że to

SPÓDNICZKA W SZKOLE ZAKAZANA, BO DEFINIUJE PŁEĆ

Wielka Brytania ma fantastyczną tradycję szkolnych strojów. Gdy u nas od PRL szkolny strój kojarzy się z nylonowym, brzydkim mundurkiem, uczniowie na Wyspach chodzą na lekcje ubrani w piękne swetry z emblematami lub marynarki, a do tego spodnie lub spódniczki. Okazało się jednak, że brytyjska tradycja jest zła. Co najmniej w połowie zła. Szkoła w Lewes (w hrabstwie East Sussex) zrezygnowała z mundurków szkolnych dla dziewcząt. Od teraz styl ma być jeden dla nich i dla chłopców – koszula, krawat, sweterek i spodnie. Nauczyciele tej placówki tłumaczą, że zmiany wprowadzono, by zapobiec zbyt prowokacyjnym strojom dziewcząt, a także by pomóc uczniom transgenderowym, których w szkole jest wprawdzie niewielka liczba, ale wciąż ona wzrasta. Zatem uczniowie, którzy nie bardzo wiedzą, jaką płeć dziś wybierają, nie będą musieli się zastanawiać, jaki strój założyć. To niejedyny krok w stronę „bezpłciowości” w brytyjskich szkołach. Niektóre z nich pod polityczną presją utworzyły już toalety neutralne płciowo.



MOWA NIENAWIŚCI WOBEĆ ISIS

Władze brytyjskiego Uniwersytetu Edynburskiego wszczęły postępowanie przeciwko studentowi, który miał szerzyć w sieci nienawiść i uznany został przez innych studentów za „islamofoba”. Czym dokładnie naraził się 21-letni student prawa Robbie Travers? Pochwalił bombardowanie afgańskiej bazy ISIS przez wojska USA. To m.in. ta wypowiedź miała oburzyć innych studentów uczelni i doprowadzić do wszczęcia wewnętrznego postępowania.

STUDENCI PRZESTAJĄ PISAĆ

Przez 800 lat na Uniwersytecie Cambridge studenci pisali swoje egzaminy piórem na papierze. Władze uczelni rozważają jednak rezygnację z tej tradycyjnej formy sprawdzania wiedzy. Powód?

Jeszcze 15–20 lat temu studenci pisali ręcznie sporo – notatki na wykładach, prace w domu – a teraz posługują się głównie komputerami i tabletami. W efekcie nowe pokolenie na tyle straciło tę umiejętność, że egzaminatorom trudno jest rozczytać ich pismo, a to utrudnia sprawdzanie egzaminów. Uczelnia przymierza się więc do zmiany i prowadzi już konsultacje dotyczące uruchomienia pilotażowego egzaminowania przy użyciu urządzeń cyfrowych z części przedmiotów.

JEDNA STAWKA DLA IMIGRANTÓW

Kraje tzw. starej Unii – w tym Niemcy – wciąż uważają, że nielegalnych imigrantów powinni przyjąć w Europie wszyscy, i wytaczają rozmaite prawne działa oraz grożą odebraniem funduszy. Jednakże będą próbować zablokować napływ migrantów do siebie. Pojawił się już pomysł, by w całej UE zrównać wysokość zasiłków dla „uchodźców”. Takie rozwiązanie oficjalnie poparł niemiecki minister spraw wewnętrznych, bo wysokie niemieckie zasiłki przyciągają zbyt wielką

liczbę imigrantów właśnie do tego kraju. Nowy niemiecki rząd ma pomysł na ujednolicenie stawek. I wydaje się, że szanse na przeformowanie tego pomysłu będzie miał, bo już w wywiadach prasowych pomysł ten zdecydowanie poparł przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani.

GRZYWNA ZA STRASZENIE MISIA

W norweskiej prowincji na Arktyce żyje ok. 3 tys. niedźwiedzi polarnych. Władze Svalbardu próbują zapewnić im spokój. Prawo zabrania zbliżania się do niedźwiedzi, ale nie precyzuje odległości. Za niedostosowanie się do tego zakazu grozi wysoka grzywna. Przekonał się o tym niedawno jeden z przewodników, który podjechał na skuterach śnieżnych z turystami tak blisko, że wystraszył niedźwiedzia. Gubernator Svalbardu nałożył na niego surową karę – w przeliczeniu ok. 5,5 tys. zł. ©

STRONĘ PRZYGOTOWAŁ ŁUKASZ ZBORALSKI



Jezuita na froncie walki o prawa gejów



Tomasz P. Terlikowski

Jeśli prefekt Kongregacji ds. Kultu Bożego przywołuje na łamach „The Wall Street Journal” do porządku znanego jezuitę, to sytuacja musi być nadzwyczajna

Amoris laetitia” i spór o interpretację zapisów adhortacji dotyczącej ewentualnego dopuszczenia do komunii świętej osób rozwiedzionych w ponownych związkach nieco przysłoniły inne kwestie poruszane podczas dwóch zwoływanych przez papieża Franciszka synodów biskupów. Jedną z nich była sprawa tzw. praw osób homoseksualnych w Kościele, którym poświęcono cały akapit w przygotowywanym przez synod dokumencie. I choć nie przeszedł on przez głosowanie (opowiedziało się za nim mniej niż dwie trzecie biskupów), to odsłonięty w trakcie dyskusji podział na zwolenników „duszpasterskiej reinterpretacji podejścia do osób homoseksualnych” (czyli w istocie

odrzucenia nauczania Pisma Świętego i Tradycji, a także Magisterium Kościoła w kwestii oceny aktów homoseksualnych) oraz zwolenników zachowania wierności Ewangelii staje się coraz bardziej widoczny. Jednym z jego przejawów jest właśnie tekst kard. Roberta Saraha, prefekta Kongregacji Nauki Wiary, opublikowany na łamach „The Wall Street Journal”, a poświęcony jezuitcie ojcu Jamesowi Martinowi.

„KATECHIZM RANI GEJÓW”

W tekście tym prefekt Kongregacji Kultu Bożego i Dyscypliny Sakramentów nazywa jezuitę „jednym z najbardziej zuchwałych krytyków nauczania Kościoła o homoseksualizmie”. Dlaczego? Otóż kilka miesięcy temu o. Martin (znany wcześniej ze znakomitych i z wydanych także w języku polskim książek o Ziemi Świętej oraz powieści) opublikował książkę „Building a Bridge: How the Catholic Church and the LGBT Community Can Enter into a Relationship of Respect, Compassion, and Sensitivity”, w której wzywa do budowania mostów między społecznością LGBTQ a Kościołem. I od tego momentu nie ustaje nie tylko w jej promocji, lecz także w propagowaniu opinii, jakoby homoseksualność nie była żadnym problemem, ho-

moseksualizm wzbogacał Kościół, a nawet w wezwaniach do tego, by księża homoseksualiści ujawniali swoje preferencje.

Sama książka zawiera wezwania do zmiany języka Kościoła, tak by sformułowania używane w kaznodziejstwie czy teologii moralnej nie raniły osób homoseksualnych. I może nawet nie byłoby w tym niczego złego, gdyby nie to, że dla o. Martina każdy język jasno określający akty homoseksualne jako grzech, a homoseksualizm jako odstępstwo od normy jest już stygmatyzujący. Jezuita podkreśla, że trzeba nawet zrezygnować z uznawania homoseksualizmu za „obiektywne nieuporządkowanie”, które występuje w Katechizmie Kościoła katolickiego. Taki język jest bowiem, zdaniem o. Martina, „niepotrzebnie okrutny” i „niepotrzebnie bolesny”, ponieważ uznaje, że osoba, która daje i otrzymuje miłość, jest „nieuporządkowana wewnętrznie”.

W wywiadach udzielanych po opublikowaniu książki, a także w publikowanych z zadziwiającą częstotliwością tweetach idzie zaś o. Martin jeszcze dalej i przekonuje nie tylko, że „część ze świętych katolickich była gejami”. „Pewien procent ludzkości to geje, a zatem pewna część z nich mogła zostać świętymi. Możesz być

zaskoczony, gdy trafisz do nieba i będziesz witany przez mężczyzn i kobiety LGBTQ” – oznajmiał. I trudno nie dostrzec, że tezy tej nie da się obronić z katolickiego punktu widzenia. Nie, nie dlatego, że ktokolwiek twierdzi, iż homoseksualista nie może być zbawiony, ale dlatego, że słowo „gej” nie oznacza kogoś, kto stara się walczyć ze swoją skłonnością (taka osoba może zostać zbawiona), ale dlatego, że termin „gej” stosowany przez o. Martina oznacza w debacie publicznej kogoś, kto z grzesznego (z perspektywy Kościoła) i nieuporządkowanego wewnętrznie działania uczynił styl życia. I taka osoba, nawet jeśli w ostatnim momencie życia się nawróci, z pewnością nie będzie świętym Kościoła.

W innym wywiadzie o. Martin proponuje, by w ramach walki z rzekomą homofobią w Kościele (szczególnie – co ciekawe – wśród wiernych) księża homoseksualiści zaczęli ujawniać swoją skłonność. – To mogłoby pokazać katolikom w kościelnych ławkach, jak wyglądają geje, a także że żyją oni w czystości i uczciwości. Wielką ironią jest to, że oni żyją tak, jak tego wymaga Kościół od osób LGBT – w czystości i celibacie – i nie wolno im o tym mówić. Oni wykonują świetną robotę, ale pozostają ukryci w chmurze, jakby ich nie było – wyjaśniał jezuita. Sam jednak, gdy pytano go o własną skłonność seksualną, odpowiedział, że „nie jest zwolennikiem czynienia z własnej seksualności kwestii publicznej”. Ciekawe, czego tak bardzo wstydzi się amerykański jezuita? Czyżby upodobania do kobiet?

SZUKANIE IKON HOMOSEKSUALNEGO LOBBY

Żarty jednak na bok. Trzeba mieć bowiem świadomość, że wezwania, jakie skierował do księży homoseksualistów o. Martin, jest bardzo dobrze przemyślanym chwytem marketingowym. Od lat homoseksualne lobby w innych wyznaniach chrześcijańskich wykorzystuje ławie historii pastorów-gejów, którzy żyją w wierności swoim partnerom, do promowania homoseksualności. Tam, gdzie akty homoseksualne są zakazane przez doktrynę, przekonuje się, że pastory „żyją w czystości, choć razem”, a homofobiczne Kościoły łamią im życie. Jeśli zaś okazuje się, że jest to hucpa na resorach (jak to było ze słynnym episkopalnym biskupem Gene’em Robinsonem, który był przedstawiany jako wzór cnót wszelakich, a okazał się alkoholikiem, który ostatecznie porzucił także swojego partnera), to skrzętnie przemilcza się te fakty. I właśnie temu

służyć ma także ujawnianie „pobożnych” kapłanów homoseksualistów.

Ojciec Martin wie o tym doskonale, bo podobną historię przerabiano w amerykańskiej prowincji jezuitów. To właśnie tam, gdy media w całych Stanach Zjednoczonych ujawniały kolejne afery homoseksualne (bo w ogromnej większości skandale określane mianem pedofilskich dotyczyły księży homoseksualistów, którzy molestowali młodych mężczyzn), o. William Hart McNichols, znany medialny jezuita, grafik i malarz ikon, działacz na rzecz praw osób chorych na HIV/AIDS, a w młodości aktywista sprzeciwiający się wojnie w Wietnamie, odpalił na łamach magazynu „Time” prawdziwą bombę, oznajmiając – rzekomo w obronie czci i dobrego imienia „księży-homoseksualistów” – że sam jest gejem. Deklaracja ta wywołała burzę, wielu katolików wyrażało wobec niego wyrazy współczucia, a on sam, choć po 35 latach musiał rozstać się z zakonem, pozostał księdzem i nadal pisze ikony oraz sprawuje mszę świętą, kręci filmy o swoim życiu oraz pozostaje swoistą ikoną homoseksualnej rewolty w Kościele. Ojciec Martin nie ukrywa, że zna się i przyjaźni z ks. McNicholsem, oraz często prosi o modlitwy za niego.

I właśnie z tej perspektywy trzeba „odczytywać” wezwania amerykańskiego jezuitę do ujawniania się homoseksu-

Jesteśmy świadkami procesu przekonywania katolików, że homoseksualizm nie jest przeszkodą do święceń kapłańskich

alistów w koloratkach. Media starannie odsieją w ich przypadkach wszystkie historie niepasujące do stereotypu „świętego i radosnego geja”, a zaprezentują czytelnikom tylko takie, które można – przy lekkich korektach – uznać za dowód na to, że homoseksualiści są nawet lepszymi księżmi niż heteroseksualiści. A jeśli kogoś nawet to nie przekona, to o. Martin obrzuci go wówczas obelgami, uznając, że jest paskudnym homofobem, który w istocie zdradza Ewangelię. Tak zrobił z protestantami teologami, którzy w minionym miesiącu opublikowali jasną deklarację (deklarację z Nashville) odrzucającą „małżeństwo gejowskie” i przypominającą, że akty

homoseksualne są grzechem. „Stwierdzam, że osoby LGBTQ to jedne z najświętszych ludzi, jakich znam” – oznajmił, polemizując z tezami zawartymi w Piśmie Świętym.

„ZUCHWAŁY PRZECIWNIK NAUCZANIA KOŚCIOŁA”

Tego rodzaju wrzutek, polemik, ataków na obrońców biblijnych zasad jest w twórczości o. Martina więcej. I dlatego trudno się dziwić, że wreszcie – przy niemal całkowitym milczeniu (z dwoma lub trzema wyjątkami), a nawet wsparciu poglądów jezuitę przez amerykańskich biskupów (zupełnie wprost poparł go kard. Tobin także na łamach „The Wall Street Journal”) – głos zabrał jeden z najbardziej zdecydowanych obrońców ortodoksji w Kościele kard. Robert Sarah. „Homoseksualizm sam w sobie nie jest grzeszny, choć wciąż kłóci się z ludzką naturą” – napisał. I dodał: „Związki osób tej samej płci są poważnie grzeszne i wyrządzają szkodę tym, którzy w nich uczestniczą”. Wprost do o. Martina napisał że „ludzie przemawiający w imieniu Kościoła muszą być wierni naukom Chrystusa, te zaś są niezienne. Tylko poprzez życie w harmonii z Bożym zamysłem ludzie odnajdują głębokie wypełnienie własnych słabości”. Odnosząc się zaś do zarzutu, że nazywanie aktów homoseksualnych grzechem może kogokolwiek ranić, uświadamiać, iż... „Matka-Kościół stara się chronić swoje dzieci przed grzechem. To wyraz miłości i troski”. Identyczne opinie wyrazili także abp Charles Chaput i bp Thomas Paproci, który wprost określił jezuitę „częścią gejowskiego lobby we wnętrzu Kościoła”.

Ojciec Martin krytykę jednak odrzuca, a wspierają go w tym liczni, znani i szanowani w amerykańskich mediach księża celebryci, a nawet kardynałowie. I niestety uświadamia to, że jesteśmy świadkami procesu urabiania opinii katolików oraz przekonywania ich, że – wbrew stanowisku Benedykta XVI (potwierdzonemu przez Franciszka) – homoseksualizm nie tylko nie jest przeszkodą do święceń kapłańskich, lecz także stanowi wręcz zaletę. Później to już lekcja z historii innych wyznań chrześcijańskich – przyjdzie pora na uznanie, że biblijna moralność się zestarała i trzeba ją zastąpić opiniami działaczy gejowskich. Ojciec Martin – tego możemy być pewni – będzie nadal na pierwszej linii frontu walki z homofobią. Szkoda, że niestety nie jest to walka o prawdę Ewangelii, do której obrony jego zakon został powołany.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Liberalny protekcjonizm Europy



Tomasz Wróblewski

Napięcia na linii Bruksela – Warszawa, według wicepremiera Morawieckiego, nie wpłyną na nasze notowania gospodarcze. Problem w tym, że źródłem napięć politycznych nie jest polityka, tylko gospodarka

N na czym polega nowa architektura społeczno-gospodarcza Unii? Miejsce europejskiego uniwersalizmu – l'Europe qui protège, czyli Europa, która chroni... – zajmuje obrona przed populizmem, terrorem, a nade wszystko przed konkurencją, czasem nazywaną dumpingiem gospodarczym z Polski.

Ostatnie 70 lat nauczyło nas, że wszystkie największe zwroty w historii Unii – od Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali przez EWG, przez wspólną politykę rolną do strefy euro – były efektem franko-germańskiej nadaktywności. Tak jak wszystkie wielkie wojny były częścią parysko-berlińskich utarczek, tak każdy europejski renesans był czasem ich przyjaźni i synergii. Tak jest i dziś. Problem w tym, że Polska znalazła się na uboczu tego, co wielki duet nazywa nową wielką architekturą. Przyczynkowość naszej polityki zagranicznej będącej wypadkową wewnętrznych wojen partyjnych, uraz i często wyimaginowanych problemów pozostawia nas bezbronnymi wobec autentycznego zagrożenia, jakim jest ekonomiczna segregacja Europy. A Euro-pie daje pretekst do realizowania swojej wizji l'Europe qui protège.

„Postępowe” elity odrobiły swoją postkryzysową lekcję. Zrozumiwały, że

całego świata nie zbawią ani nie zmienią ducha wszystkich narodów na swoje podobieństwo. Zamiast łudzić się mrzonkami o europejskim uniwersalizmie, teraz muszą chronić same siebie. Dosłownie i w przenośni. Jeżeli chodzi zarówno o intratne unijne posady, wolne od korporacyjnej presji oraz wyborczego stresu, jak i liberalno-etatystyczny model państwa. To brzmi jak oksymoron, ale tak, zachodni establishment ma nową idée fixe – liberalny protekcjonizm. Ratowanie liberalno-socjalnego modelu życia tam, gdzie jeszcze się da, i każdym kosztem. Nawet gdyby to oznaczało nowy podział Europy na liberalny Zachód i narodowy Wschód. Kluczem do powodzenia są jednak gospodarka i powrót na ścieżkę wzrostu. Wyrwanie Unii z marazmu, niepewności i izolowanie jej od wszystkiego oraz wszystkich, którzy mogą jej zagrozić czy zmusić ją do zawrócenia z raz obranej drogi „postępu”. W równym stopniu dotyczy to uprawnień w UE pracowników delegowanych, co zaostżenia polityki imigracyjnej – o czym Merkel ostatnio mówiła w wywiadzie dla tygodnika „Der Spiegel” – i forsowania trudnych reform. Berlin nie podejmie z Paryżem rozmów o wspólnym zaciąganiu długów i emittowaniu euroobligacji dopóty, dopóki Macron nie zetnie deficytu budżetowego

FOT. FOTOLIA



z 3,4 do przynajmniej 2,5 proc. Niemcy nie będą z nikim się dzielić swoją nadwyżką budżetową dopóty, dopóki Włochy nie wyprowadzą swojego systemu bankowego na prostą, a Hiszpania i Portugalia nie obniżą stopy bezrobocia. W przypadku Francji oznacza to całkowitą przebudowę rynku pracy, większą liberalizację płac. Wiele niepopularnych reform, których efekty społeczne zachodni przywódcy będą starali się łagodzić, ograniczając konkurencję ekspansywnych państw Europy Środkowej. Tamując dumping socjalny – jak to zgrabnie nazwał prezydent Macron.

To nowy termin, nośny dziś w całej Europie Zachodniej. Jak gumę można go rozciągać nie tylko na pracowników delegowanych, lecz także na produkty



z Polski, Rumunii, Litwy czy Czech. Cała ta misterna operacja ma się sprowadzać do ograniczenia przewag konkurencyjnych państw z tańszą siłą roboczą, bez narażania na szwank interesów niemieckich, francuskich i holenderskich firm w regionie. Spowolnić ekspansję na Zachód, utrzymując ciągłość łańcucha dostawczego dla przemysłu samochodowego, firm spożywczych i meblarskich. I tu już wkracza polityka.

Nie deprecjonując troski niemieckiej opinii publicznej o nasz wymiar sądownictwa, która często jest efektem nachalnej propagandy, trudno uznać zarzuty dyskryminacji przy wytyczaniu wieku emerytalnego sędziów obu płci za zagrożenie dla demokracji. Oskarżenia

o socjalny dumping, nielegalną wycinkę puszczy i rasizm wobec imigrantów mają być dowodem na to, że Polska sama się izoluje. Macron usiłował to zgrabnie połączyć podczas podróży po Europie Środkowej.

BOGACI CORAZ BOGATSI

Jeszcze rok temu żaden odpowiedzialny polityk unijny nie odważyłby się forsować twardych protekcjonistycznych pomysłów, takich jak jawne wypowiedzenie umów stowarzyszeniowych, w obawie przed narodową erupcją. Dzisiaj jesteśmy jednak po wyborach we Francji, a wcześniej w Austrii, Holandii i za tydzień będziemy po wyborach w Niemczech, które dały liberalnym eli-

tom nadzieję, że nie grozi im powrót do państw narodowych. Centralizm europejski ocalał i ma się coraz lepiej. Dobre wyniki gospodarcze upewniają Brukselę, że możliwy jest renesans unijnej świetności, a trumpizm oraz brexit przestały być zaraźliwe i nie dają impulsu do głębokich przetasowań w Europie.

Z każdą depeszą o relokacji jakiegoś banku czy koncernu z Wielkiej Brytanii na kontynent, z każdym nowym odczytem wartości brytyjskiego funta i zapaścią na londyńskim rynku nieruchomości brexit staje się żywym argumentem za zacieśnianiem Unii, a nie jej rozluźnianiem. Dla wielu europejskich miast brexit to wręcz nadzieja na zastrzyk pieniędzy i nowe miejsca pracy. To twarda

gotówka, która przepływa z londyńskiego City do Frankfurtu, Paryża, Dublina i Luksemburga. W szczególności do Frankfurtu, który ma przejąć ponad 8 tys. finansistów z rodzinami. W ciągu roku z Londynu inwestorzy wyprowadzą 1,8 bln euro, z czego między 1,2 a 1,5 bln wyląduje we Frankfurcie. Dla Niemiec to historyczna szansa przejęcia kontroli nad rynkami finansowymi w naszym rejonie świata. Wysforowania się na trzecią światową stolicę finansów, zaraz obok Nowego Jorku i Hongkongu.

WSKAŹNIKI NIE KŁAMIAJĄ

Brexit uodpornił Brukselę na żądania eurosceptyków, a jednocześnie osamotnił państwa takie jak Polska i wszystkich liczących na to, że po kryzysie więcej władzy wróci z powrotem z Brukseli do narodowych rządów. Już wiemy, że na razie nie wróci. Przeciwnie – Europa, jej stary trzon, zwiera szyki. Nieważne, czy nazwiemy to Unią dwóch prędkości, państwem bez narodu czy testamentem Michaiła Bakunina i jego bezpaństwowości Stanów Zjednoczonych Europy. Europę czeka wielkie przenicowanie.

W tym miejscu powinniśmy oddać przywódcom najbogatszych europejskich państw, że odrobili swoją lekcję z kryzysu 2008 r. i ze wszystkich późniejszych wstrząsów. Nie stoją w miejscu. Kraje takie jak Hiszpania, która według Międzynarodowego Funduszu Walutowego (MFW) na długie lata miała być pogrążona w recesji, dzięki przyjętym reformom zaczęła rosnąć w siłę już w 2014 r., a w 2018 r. osiągnie stan wzrostowy na poziomie najlepszych lat przed kryzysem z 2008 r. Podobne efekty przynoszą reformy w Irlandii, Portugalii, ba – nawet w Grecji.

To, co wydaje się bardzo dobrym rokiem dla polskiej gospodarki, dla Europy jest autentycznym przełomem. Za sprawą nie tylko lepszej koniunktury, lecz także reform, na które większość państw do tej pory nie mogła się zdobyć. Polska wciąż jest w gronie najszybciej rozwijających się państw Europy, ale to nie znaczy, że nasza szósta pozycja pozostaje niezagrożona. Nie jest już tak, że reszta Europy stoi w miejscu. Po raz pierwszy pod względem tempa wzrostu gospodarczego wyprzedzają nas nawet niektóre państwa wysoko rozwinięte, choćby Szwecja (4 proc. wzrostu PKB) i Holandia, której oddech czujemy na karku.



Długa lista ustaw tzw. Konstytucji dla Biznesu wicepremiera Mateusza Morawieckiego wciąż czeka na uchwalenie. FOT. ADAM CHEŁSTOWSKI/FORUM

Niemcy mogą poszczycić się nie tylko mniejszym bezrobociem od Polski, lecz także proporcjonalnie większą liczbą nowych miejsc pracy. W praktyce oznacza to, że przepaść między nami a Zachodem przestaje się kurczyć. Wyraźnie widać to na przykładzie wzrostu inwestycji. Wskaźnika, który opisuje nie tyle ruch w gospodarce, ile twarde podstawy rozwoju. Komisja Europejska mówi dziś o przewidywalnym wzroście inwestycji w strefie euro na poziomie 3,5 proc. W Polsce ten wzrost wynosi zaledwie 0,8 proc., i to w relacji do fatalnego 2016 r. Jeszcze gorzej wygląda to w relacji wydatków na inwestycje do PKB. 17 proc. wzrostu stanowi najgorszy wynik od 20 lat. Oczywiście rząd ma rację, że nominalnie inwestycji nam przybywa i jest ich sumarycznie więcej niż w przeszłości, ale porównując to z tym, co się dzieje na zachód od naszych granic, to wciąż słaby wynik.

POLSKA MUSI PRZYSPIESZYĆ

Agregując rozmaite szcztatkowe wskaźniki, powstaje optymistyczny obraz gospodarczy strefy euro. Za prognozami podąża europejski PMI – wyprzedzający wskaźnik optymizmu gospodarczego, który wyprzedza też optymizm polskich przedsiębiorców.

Piszę to z nieukrywaną zazdrością, bo mimo że wielu polskich polityków również dostrzega systemowe mankamenty naszej gospodarki, pozostają daleko w tyle z realizacją programów napraw-

czych. Ta jeszcze niedawno uśpiona Europa podnosi się z zapaści w najlepszym stylu. Polska w ostatnich dwóch latach przeprowadziła mnóstwo systemowych zmian związanych z uszczelnianiem podatków i redystrybucją majątku, głównie za sprawą „Rodziny 500+”, podnoszenia płac minimalnych i teraz obniżenia wieku emerytalnego. Pieniądze podatnika przeznaczone były też na repolonizację, a w praktyce na upaństwowienie kilku dużych banków pozostających do niedawna w rękach obcego kapitału. Wbrew rozmaitym katastroficznym prognozom nie zatrzymało to wzrostu gospodarczego ani wzrostu dobrobytu. Przeciwnie – redystrybucja pieniądza pozwoliła zmniejszyć wskaźnik Giniego, opisujący rozpiętości zarobkowe, i znacząco napędzić popyt wewnętrzny. To z kolei znalazło swoje odzwierciedlenie w ostatnich odczytach wzrostu gospodarczego. Porównując jednak te dane z danymi najsilniej rozwijających się gospodarek, widzimy wyraźny przechył w stronę redystrybucji, a nie wzmacniania inwestycji w rozwój firm. W przeciwieństwie do reform systemowych w Europie Zachodniej długa lista ustaw tzw. Konstytucji dla Biznesu Morawieckiego wciąż czeka na uchwalenie. Niepewność prawa – nie tylko jego zmienność, lecz także niepewność co do kierunku, w jakim będą następowały zmiany – jest w pewnym kontraście do twardej reform postulowanych w całej zachodniej Europie. Wicepremier Morawiecki ma rację, że w normalnie funkcjonującej gospodarce rynkowej zwłoka przy tak dobrych wskaźnikach nie miałaby większego znaczenia. Tak jak bez znaczenia byłyby spory o puszcę czy emerytury sędziów. Rzecz w tym, że to nie są normalne czasy.

Postulowane przez prezydenta Francji Emmanuela Macrona powołanie wspólnego ministra finansów, stworzenie jednego eurobudżetu oznacza dla Polski dalsze osłabienie naszych obligacji państwowych i gorsze warunki zaciągania kredytów. Nie mówiąc o spłacie obecnych, z których 60 proc. znajduje się w obcych rękach. Nie odnosząc się do konkretnych sporów politycznych, z których wiele wydaje się wydumanych przez euroliberałów dla odwrócenia uwagi od brutalnej rozgrywki gospodarczej, warto pochylić się nad polityką gospodarczą, która nie docenia zmian, w które właśnie wchodzi Unia Europejska.



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYCZAKIEM

Wiek emerytalny w konstytucji?

Niemal pewne jest nie tylko to, że w najbliższym czasie nie dojdzie do zmiany konstytucji Polski; prawdopodobne jest nawet to, że nie dojdzie do referendum w sprawie jej założeń. Głębszego sensu owego referendum nie widzę od początku – od ogłoszenia przez prezydenta chęci zorganizowania go. Za to w sprawie zastąpienia naszej fatalnej konstytucji lepszą – owszem, widzę, i to od chwili jej wejścia w życie. Konstytucji, która jest tak dysfunkcyjna – generując między innymi konflikt z organami władzy – jakby stworzyli ją nam ludzie żyjący w Polsce jak najgorzej, a nie jej podobno światli parlamentarzyści.

Odkładając jednak na bok marzenia o dobrej konstytucji dla Polski. Przy okazji, wywołanej zapowiedzią referendum, pojawiają się różne pomysły związane z oczekiwanym kształtem nowej ustawy zasadniczej. Od brzmiących sensownie, takich jak – w pierwszym rzędzie, na co zwraca uwagę sam prezydent – pilna potrzeba rozstrzygnięcia, czy chcemy żyć w państwie o jasno zdefiniowanym ustroju prezydenckim czy kanclerskim (a nie w kanclersko-prezydenckim bałaganie tak jak teraz), czy wynikające z tej decyzji, klarowne uregulowanie statusu głowy państwa, np. w tak kluczowych kwestiach jak relacje z szefami resortów obrony i spraw zagranicznych, aż do... No właśnie: aż do sugerowanych – niestety, także przez Andrzeja Dudę – zapisów, które w konstytucji

z pewnością znaleźć się nie powinny. Takich jak choćby ten o wysokości wieku emerytalnego, który prezydent chciałby do niej włączyć: „Po to, żeby nie można było go więcej w sposób swobodny podnieść”. Zgrabnie mu w tej sprawie odpowiedział Robert Gwiazdowski: „Prezydent wspominał o możliwości zapisania wieku emerytalnego w konstytucji. Mam nawet pomysł, jak sformułować odpowiedni przepis. Napisałbym tak: »Każdy obywatel ma prawo do równej dla wszystkich emerytury od początku roku kalendarzowego następującego po roku, w którym ukończył wiek niższy od oczekiwanej średniej długości życia o iloczyn 10 i współczynnika dzietności ogólnej«” (cały tekst: <http://www.rp.pl/Opinie/308299889-Wzorem-w-populizm.html#p-1>).

Podobnych do proponowanego przez prezydenta zapisów – surrealistycznych, jakby żywcem wyjętych z koncertu życzeń, a w każdym razie martwych, bo po prostu niedających się zrealizować w odniesieniu do każdego obywatela – i w obecnej konstytucji mamy niemało. Choćby: „Każdy ma prawo do ochrony zdrowia” albo: „Każdy ma prawo do nauki” czy: „Każdy ma prawo do wynagrodzenia szkody, jaka została mu wyrządzona przez niezgodne z prawem działanie organu władzy publicznej” itd. Ma prawo. I co z tego?

No, ale cóż... Jeśli ktoś się uprze, zwłaszcza gdy jest głową państwa, to zawsze może udawać, że rzeczywistość jest zgodna z konstytucją. ©©



KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Dla miłośników horrorów

Maj 2018 r. Amerykański krążownik wpłynął na chińskie wody terytorialne i mimo wielokrotnych ostrzeżeń nie zmienił kursu. Został zatopiony przez chińskie lotnictwo. W odpowiedzi USA zaatakowały chińskie bazy wojskowe setkami rakiet. Chiny rozważają opcję nuklearną... Okazało się, że haker włamał się do amerykańskiego systemu geolokalizacji i sfałszował dane. Kapitan krążownika był przekonany, że jest na wodach międzynarodowych, w rzeczywistości było inaczej.

funkcjonować systemy komputerowe w elektrowniach atomowych we Francji i trzeba było je wyłączyć ze względów bezpieczeństwa. Z braku prądu nie tylko w mieszkaniach temperatura spadła do zera. Stała się produkcja we wszystkich fabrykach, a szok energetyczny był odczuwalny w całej Europie. Recesja zapoczątkowana atakiem hakerów na banki jeszcze się pogłębiła. Okazało się, że nieznani hakerzy włamali się do systemów kontroli w elektrowniach atomowych.

Sierpień 2020 r. ISIS zdetonowało bombę biologiczną ze śmiertelnościami wirusem w centrum Berlina. Zachorowało ponad milion osób, w ciągu kolejnych kilku miesięcy zmarło pół miliona, a pandemią wirusa rozprzestrzeniła się na cały świat. Do grudnia 2021 r. zmarło ponad 20 mln ludzi na wszystkich kontynentach.

Niestety, wszystko to może się wydarzyć. Elektrownie atomowe już były penetrowane, służby USA i Izraela użyły wirusa komputerowego, żeby sparaliżować pracę elektrowni atomowej w Iranie. Postęp w dziedzinie biotechnologii pozwala na tworzenie śmiertelnych wirusów praktycznie dowolnym sposobem. Polityka imigracyjna Unii przy braku odpowiedniej kontroli granic wręcz zaprasza terrorystów do coraz groźniejszych zamachów, a czynnik ludzki zawsze może zawieść.

Niestety, pytanie zatem nie brzmi „Czy?”, lecz „Kiedy?”. ©©

Polityka imigracyjna Unii przy braku kontroli granic wręcz zaprasza terrorystów do coraz groźniejszych zamachów

Luty 2019 r. Rosyjski myśliwiec wleciał w głąb Szwecji, ignorując wezwania do zawrócenia. Został zestrzelony przez myśliwce NATO. W odpowiedzi atak rosyjskich hakerów doprowadził do wyzerowania wszystkich kont bankowych w Szwecji. To zapoczątkowało katastrofalny kryzys finansowy, światowy PKB spadł w 2018 r. o 22 proc. Okazało się, że pilota myśliwca tydzień wcześniej rzuciła dziewczyna. Niestety, wojskowy psycholog tego nie dostrzegł.

Grudzień 2019 r. Podczas srogiej zimy zaczęły wadliwie

Paliwowa mafia w odwrocie



Agnieszka Łakoma

**Codzienne kontrole cystern
i zaostrome kary za unikanie
podatku – państwo wygrywa
z szarą strefą na rynku paliwowym**

Po roku od wprowadzenia nowych przepisów, gdy obowiązuje tzw. pakiet paliwowy, udało się skutecznie uszczelnić system podatkowy i zabezpieczyć granice przed nielegalnym wwozem paliwa. Tylko z tytułu VAT i tylko w pierwszym półroczu tego roku Ministerstwo Finansów szacuje dodatkowe wpływy na 2,5 mld zł. Mówił o tym wiceminister i szef Krajowej Administracji Skarbowej Marian Banaś podczas panelu poświęconego głównym wyzwaniom polskiego sektora paliwowego podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy-Zdroju.

Jego zdaniem wyjątkowo skuteczne okazały się tzw. pakiet paliwowy (czyli nowelizacja ustaw o VAT i akcyzie), a także zmiana Prawa energetycznego, które obowiązują od sierpnia ubiegłego roku. Niezwykle ważny okazał się również tzw. pakiet transportowy, bo pozwala monitorować (czyli w praktyce nadzorować) przewóz paliwa w kraju. Teraz praktycznie nie da się nie zapłacić podatku przy sprowadzeniu cysterny z zagranicy i trzeba to zrobić w ciągu kilku dni, a każdy ładunek wjeżdżający do kraju jest monitorowany.

Na dodatek kary są bardzo dotkliwe. – Po zmianie przepisów Kodeksu karnego to jest przestępstwo, a za wyłudzenia na kwotę powyżej 10 mln zł grozi kara więzienia powyżej pięciu lat – mówił w Krynicy-Zdroju wiceminister Banaś. A jeszcze dwa lata temu przywóz nielegalnie paliwa był traktowany jak wykroczenie.

Szara strefa uderzała przede wszystkim w legalnie działające firmy, które płacą podatki i nie mogą oferować taniego (czyli z nielegalnego źródła) paliwa na swoich stacjach. Dlatego ze zmiany przepisów zadowolone są największe firmy sektora – PKN Orlen i Grupa Lotos. – Najważniejsze, że sytuacja na polskim rynku jest przejrzysta i możemy działać w uczciwym otoczeniu oraz konkurencji – mówił w czasie panelu w Krynicy Zbigniew Leszczyński, odpowiedzialny w zarządzie PKN Orlen za sprzedaż. – Jestem spokojny, że szara strefa się nie odrodzi, jeśli właściwe organy kontrolne nadal będą skutecznie egzekwowały prawo – dodał.

Leszczyński przytoczył dane, z których wynika, że w pierwszym półroczu 2017 r. popyt na olej napędowy wzrósł o 26 proc. Jak jednak podkreślał, szara strefa dotyczyła nie tylko oleju napędowego, lecz także benzyny. I po wejściu w życie nowych przepisów także w tym segmencie sprzedaż wzrosła. PKN Orlen, największy producent paliwa w Polsce, w pierwszym półroczu tego roku zarobił 3,8 mld zł (zysk), natomiast Grupa Lotos – 568 mln zł.

Dlatego uczestniczący w panelu wiceprezes zarządu ds. strategii i rozwoju Grupy Lotos Mateusz Aleksander Bonca

zauważał, że pakiet paliwowy nie tylko przynosi efekt budżetowi państwa, lecz także przyczynił się do poprawy wyników finansowych firmy. – To paliwo, które musieliśmy w poprzednich latach eksportować, teraz z powodzeniem możemy lokować je na krajowym rynku – stwierdził wiceprezes Grupy Lotos.

Efekty pakietu paliwowego widoczne są też w działalności spółki OLPP (Operator Logistyczny Paliw Płynnych), która jest właścicielem największych baz magazynowania paliwa w kraju. Tylko w okresie od sierpnia do grudnia ubiegłego roku wolumen wydanego w bazach paliwa przez OLPP wzrósł o 23 proc. – Szarą strefę szacowaliśmy na 15 proc. rynku, ale w rzeczywistości jej udział mógł być wyższy – mówił podczas panelu prezes zarządu spółki Paweł Stańczyk.

CYSTERNY Z DRUGIEGO OBIEGU

W sprawie szarej strefy w kraju jako pierwsza (już ponad cztery lata temu) alarmowała Polska Organizacja Przemysłu i Handlu Naftowego, utworzona przez największe firmy działające w kraju. – Okazało się bowiem, że pomimo wzrostu gospodarczego oficjalny popyt na paliwo zmalał, a jednocześnie codziennie do Polski wjeżdżało kilkaset cystern – mówi „Do Rzeczy” ekspert POPiHN Krzysztof Romaniuk. – Nielegalny i niekontrolowany import wypierał polskie paliwo i nasze rafinerie musiały szukać rynków zbytu za granicą. Skala tego zjawiska była ogromna. Możliwe, że nawet co piąty litr oleju napędowego na polskim rynku był z nielegalnego źródła.



W panelu pt. „Wyzwania dla polskiego sektora paliwowego” uczestniczyli członkowie rządu i szefowie największych firm. Od lewej: wiceminister finansów Marian Banaś, wiceprezes Grupy Lotos Mateusz Aleksander Bonca, Zbigniew Leszczyński z zarządu PKN Orlen, sekretarz stanu w KPRM Maciej Małecki, prezes OLPP Paweł Stańczyk. FOT. BIURO PRASOWE PERN SA

Teraz – po zmianie przepisów – oficjalny import w okresie styczeń–lipiec sięgnął 4 mld l rocznie. – Obecnie firmy skupione w POPIHN, by pokryć zapotrzebowanie, muszą sprowadzać czterokrotnie więcej oleju napędowego z zagranicy niż rok temu. To dla nas sygnał, że odzyskały rynek – mówi Romaniuk.

Organizacja szacuje zużycie oleju napędowego w okresie styczeń–lipiec na 11 mld l, a zatem więcej o jedną piątą w porównaniu z tym samym okresem ubiegłego roku. Kierowcy więcej kupili też benzyny (o 8 proc.) i autogazu (o 6 proc.).

Wartość nielegalnego paliwa sprzedawanego w ostatnich latach w Polsce jest różnie szacowana, bo dane nie są pełne. Obecny na panelu w Krynicy wiceminister w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów Maciej Małecki informował, że w 2007 r. luka w podatku VAT była szacowana na 7 mld zł, a w 2015 r. – już na 50 mld zł. – I w tej kwocie jedną piątą mogła stanowić właśnie szara strefa na rynku paliwowym – dodał. Jego zdaniem w kraju działała po prostu „mafia paliwowa”.

PRĄD I WODÓR

W ostatnich dwóch latach w każdej dyskusji o wyzwaniach dla sektora w Polsce pojawia się wątek paliw alternatywnych, a szczególnie w kontekście elektromobilności. I tak samo było w Krynicy. Krajowi producenci paliwa muszą bowiem brać pod uwagę światowe tendencje na rynku. Wraz z ideą walki o ochronę klimatu coraz więcej firm

motoryzacyjnych stawia na promocję aut elektrycznych, polską odpowiedzią ma zaś być narodowy plan rozwoju e-mobilności, a w nim choćby stworzenie polskiego samochodu elektrycznego (autobusy elektryczne polskiej produkcji już mamy i jeżdżą nie tylko w miastach w kraju, lecz także za granicą).

PKN Orlen i Grupa Lotos muszą nadążać za zmianami na rynku. Jak mówił podczas panelu w Krynicy Zbigniew Leszczyński, obecnie w kraju w sieci Orlen działają już dwa superchargery, czyli

Szara strefa uderzała przede wszystkim w legalnie działające firmy, które płacą podatki i nie mogą oferować taniego (czyli z nielegalnego źródła) paliwa

stacje do szybkiego ładowania samochodów, w Czechach jest ich 25 (dzięki współpracy z amerykańskim producentem samochodów elektrycznych Tesla). Dwa są też w Niemczech na stacjach PKN Orlen działających pod marką Star. Także w Niemczech w miejscowości Mülheim od maja działa pierwszy pilotażowy punkt dla aut zasilanych wodorem. Gdy powstawał, PKN Orlen informował, że „zaletą technologii wodorowej jest przede wszystkim przyjazność względem środowiska, stosunkowo duży zasięg pojazdów napędzanych wodorem

– do ok. 500 km na jednym zbiorniku – oraz krótki czas tankowania”. Partnerem polskiej firmy w tym projekcie jest Air Liquide, światowy lider w dziedzinie paliw gazowych.

W tym samym czasie, gdy Orlen uruchamiał instalację w Niemczech, Air Liquide zawarł umowę na wielki projekt na drugim końcu świata – chodzi o współpracę z Toyotą i innymi japońskimi firmami przy budowie sieci stacji tankowania wodoru, tak by w ciągu trzech lat w Japonii działało ich 160, bo na drogach tego kraju ma w tym roku jeździć nawet 40 tys. samochodów napędzanych wodorem.

– Obserwujemy zmiany, jakie zachodzą na świecie, szczególnie w obszarze paliw alternatywnych, i jeśli pojawi się na nie popyt, to PKN Orlen będzie je oferował w kraju – zapewniał w Krynicy Zbigniew Leszczyński.

Grupa Lotos – jak deklarował jej wiceprezes – także mocno angażuje się w prace nad wodorem i analizuje rozwój rynku LNG. Na dwóch stacjach firmowych działają instalacje do ładowania samochodów, w planach jest zaś budowa 12 kolejnych na stacjach wzdłuż autostrad, częściowo za pieniądze unijne. W sumie koszty tych inwestycji szacuje się na milion euro.

Inną kwestią jest to, czym będą stacje paliwowe w przyszłości, a sądząc po planach firm działających w Polsce – nie tylko będą nastawione na usługę tankowania. Większość stacji stara się przyciągnąć klientów, oferując kawę, przekąski czy świeże pieczywo. – Obecnie klient odwiedza stację raz na trzy-cztery dni, a naszą ambicją jest, aby przychodził nawet dwa-trzy razy dziennie i nie tylko po to, by zatankować paliwo – mówił w Krynicy Zbigniew Leszczyński. – Nie wykluczamy więc sytuacji, w której sprzedaż paliw będzie tylko dodatkiem do biznesu – zauważył.

PKN Orlen jest właścicielem największej sieci stacji w kraju – ma ich 1,7 tys. Główny konkurent – koncern BP – ma 523 stacji, a Grupa Lotos – 487. Na liście potentatów są też Shell i Circle K (dawnej Statoil). Obecnie w Polsce – według danych POPIHN – działa ok. 6,8 tys. stacji paliwowych, z tego mniej więcej połowa to stacje tzw. niezrzeszone, należące do prywatnych polskich właścicieli.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertką Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika.



Elżbieta Glapiak

Polska w ramach perspektywy 2014–2020 otrzyma z Unii Europejskiej ok. 80 mld euro. 40 proc. tych funduszy znajdzie się w gestii samorządów

W 2015 r. zakończył się poprzedni cykl inwestycyjny jednostek samorządu terytorialnego, który przyczynił się m.in. do znaczącego wzrostu poziomu zadłużenia. Jednak w tym i poprzednim roku sytuacja finansowa samorządów, w szczególności jeśli chodzi o ich zadłużenie, poprawia się.

– Dostęp do środków z funduszy unijnych, zmniejszenie poziomu zadłużenia oraz zbliżające się wybory samorządowe, które zawsze są dodatkowym katalizatorem – te czynniki powinny zwiększyć intensywność prac nad rozwojem infrastruktury, tym samym spodziewamy się wielu nowych inwestycji – wyjaśnia Rafał Petsch, członek zarządu Pekao Investment Banking, dyrektor zarządzający Departamentem Instytucji Finansowych i Sektora Publicznego Banku Pekao SA.

To, czego samorządy dokonały do tej pory, przyczyniło się do ich rozwoju i poprawienia warunków życia ich mieszkańców. Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika przygotowało specjalny raport „Gospodarny samorząd”, w którym oceniło osiągnięcia gmin i wyróżniło te, które najlepiej poradziły sobie z wyzwaniami. Z podsumowania wynika, że w ubiegłym roku nastąpił gwałtowny wzrost zarówno po stronie dochodów, jak i wydatków samorządów. Bieżące dochody i wydatki wzrosły o ponad 18 proc. W efekcie średni dochód na mieszkańca zwiększył się o jedną trzecią – z 3,6 do 4,4 tys. zł. Dużo więcej o zaradności gmin mówi poziom dochodów własnych, bez dotacji i subwencji. Składają się na nie m.in. udział w podatkach od osób fizycznych i prawnych, podatki lokalne itp.

Na przestrzeni ostatnich trzech lat dochody własne (miast na prawach powiatów, gmin miejsko-wiejskich i gmin wiejskich) w przeliczeniu na jednego mieszkańca zwiększyły się o ponad 16 proc. – do 2,2 tys. zł. Średnioroczny wzrost wyniósł ok. 5,5 proc., co oznacza, że wpływy wypra-



Podczas uroczystości w Krynicy (od lewej): Rafał Petsch – Bank Pekao SA, Danuta Kamińska – miasto Katowice, Jerzy Kwieciński – Ministerstwo Rozwoju, Radosław Jęcek – gmina Karpacz, Olga Roszak-Pezala – gmina Mielno, Andrzej Porawski – Związek Miast Polskich

FOT. BIURO PRASOWE FORUM EKONOMICZNEGO W KRYNICY

Samorządy siłą napędową gospodarki



cowywane przez gminy rosły o ok. 1 punkt procentowy szybciej niż dochody budżetu państwa. Widać więc, że z roku na rok poprawia się finansowa samodzielność samorządów, a ich władze coraz lepiej gospodarują swoimi środkami. Przeciętne dochody własne na przestrzeni ostatnich trzech lat stanowiły 52 proc. dochodów ogółem. Największy udział w dochodach własnych mają podatki od osób fizycznych, które stanowią 38 proc. wpływów, oraz podatki od nieruchomości stanowiące jedną czwartą dochodów. Ostatnie lata to również czas spadającego bezrobocia w gminach i – co istotne – mniejszego zadłużenia samorządów. Przeciętnie poziom zobowiązań w stosunku do dochodów obniżył się w omawianym okresie do 35,4 proc.

JAKOŚĆ ŻYCIA MIESZKAŃCÓW

W zestawieniu, które przygotowało Centrum Gospodarcze im. Mikołaja Kopernika, w kategorii miast na prawach powiatu najlepiej wypadł Gdańsk, który konsekwentnie rozwija się gospodarczo, przy jednoczesnym skupieniu uwagi na mieszkańcach i jakości ich życia. W 2014 r. uchwalono nową Strategię Rozwoju Miasta Gdańsk 2030 Plus. Miasto nie tylko dba o gdańszczan, lecz także stara się zachęcać do osiedlania nowych mieszkańców, w tym również migrantów. Jako pierwsze miasto w Polsce wypracowało standardy integracji nowych mieszkańców przyby-

łych z zagranicy – Gdański Model Integracji Imigrantów.

W kategorii gmin miejskich i miejsko-wiejskich liderem okazała się Stalowa Wola – jedno z najmłodszych miast w województwie podkarpackim. To miasto o niezwyklej dynamice rozwoju, powstanie tu nowa dzielnica innowacji i rozwoju – Technopolis, a tutejsze uczelnie będą pełnić funkcję centrów badań i rozwoju. W planach jest budowa nowej hali dla przedsiębiorców. Budynek po dyrekcji HSW SA miasto planuje przeznaczyć pod funkcjonowanie tzw. Kuźni Przedsiębiorczości, w której znajdowałaby się pierwsza w regionie strefa do tzw. coworkingu.

Z kolei jeśli spojrzymy na gminy wiejskie, to zdecydowanie najlepszy jest położony na północy Mazowsza Przasnysz. Z powodzeniem rozwija się tu agroturystyka, funkcjonuje prężna strefa gospodarcza i znajduje się dogodna infrastruktura. Władze gminne kładą duży nacisk na zsynchronizowany rozwój poszczególnych części gminy – tak pod względem inwestycji, jak kultury czy edukacji.

Kapituła rankingu postanowiła docenić też działania Częstochowy, wręczając władzom miasta specjalne wyróżnienie. Miasto jest wyjątkowo aktywne i skutecznie skoncentrowane na tworzeniu dogodnych warunków przestrzennych oraz finansowych dla inwestorów, a także pozyskiwaniu środków unijnych na ważne

inwestycje miejskie. Efektem tych działań jest pokrycie planami zagospodarowania przestrzennego 63 proc. powierzchni inwestycyjnej miasta. Rafał Petsch, który wręczał nagrodę, podkreślił, że Częstochowa zasłużyła na wyróżnienie dzięki temu, że pokazuje dynamiczny wzrost dochodu, pozyskuje licznych inwestorów oraz doskonale radzi sobie z wykorzystaniem środków unijnych.

Dzięki utworzeniu dwóch specjalnych stref ekonomicznych (SSE) w ciągu ostatnich trzech lat Częstochowa pozyskała 12 nowych podmiotów gospodarczych, 117 mln zł nakładów inwestycyjnych i 617 nowych miejsc pracy. Nie bez znaczenia jest przy tym fakt, że miasto przygotowało wyjątkowo dużo preferencji podatkowych dla biznesu. Skorzystało z nich 91 przedsiębiorców, a średnia roczna kwota udzielonych ulg to 4 mln zł.

DECYDUJE OBYWATEL

Wyróżnienie Obywatelski Samorząd w kategorii miast na prawach powiatu przypadło Katowicom, które co najmniej od dekady intensywnie pracują nad zmianą swojego wizerunku. Jednym z ważniejszych aspektów tych działań jest przebudowa przestrzeni miejskiej, m.in. tej sąsiadującej ze Spodkiem, nazywanej dziś Strefą Kultury. Obywatelski Samorząd w kategorii gmin miejskich i miejsko-wiejskich przyznano Karpaczowi za zmiany, które doceniają turyści, chętnie odwiedzający to miejsce. W najbliższym czasie planowanych jest tam kilka strategicznych inwestycji, tj. budowa stadionu lekkoatletycznego, reprezentacyjnego deptaka oraz systemowe rozwiązania w zakresie gospodarki wodnej. Przed miastem także dalsza poprawa zagospodarowania turystycznego, tj. stworzenie nowych tras spacerowych oraz terenów edukacyjno-rekreacyjnych, a także poprawa estetyki i funkcjonalności przestrzeni miejskiej.

Z kolei Mielno otrzymało wyróżnienie Obywatelski Samorząd w kategorii gmin wiejskich. Może się ono pochwalić czystą, strzeżoną i zradiofonizowaną plażą, wokół której znajdują się kawiarnie, restauracje, smażalnie ryb oraz inne punkty gastronomiczne i handlowe. Największe wyzwania Mielna na najbliższe dwa lata to projekty – budowa centrum przesiadkowego, promenady i obiektu multimedialnego „Skarbnica wioski rybackiej w Chłopach”. Na ich realizację pozyskali zewnętrzne środki w wysokości ponad 6,5 mln zł, zaś łączny ich koszt to ok. 14 mln zł.

Laureaci Rankingu Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika odebrali nagrody na specjalnej gali, która odbyła się w drugim dniu XXVII Forum Ekonomicznego w Krynicy. Gratulacje złożył im gość specjalny gali, marszałek senatu Stanisław Karczewski, który zaznaczył, że wzrost PKB i to, iż mamy coraz lepsze perspektywy wzrostu, to zasługa również samorządów. Z kolei Rafał Petsch zaznaczył, że potencjał rynku podmiotów samorządowych jest ogromny. – W kolejnych latach, czyli w okresie, w którym samorządy przystąpią do realizacji nowych inwestycji zapisanych w programach operacyjnych, może nastąpić dalszy wzrost poziomu zadłużenia – samorządy będą potrzebowały nowych środków na wkład własny do projektów. Tutaj zawsze jest miejsce dla doświadczonego partnera, czyli Pekao SA – wyjaśnił.

W jego ocenie kolejne lata przyniosą nowe wyzwania. Wśród strategicznych zadań samorządów, a także instytucji państwa jest zapewnienie lepszego dostępu do infrastruktury. Inwestowanie w jej rozwój wiąże się z dużą kapitałochłonnością oraz zwykle długim okresem realizacji i ekonomicznego życia takiego przedsięwzięcia. – Powstaje więc pytanie, w jakim stopniu te inwestycje powinny mieć charakter wyprzedzający wobec zachodzących procesów gospodarczych. Czy w ten sposób należy stymulować rozwój gospodarki, czy bardziej zasadne jest reagowanie na zmieniającą się rzeczywistość? Ponadto musimy również brać pod uwagę coraz bardziej istotną kwestię kosztów związanych z utrzymaniem infrastruktury, szczególnie w świetle faktu, że po zakończeniu kolejnej perspektywy unijnej 2014–2020 możemy się spodziewać obniżenia puli środków z funduszy unijnych, do których Polska będzie miała dostęp – dodał.

EKONOMICZNY RACJONALIZM

Decydenci już dziś starają się znaleźć odpowiedź na pytanie, czy użytkownicy powinni ponosić koszty korzystania z infrastruktury. Płacimy przecież za korzystanie z usług sektora wodno-kanalizacyjnego czy publicznej komunikacji zbiorowej. Coraz częściej ponosimy opłaty za gospodarowanie odpadami. Rozwiązania podpowiadają nam ekonomiczny racjonalizm, odpowiedzialność społeczna i chęć stworzenia solidnych podstaw dalszej szybkiej modernizacji kraju.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest ekspertką Centrum Gospodarczego im. Mikołaja Kopernika.



RAFAŁ PETSCH,
członek
zarządu Pekao
Investment
Banking,
dyrektor
zarządzający
Departamentem
Instytucji

Finansowych i Sektora Publicznego Banku Pekao SA:

Ostatnie lata, z uwagi na niespotykany do tej pory w Polsce proces inwestycyjny w infrastrukturę publiczną, którego powodem jest dostępność funduszy Unii Europejskiej, charakteryzowały się intensywnym wzrostem zapotrzebowania ze strony sektora publicznego na wyspecjalizowane usługi bankowe w zakresie przygotowywania oraz finansowania projektów inwestycyjnych. Bank Pekao SA jest liderem w finansowaniu projektów inwestycyjnych służących społecznościom lokalnym, rozwojowi regionalnemu, a także mających oddziaływanie ogólnokrajowe. Współfinansowaliśmy m.in. projekty związane z rozbudową i modernizacją sieci transportowych, zakupem taboru autobusowego, kolejowego oraz tramwajowego, z rozbudową sieci wodociągowo-kanalizacyjnych, dotyczących sektora gospodarki odpadami, oraz wiele innych. Wśród naszych sukcesów postrzegamy w szczególności uzyskanie dominującego udziału banku Pekao wśród instytucji finansowych zaangażowanych w finansowanie rozwoju lotnisk. Warto przy tym podkreślić, że są to inwestycje, które można mierzyć nie tylko przez pryzmat efektywności finansowej samych spółek. Mają one także szerokie znaczenie dla społeczności lokalnych i regionów. Lotniska pełnią obecnie, poza czystymi funkcjami związanymi z transportem, również istotne znaczenie dla wzrostu gospodarczego, stanowiąc czynnik wpływający na istnienie przewag konkurencyjnych określonych obszarów, poprawiając dostępność komunikacyjną poszczególnych regionów.



Katarzyna Pinkosz

Co roku w Polsce z powodu raka płuca znika miasto wielkości Działdowa. Tak wcale nie musi być

Rak płuca to dziś największy zabójca spośród chorób onkologicznych: co roku diagnozuje się go w Polsce u ok. 14,5 tys. mężczyzn i 7 tys. kobiet, a umiera z jego powodu ponad 21 tys. osób. Liczba zachorowań nieco spada u mężczyzn, za to wzrasta u kobiet, które coraz częściej sięgają po papierosa. Tymczasem to właśnie palenie tytoniu odpowiada za ponad 90 proc. przypadków raka płuca. Przez długi czas choroba rozwija się w ukryciu. Objawy – takie jak uporczywy kaszel, duszność, powtarzające się zapalenia płuc, które skłaniają wreszcie do wizyty u lekarza i wykonania badań – pojawiają się już w zaawansowanym stadium nowotworu.

Leczenie jest trudne. W przypadku drobnokomórkowego raka płuca można zastosować chemo- i radioterapię. W przypadku niedrobnokomórkowego nadzieją dla osób z mniej zaawansowanym stadium nowotworu (takich jest tylko ok. 20 proc.) jest operacja chirurgiczna, która daje 60–70 proc. szans na wyleczenie. Pozostałym chorym pozostawały do niedawna chemioterapia lub leczenie paliatywne. Wyniki nie napawały optymizmem, bo pięć lat po diagnozie przeżywa niewiele ponad 13 proc. chorych – to dramat w porównaniu z innymi często występującymi nowotworami – mówi prof. Rodryg Ramlau, kierownik Katedry i Kliniki Onkologii UM w Poznaniu.

LEKI UKIERUNKOWANE

Dopiero niedawno pojawiły się pierwsze leki, które zmieniają rokowanie chorych na zaawansowanego raka płuc. Pierwszą nadzieją na wydłużenie życia stały się leki ukierunkowane molekularnie. – W części komórek raka płuca jest widoczne zaburzenie pewnej funkcji genu, który odpowiada za powstawanie komórek nowotworowych. To przede wszystkim mutacje w genie dla receptora naskórkowego czynnika wzrostu EGFR i zaburzenie struktury genu ALK. Pojawiły się leki, które hamują komórki mające to zaburzenie molekularne – wyjaśnia



Nadzieja na oddech

dr Adam Płuzański z Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie.

Podanie pacjentom mającym taką mutację leków ukierunkowanych molekularnie powodowało zmniejszenie się całkowitej masy guza nawet trzykrotnie w porównaniu z zastosowaniem standardowej chemioterapii. – Chorzy przeżywają średnio dwukrotnie dłużej niż ci, u których takiego leczenia nie zastosowano. Problem polega jednak na tym, że te leki można zastosować tylko u 10–15 proc. pacjentów z rakiem płuca, u których występują te mutacje genowe – dodaje dr Płuzański.

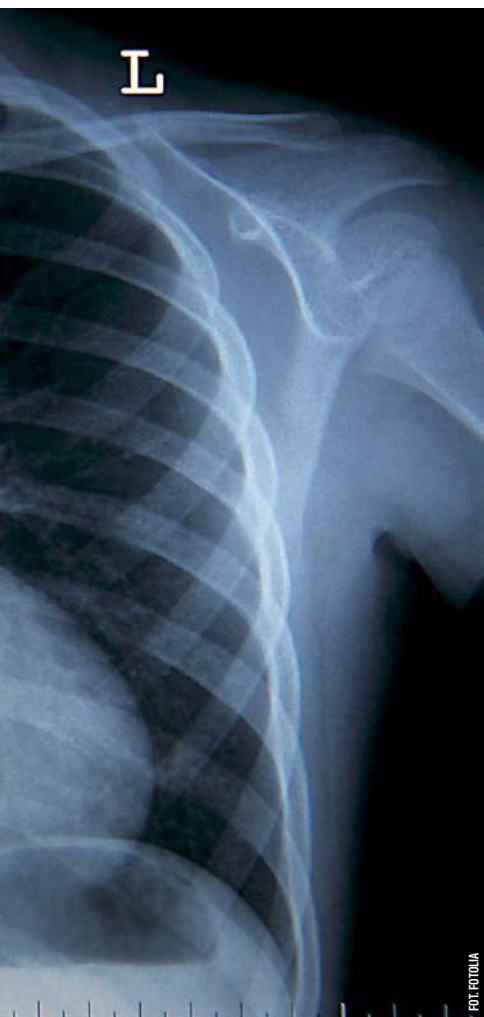
POBUDZANIE ODPORNOŚCI

Największe nadzieje w leczeniu nowotworów są obecnie związane z immunoterapią. Komórki nowotworowe pojawiają się w organizmie przez całe życie, długo dobrze radzi sobie z nimi układ odpornościowy. W pewnym momencie u niektórych osób „uciekają” jednak spod

jego kontroli i zaczynają się maskować. Układ immunologiczny przestaje je rozpoznawać i zwalczać.

Już od wielu lat naukowcy szukają odpowiedzi na pytanie, na czym polegają mechanizmy „ucieczki” komórek nowotworowych spod kontroli układu odpornościowego. Długo nie udawało się ich rozpoznać. Przełomem były wyniki badań zaprezentowane w 2010 r. podczas kongresu Amerykańskiego Towarzystwa Onkologii Klinicznej (ASCO) w Chicago, dotyczące leczenia ipilimumabem zaawansowanego czerniaka. Dzięki zastosowaniu tego leku pierwszy raz pojawiła się nadzieja, że rak płuc stanie się chorobą przewlekłą. Od tamtej pory nastąpił prawdziwy boom, jeśli chodzi o immunoterapię – w leczeniu zarówno czerniaka, jak i innych nowotworów złośliwych.

Największe nadzieje, jeśli chodzi o immunoterapię w raku płuca, związane są dziś z lekami nazywanymi inhibitorami programowanej śmierci komórki: inhibitorami PD-1 i PD-L1. Wykorzystują one



wcześniej otrzymywali chemioterapię. Lek ten już wcześniej był stosowany z ogromnymi sukcesami w leczeniu zaawansowanego czerniaka.

Rok później dokonał się kolejny przełom: pembrolizumab zarejestrowano w UE już w pierwszej linii leczenia chorych na zaawansowanego raka płuca (zamiast chemioterapii). Wyniki badań KEYNOTE-024 udowodniły, że zmniejszał on aż o 50 proc. ryzyko postępu choroby lub zgonu w porównaniu z klasyczną chemioterapią. Po roku żyło 48 proc. chorych leczonych pembrolizumabem, a tylko 14 proc. spośród otrzymujących cytostatyki. Duże korzyści odnieśli również chorzy, u których z powodu postępu choroby zamieniono chemioterapię na pembrolizumab.

NIE DLA WSZYSTKICH

Niestety, na razie efekty zastosowania tzw. leków immunokompetentnych nie są tak samo dobre u wszystkich chorych. W przypadku immunoterapii niezwykle istotny jest poziom ekspresji PD-L1 w obrębie guza. Zgodnie z rejestracją pembrolizumab może być stosowany w leczeniu pierwszego rzutu u osób dorosłych z przerzutowym niedrobnokomórkowym rakiem płuca, jeśli ta ekspresja dotyczy co najmniej 50 proc. komórek nowotworu.

– Im większy stopień ekspresji ligan-dów, tym większa szansa na uzyskanie odpowiedzi na leczenie, a także dłuższy czas przeżycia całkowitego. Jednak w niektórych badaniach dotyczących raka płaskonabłonkowego nie ma to żadnego znaczenia, a w raku niepłaskonabłonkowym – przeciwnie. Teorie na ten temat są różne, prawdopodobnie przyczyną jest to, że PD-1 nie jest jedynym czynnikiem predykcyjnym – zauważa dr Płuzański.

Nowoczesne leczenie raka płuca nie jest więc możliwe bez współpracy pomiędzy pulmonologiem, onkologiem, patomorfologiem i biologiem molekularnym.

konieczne jest określenie, które spośród nowoczesnych leków mogą choremu rzeczywiście pomóc.

CZEKAMY NA TERAPIĘ

W Polsce nowe terapie immunologiczne – zarówno inhibitory PD-1 (niwolumab, pembrolizumab), jak i PD-L1 (atezolizumab) – są dostępne dla chorych na raka płuca jedynie w badaniach klinicznych. Żaden nie jest refundowany ani w pierwszej linii leczenia, ani w kolejnych. Jak informuje Milena Kruszewska, rzeczniczka Ministerstwa Zdrowia, obecnie są rozpatrywane wnioski dotyczące refundacji kilku nowoczesnych leków, w tym niwolumabu i pembrolizumabu (z producentami prowadzone są negocjacje cenowe).

Lekarze chcieliby móc stosować nowoczesne leki przynajmniej u tych pacjentów, w przypadku których udowodniono, że może to przynieść prawdziwy przełom. Część chorych, którzy do tej pory mieli przed sobą maksymalnie rok życia, dzięki lekom immunokompetentnym żyje już kilka lat, a ich stan zdrowia się nie pogarsza. – Wprowadzenie leków ukierunkowanych molekularnie i immunokompetentnych spowodowało, że część chorych z przerzutami odległymi zaczęła żyć tak długo, iż zaczynamy myśleć o raku jako o chorobie przewlekłej. Niektóre z nich (pembrolizumab, atezolizumab) można stosować już w pierwszej linii leczenia – zaznacza prof. Ramlau.

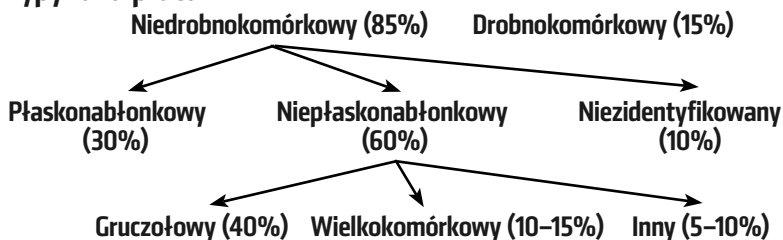
Lekarze chcieliby u polskich pacjentów móc stosować leki, o których wiedzą, że stają się przełomem. Pacjenci walczą o dłuższe życie, mierzone nie w miesiącach, tylko w latach. Dlatego umożliwienie im dostępu do nowych leków jest koniecznością. Podobnie jak prowadzenie skuteczniejszych kampanii zniechęcających młodych ludzi do palenia papierosów oraz stworzenie realnej pomocy (poradnie antynikotynowe) osobom, które chcą porzucić nałóg.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

rozpoznany przez naukowców mechanizm wyłączania układu odporności. Otóż komórki nowotworowe wystawiają na swojej powierzchni białka, które wyłączają aktywność komórek odpornościowych – limfocytów T. Receptor PD-1 jest zlokalizowany na powierzchni limfocytów T. Gdy zwiąże się on ze specjalnym łącznikiem (ligandem) na komórce nowotworowej, dochodzi do przzerwania szlaku sygnałowego, co hamuje aktywność limfocytów T. Inhibitory PD-1 i PD-L1 powodują „odblokowanie zamka”: limfocyty T znów dostrzegają w komórkach nowotworowych wroga i zaczynają go zwalczać.

W 2015 r. Komisja Europejska dopuściła do obrotu pierwszy lek immunomodulujący w raku płuca – niwolumab (inhibitor PD-1) u pacjentów, którzy wcześniej otrzymywali chemioterapię. W 2016 r. Komisja Europejska zatwierdziła do stosowania u pacjentów z niedrobnokomórkowym rakiem płuca kolejny lek – pembrolizumab (również inhibitor PD-1) także u chorych, którzy

Typy raka płuca



(Źródło: „Obraz raka płuca w Polsce – leczenie farmakologiczne dziś i jutro”, 2016, HealthQuest)

Bieganie. Pasja, która łączy ludzi



FOT. SPORTGALIA, PL. PIOTR DYMIŁ, MACIEJ ROZCIECZKA / FUNDACJA MARATON WARSZAWSKI

Ponad 10 tys. ludzi pobiegnie w niedzielę ulicami Warszawy w 39. PZU Maratonie Warszawskim. To największy i jeden z najstarszych biegów masowych w Polsce. Obok biegu głównego na dystansie 42 km 195 m biegacze pobiegną też w sztafecie oraz w biegu na 5 km. Dzień wcześniej na Agrykoli dla najmłodszych odbędzie się Mini Maraton #BeActive, który inauguruje polską edycję Europejskiego Tygodnia Sportu

Tegoroczna edycja Maratonu Warszawskiego wpisuje się w obchody Roku Wisły. Nawiązują do tego m.in. medale wszystkich trzech biegów, w których widnieje podobizna Syrenki Warszawskiej. Trasa maratonu w tym roku została zaplanowana tak, aby była atrakcyjna zarówno dla uczestników, którzy stawiają na cel sportowy i chcą uzyskać jak najlepszy wynik, jak również dla biegaczy amatorów dla których ważne jest otoczenie, w którym biegają. Równie ciekawa jest trasa biegu na 5 km, która prowadzi przez samo serce miasta, jest szybka i ciekawa zarazem.

JAKA PIĘKNA JEST STOLICA!

– Chodziło nam o to, aby pokazać piękno Warszawy, jej największe atrak-

cje. Trasa jest ładna, widowiskowa i wiedzie przez najatrakcyjniejsze zakątki stolicy – mówi Magda Skrocka, dyrektor ds. komunikacji fundacji Maraton Warszawski, organizatora biegu. Podkreśla, że to szczególnie istotne ze względu na startujących coraz liczniej w Warszawie zagranicznych gości, którzy uprawiają tzw. turystykę maratońską i mogą docenić urodę stolicy, właśnie pokonując kolejne kilometry ulicami Warszawy.

Tradycyjnie organizatorzy 39. PZU Maratonu Warszawskiego musieli stawić czoła wyzwaniom, które niesie plan remontów stołecznych ulic. To przesądziło m.in. o tym, że w tym roku maratończycy ruszą z pl. Trzech Krzyży, a nie – tak jak przed rokiem – z Krakowskiego Przedmieścia. Tę zmianę jednak

docenia dyrektor maratonu, Marek Tronina. – Krakowskie Przedmieście zrobiło się trochę za wąskie na start takiej liczby biegaczy. Plac Trzech Krzyży jest zdecydowanie wygodniejszy pod tym względem – mówi. Dwa lata temu z placu wystartowało 13 tys. uczestników PZU Półmaratonu Warszawskiego.

Dyrektor maratonu podkreśla, że trasa biegu ma być przede wszystkim dla zawodników. – Każdy z nas się z czymś ściga, często z samym sobą, a to, co jest obok trasy, nie ma aż takiego znaczenia. W końcu to jest sport – mówi. Ma rację, bo sportowy walor trasy wpływa na wyniki – a te z kolei na pozycję imprezy w międzynarodowych rankingach (im szybszy bieg, czyli im lepsze średnie wyniki czołówki, tym wyższa pozycja, a to z kolei przyciąga coraz szersze kręgi amatorów żadnych rekordów życiowych). Ci, którzy dłużej znają Troninę, wiedzą jednak, że dużą wagę przykładają do tego, żeby trasa była i szybka, i „ładna”, zwracając uwagę na wszystkie szczegóły. Nierzadko z jego pomysłów korzystają organizatorzy innych stołecznych imprez biegowych, kopiując albo

WIELKIE BIEGANIE W WARSZAWIE

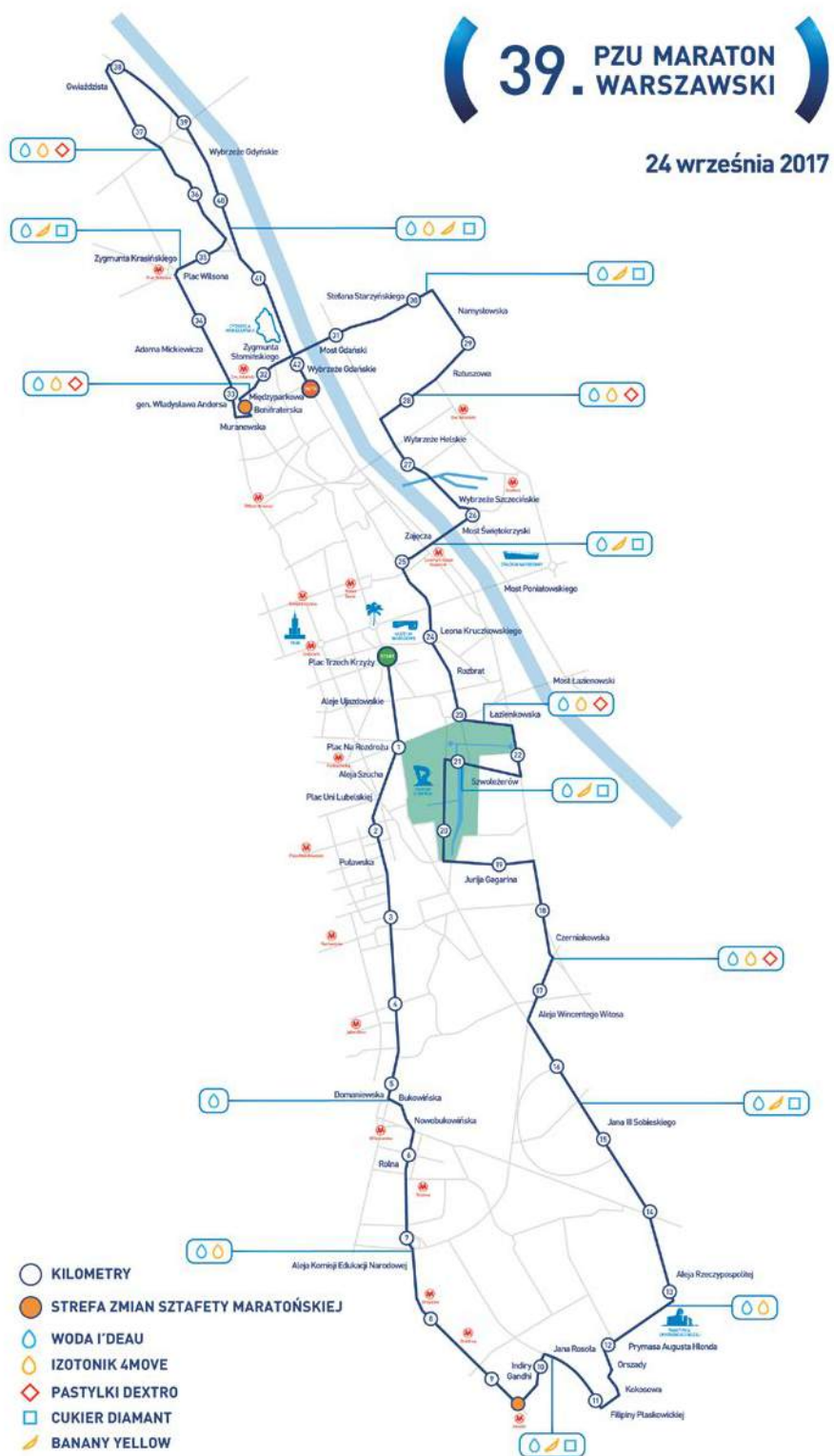
nieznacznie modyfikując całe fragmenty tras Maratonu Warszawskiego.

Planowanie trasy maratonu to nie lada wyzwanie. Organizator nie tylko musi przedstawić projekt trasy i uzyskać akceptację inżyniera ruchu, lecz także powinien spełnić wymogi atestu zgodnie z regulaminem PZLA i AIMS. To oznacza, że różnica wysokości nad poziomem morza na starcie i mecie nie powinna przekraczać 42 m, a odległość miejsca startu i mety nie powinna przekraczać 50 proc. długości trasy. W tym roku w Warszawie maratończycy pobiegą z pl. Trzech Krzyży Al. Ujazdowskimi i ul. Puławską w stronę Ursynowa. Na wysokości stacji metra Imielin skierują się w stronę Wilanowa i Świątyni Opatrzności Bożej, a następnie przez Sadybę i Mokotów dobiegną do Łazienek Królewskich. Przetną park Łazienkowski i dotrą do mostu Świętokrzyskiego, którym przebiegną na prawą stronę Wisły. Po praskiej stronie trasa wiedzie Wybrzeżem Szczecińskim i Wybrzeżem Hel skim, następnie ulicami Ratuszową i Namysłowską do ronda Starzyńskiego i w stronę mostu Gdańskiego. Po powrocie na lewą stronę Wisły biegacze będą mieli jeszcze przed sobą pl. Wilsona oraz Kępę Potocką, po której obiegnięciu Wisłostradą będą zmierzać już prosto do mety usytuowanej na Wybrzeżu Gdańskim na wysokości Parku Fontann.

MARATON NA ZDROWIE?

Na nieco ponad tydzień przed startem 39. PZU Maratonu Warszawskiego figurowało ponad 7 tys. zarejestrowanych biegaczy. Do biegu na 5 km zgłosiło się ok. 3 tys. osób, kolejne kilkaset zgłosiło się do udziału w sztafecie maratońskiej. Większość z nich to amatorzy, którzy do startu przygotowują się przez kilka miesięcy. Rozpoczynając przygodę z bieganiem najczęściej chcą zadbać o kondycję i zdrowie oraz zrzucić zbędne kilogramy. Często na tym etapie nie myślą o maratonie. Ten pomysł przychodzi z czasem.

Ile trzeba trenować, żeby bezpiecznie przebiec maraton czy choćby 5 km? Nie ma jednej uniwersalnej odpowiedzi. Jeżeli ktoś jest po czterdziestce albo nawet jest młodszy, a nigdy lub bardzo długo nie był zbyt aktywny, ma kilka kilogramów za dużo, to lepiej, żeby zaczął od marszobiegów czy marszów. Niezależnie od kondycji i aktywności po czterdziestce warto zrobić mały przegląd zdrowotny i przynajmniej podstawowe badania krwi, z oznaczeniem



poziomu cholesterolu i cukru, oraz EKG. Osoby aktywne fizycznie, nawet jeżeli nic im nie dolega, raz w roku powinny sobie zrobić podstawowe badania.

Lekarze są zgodni co do tego, że maraton nie jest najzdrowszą formą rekreacji

– z uwagi na dystans i intensywność wysiłku. Jednak już przygotowanie do udziału w maratonie zdrowiu nie powinno zagrażać. Regularna aktywność fizyczna poprawia ogólną wydolność i sprawność fizyczną, korzystnie wpływa na



■ układ sercowo-naczyniowy, zmniejsza ryzyko rozwoju choroby nowotworowej i usprawnia funkcjonowanie układu odpornościowego. Zapobiega starzeniu się środkowego układu nerwowego, zwiększa możliwości poznawcze i opóźnia rozwój wielu chorób degeneracyjnych, może też zapobiegać depresji. Pomaga również utrzymywać właściwą masę ciała i poziom tkanki tłuszczowej. Osoby aktywne fizycznie zazwyczaj szybciej zauważają różne problemy zdrowotne i szybciej zgłaszają się do lekarza z niepokojącymi objawami (np. anemii), co pozwala szybciej i skuteczniej je leczyć.

Prawidłowy trening maratoński to nie tylko obciążające dla kości i stawów bieganie, lecz także wszechstronne wzmocnienie całego organizmu, uelastycznienie mięśni grzbietu i brzucha, ramion, nauka oddychania podczas wysiłku, wreszcie nauka prawidłowego odżywiania i dbanie o dietę. Mądry trening w przypadku zdrowej osoby nie niesie ze sobą praktycznie żadnego ryzyka, natomiast korzyści zdrowotne są nie do przecenienia. Dlatego coraz częściej bieganie stanowi synonim zdrowego stylu życia – bo biegacze sami starają się być coraz zdrowsi, aby lepiej i pełniej uprawiać swoją pasję.

NIE TYLKO MARATON

Nie każdy biegacz od razu zostaje maratończykiem, podobnie jak nie każdy startuje w wielkich imprezach o masowym zasięgu. Jednak każdy albo prawie każdy może wystartować w zawodach. W blisko 40 miastach i miasteczkach w całej Polsce odbywają się biegi z cyklu „Parkrun”. To cykliczne i bezpłatne biegi na dystansie 5 km z pomiarem czasu

organizowane w każdą sobotę o godz. 9 rano. Udział w „Parkrun” jest bezpłatny, wystarczy dokonać jednorazowej rejestracji w internetowym systemie. Wydarzenia z cyklu „Parkrun” odbywają się niemal na całym świecie i skupiają setki tysięcy biegaczy. Uzyskany przy rejestracji kod uczestnika pozwala na udział w dowolnej liczbie biegów i w dowolnej lokalizacji „Parkrun” na świecie.

5 km pokonywane w ramach „Parkrun” to doskonały trening, także w ramach przygotowań do maratonu, a również świetny i regularny sprawdzian dla organizmu. To także dobra okazja do spotkania z grupą znajomych czy ludzi, z którymi dzieli się tę samą pasję.

SPORT ŁĄCZY LUDZI

Bieganie to sport bardzo egalitarny. Obok wąskiej elity na starcie biegów masowych stają zazwyczaj amatorzy, którzy biegają w czasie wolnym od pracy i normalnych domowych obowiązków. Coraz częściej jednak zalety biegania i wspólnego uprawiania sportu doceniają pracodawcy, którzy zapewniają pracownikom wspólne treningi, odpłacają trenerów, finansują lub dofinansowują stroje oraz starty w zawodach.

Po co to robią? Zdrowy i aktywny pracownik to pracownik, który nie będzie chorował, nie będzie szukał „niezdrowych” przyjemności. Jest oczywiście i druga strona medalu. Przebywamy cały czas w swojej grupie „współpracowników” i w pewien sposób (nawet podświadomie) myślimy i „żyjemy” sprawami firmy. Integracja z firmą następuje również na płaszczyźnie „sportowej”. Globalnie jest to inwestycja w pracowników, w odpowiedzialny biznes oraz kształtowanie relacji

partnerskich – mówi Darek Knychas z PZU Sport Team. W sekcji biegowej PZU ST trenuje regularnie ok. 300 osób. 22 wystartują w Maratonie Warszawskim, ok. 40 osób – w Biegu na 5-kę.

Zwraca uwagę, że szczególnie na początku przygody z bieganiem takie wsparcie jest bardzo ważne. – Część osób niekiedy wstydzi się wyjść samemu na ulicę i biegać. W grupie zawsze jest różnie. Grupa mobilizuje do przyścia na trening, jest bodźcem do regularności – mówi. Na wiosnę, w ramach akcji „Zaczynaj biegać z PZU”, na firmowe treningi biegowe zgłosiło się 25 nowych osób. Do tej pory wytrzymało 15 z nich. I wszyscy zgodnie podkreślają, że ciężko jest im wyjść na trening indywidualny, ale na trening grupowy mobilizują się i starają się w nim uczestniczyć.

SPORT ŁĄCZY POKOLENIA

Bieganie, które kiedyś nazywane było sportem dla samotników, coraz częściej łączy nie tylko grupy znajomych, lecz także całe rodziny. Nie inaczej będzie w trakcie maratońskiego weekendu. I o ile niedziela jest raczej zarezerwowana dla dorosłych, o tyle sobota upłynie pod znakiem startów najmłodszych. Mali zawodnicy wystartują w Mini Maratonie na bieżni lekkoatletycznej. Otrzymają własne numery startowe z profesjonalnym chipem do pomiaru czasu, a także piękne medale po ukończonym biegu. Zawody zostaną rozegrane w kilku kategoriach wiekowych, od Biegu Bąbla dla dzieci do 3 lat na dystansie ok. 100 metrów do Biegu Małolata i Biegu Nastolatka na ok. 1500 m.

Takie rodzinne bieganie to idealna okazja, aby zaszczyćć dziecku dobre wzorce, a jednocześnie wykorzystać



jego naturalną energię. – Dzieci raczej ruszają się za dużo niż za mało, uwielbiają ruch, dlatego takie biegi to doskonały pomysł – ocenia Dorota Pietrzyk-Matusik z fundacji Flow. Dziecko, które wspólnie z rodzicami bierze udział w zawodach, uczy się, że aktywność, uprawianie sportu to normalny, naturalny element życia. – To trochę jak z myciem rąk czy zębów. Jeżeli każesz dziecku myć ręce, to każesz. Jeżeli dasz przykład i będziesz myć ręce wtedy, kiedy trzeba, to dziecko potraktuje to jak coś naturalnego. Podobnie jest z aktywnością i ze sportem – mówi Pietrzyk-Matusik.

Zwraca jednak uwagę, że o ile wszystkie dzieci powinny dostać medale za udział w biegu, o tyle każde z nich powinno dostać jasny komunikat, za co dostaje nagrodę. Jeżeli było ostatnie, to nagrodamy je za wytrwałość mówi. Sama rywalizacja w tym przypadku powinna być w tle, ważne jest, aby pokazać dziecku, że liczy się udział, że istnieje coś takiego jak fair play i co to jest...

Podkreśla też, że szczególnie w przypadku najmłodszych dzieci ważna jest postawa rodziców. Nie chodzi przecież o to, żeby przenosić swoje ambicje na dzieci, żeby ciągnąć je na siłę do mety i trutować innych po drodze. Jednak to też nic złego, jeżeli czasami na takim biegu rodzic nawet przeniesie na rękach malucha. Chodzi o to, żeby dziecko złapało sportowego bakcyła. Bo sport uczy wielu rzeczy przydatnych w dorosłym życiu, m.in. samodyscypliny czy radzenia

sobie z niepowodzeniami. A jeżeli przy tym jest okazją do wspólnego spędzenia czasu – to trudno o lepsze połączenie.

BIEGAJĄ I POMAGAJĄ

Prawie 2 mln zł zebrano w towarzyszącej od trzech lat Maratonowi i Półmaratonowi Warszawskiemu akcji charytatywnej „#BiegamDobrze”. To pierwsza tego typu akcja w Polsce, choć doskonale znana z największych maratonów świata.

– Można powiedzieć, że dwa miliony przez trzy lata trwania akcji to nie jest jakaś wielka suma.

Pamiętajmy jednak, że obracamy się w dość wąskim kręgu biegaczy, ich rodzin i znajomych. To oni zebrali te 2 mln zł – mówił na konferencji prasowej przed 39. PZU Maratonem Warszawskim Tronina.

„#BiegamDobrze” to akcja, w ramach której biegacze zbierają pieniądze na wsparcie działalno-

ści jednej spośród dziewięciu wskazanych przez organizatora biegu fundacji. Po uzyskaniu określonej kwoty (300 zł) biegacz otrzymuje pakiet startowy, a zebrane środki trafiają do wybranej przez niego fundacji. Rekordziści potrafią zgromadzić na kontach swoich zbiórki kilkanaście, a nawet ponad 20 tys. zł. Tak zwana ścieżka charytatywna cieszy się coraz większą popularnością wśród biegaczy, a ich kreatywność w pozyskiwaniu środków nie zna granic. Nie brakuje dodatkowych deklaracji, np. biegu w określonym stroju po zebraniu wskazanej kwoty lub uzyskania okre-

ślonego czasu. Biegacze wspierają m.in. fundacje Synapsis, Rak’n’Roll, Wcześniak Rodzice Rodzicom, WWF czy Amnesty International.

Jednak „#BiegamDobrze” to niejedyna okazja do pomagania przy okazji 39. PZU Maratonu Warszawskiego. PZU, sponsor tytularny biegu, kolejny raz umożliwia zarówno biegaczom, jak i kibicom udział w akcji „Podziel się kilometrem”. W piątek i sobotę na maratońskim Expo w hali COS Torwar, a w niedzielę w maratońskim miasteczku przy mecie będzie można przemierzać kilometry na specjalnie ustawionych bieżniach, rowerkach, orbitrekach, a także sprzętach przeznaczonych dla najmłodszych. Każdy kilometr to 10 zł, które PZU przekaże na wybrany cel charytatywny. W tym roku PZU będzie zbierał środki na rzecz Piotra Boratyńskiego – jednego z bohaterów serialu realizowanego przez PZU „Sekundy, które zmieniły życie”. Cała kwota uzbierana podczas weekendu towarzyszącego 39. PZU Maratonowi Warszawskiemu zostanie przeznaczona na skomplikowaną operację niedźwiedzi.

ZA ROK CZTERDZIESTKA!

Organizatorzy 39. PZU Maratonu Warszawskiego zgodnie mówią, że mimo iż razem z biegaczami niecierpliwie czekają na start tegorocznej edycji stołecznego maratonu, myślami są już we wrześniu 2018 r., kiedy to na ulicach Warszawy odbędzie się jubileuszowy 40. Maraton Warszawski.

Anna Pawłowska-Pojawa



PARTNER SEKCJI



PKO Festiwal Biegowy

Krynica-Zdrój: Już po raz ósmy biegacze przejęli uzdrowisko. Przez trzy dni ponad 9 tys. razy meldowali się na mecie PKO Festiwalu Biegowego

Zponad 30 biegami i marszami nordic walking w programie, ze strefami aktywności, z wykładami i warsztatami oraz koncertami krynicka impreza to najwszechstronniejsze wydarzenie sportowe w Polsce. Dedykowane dzieciom, amatorom i profesjonalistom w każdy pierwszy pełny weekend września angażuje całe rodziny. Na festiwal przyjeżdżają z najdalszych zakątków Polski i z zagranicy – USA, Meksyku, Wielkiej Brytanii, Hiszpanii, Kenii, Ukrainy.

DLA KAŻDEGO...

W Krynicy-Zdrój najchętniej biega się na 10 km. Życiową dziesiątkę ukończyło tym razem blisko 1,4 tys. osób. Na szybkiej, bo opadającej na całej długości trasie z Krynicy-Zdroju do Muszyny, pa-

sjonującą walkę z Kenijczykami stoczył Szymon Kulka, 16. zawodnik mistrzostw Europy w półmaratonie. Ustał tylko Nelsonowi Cherutichowi, ale zebrał największe brawa od kibiców.

Stukilometrowy Bieg 7 Dolin, najdłuższy z dystansów Wyszehradzkiego Ultramaratonu im. Prezydenta Lecha Kaczyńskiego, był popisem Bartosza Gorczycy i Magdaleny Łączak. Gorczyca w pięknym stylu wyrównał prywatne rachunki z trasą, wyprzedzając aż o pół godziny Litwina Modestasa Bacysa. Łączak była trzecia. To jej czwarte zwycięstwo w Krynicy. W TAURON Ultramaratonie 64 km, rozgrywanym w nietypowej, ale atrakcyjnej formule startu indywidualnego (na kształt kolarskiej „czasówki”), triumfowali Miłosz Szczęśniewski i Martyna Kantor. W 17-kilometrowym Runek Run pobięł marszałek Senatu Stanisław Karczewski, znany z zamiłowania do aktywności fizycznej. – To był mój pierwszy bieg w górach i pierwszy na tak długim dystansie. Wyzwanie było spore, ale dobiegłem do mety, z czego jestem bardzo zado-

wolony. I to chyba w nie najgorszym czasie, także w przyszłym roku chyba znów trzeba będzie tu przyjechać. Na pewno trzeba się dobrze przygotować – skomentował swój występ. Marszałek zajął 245. miejsce na 726 uczestników i osobiście wręczył nagrody najlepszym „góralom” w Krynicy.

Sportową klasę potwierdziła Patrycja Bereznowska. Mistrzyni i rekordzistka świata w biegu 24-godzinny wygrała najtrudniejszą konkurencję festiwalu – tzw. Iron Run. To biegowa etapówka, z dziewięcioma startami przez wszystkie trzy dni imprezy, morderczą walką z własnymi słabościami na łącznym dystansie 141 km. Wśród mężczyzn te klasyfikację wygrali Artur Jendrych (do 40 lat) i Radosław Ślaski (41 lat i powyżej).

W krynickim uzdrowisku biegano także dla zabawy. Pomysłowość uczestników Biegu Przebieirańców wskoczyła o jeden poziom wyżej, a na podium stanęła grupa postaci z krainy Oz – Dorotka, Strach na Wróble, Błaznany Drwal, Tchórzliwy Lew i piesek Toto. Dla drużyny Wojciecha, Klaudii i Filipa



– jedyny taki

Królów oraz Anny Podobińskiej to już trzecia wygrana w Krynicy w ciągu ostatnich czterech lat. Kibiców po raz kolejny zachwyciła Anna Sołtysik z Krynicy, ujmując jurorów biegu strojem CP30 z „Gwiezdných wojen”. – Dlaczego lubię biegać w przebraniu? Żeby w tej pogoni za życiówkami nie zwariować i dać upust fantazji – podkreśliła.

Jednak chyba największe emocje przeżywali mali uczestnicy Biegów Dzieci na 600 i 300 m oraz ich rodzice. Wiele maluchów zdobyło w Krynicy swój pierwszy medal biegowy. Jednak były i takie, które już trenują pod okiem profesjonalistów. Najszybszą ośmiolatką została Karolina Zięba, która na mecie zjawiła się z dużą przewagą nad kolejnymi dziewczynkami. Nic dziwnego. – Trenuję w klubie już trzy lata – powiedziała nam po odbiorze medalu. – Chciałam wygrać, udało się, ale ciężko było, dziewczyny wystrzeliły bardzo szybko – opowiadała.

GWIAZDY W KRYNICY

Gośćmi imprezy byli m.in. dakarowiec Rafał Sonik oraz gwiazdy biegów na 800

m – Joanna Jóźwik i Angelika Cichocka. Sonik to szef stowarzyszenia Czyste Tatry, w Krynicy mówił o śmieceniu na szlakach. – Wstydźmy się! – stwierdził na wstępie. Sam wielokrotnie zbierał szkła na mazurskiej plaży czy w Tatrach. I postanowił coś z tym zrobić. W czasie dwóch edycji akcji wolontariusze Czystych Tatr zebrali niemal 2,5 tony śmieci. W ostatniej – 250 kg. – Wszystko to, co znaleźliśmy w Tatrach przez te sześć lat, to zgroza. Śmiecenie to obciąż – mówił gość krynickiej imprezy.

Joanna Jóźwik przeprowadziła rozgrzewkę dla dzieci z małopolskich szkół. Pojawienie się na scenie znanej biegaczki wywołało euforię wśród małych biegaczy.

„Jak zostać trójkołamaczem”, czyli złamać trzy godziny w biegu maratońskim, mówił na forum Sport, Zdrowie, Pieniądże guru polskich biegaczy – Jerzy Skarżyński. Podkreślał, że do niedawna „Krynica była mekką polskich maratończyków, a dziś jest mekką polskich biegaczy”. Tych drugich jest znacznie więcej – mówił Skarżyński. Za sprawą spotkania

z legendarnym Janem Hurukiem wróciły czasy, gdy Polak stawał na podium najbardziej prestiżowych maratonów świata (drugie i trzecie miejsce w Londynie, czwarte na mistrzostwach świata).

FESTIWAL OD KUCHNI

Organizatorzy Festiwalu Biegowego zapewnili uczestnikom m.in. 300 kg suszonych moreli, 960 kg arbuźów, 1700 kg pomarańczy, 2 tony bananów, 8 tys. batonów energetycznych, 40 tys. butelek wody, ponad 20 tys. litrów izotoniku, ponad 25 tys. butelek wody. Biegacze zjedli też ponad 50 kg soli, którą wypukali z organizmu podczas wysiłku.

Przy współpracy z Polską Agencją Antydopingową POLADA przeprowadzono kilkanaście kontroli na obecność zakazanych środków. To wciąż rzadka praktyka w biegach masowych w Polsce, ale pożądana przez środowisko biegowe.

Festiwalowe targi EXPO odwiedziło ponad 15 tys. osób, a Strefę Dzieci „nie-spotykane dotąd tłumy” – jak wyjaśniają organizatorzy imprezy. Mali uczestnicy festiwalu uczyli się, jak powstają animowane filmy, malowali, wycinali, zbierali punkty za aktywność. Organizatorzy wręczyli ponad 200 nagród. A propos... Pula nagród tegorocznej edycji Festiwalu Biegowego przekroczyła 500 tys. zł. Uhonorowano ponad 600 osób. Jeden z biegaczy odjechał z Krynicy nowiutkim samochodem.



NASZ TEST: VOLVO S90

Stylowy szwedzki wygląd oraz nowoczesne technologie poprawiające bezpieczeństwo kierowcy i pasażerów. To główne atuty flagowej limuzyny Volvo, dzięki którym auto to może być ciekawą alternatywą dla niemieckich marek.

W KABINIE

Przestronne wnętrze jest wykończona luksusowo (drewno, aluminium etc.), lecz w minimalistycznym stylu.

Miejsca jest sporo i z przodu, i na tylnej kanapie. Czterech dorosłych może więc tą limuzyną podróżować niezwykle komfortowo – piąta też się zmieści, ale jeśli nie jest drobną istotą o krótkich nóżkach, to może nie być jej zbyt wygodnie. Centralnym punktem kabiny jest ogromny ciekłokrystaliczny ekran. Przyzwyczajenie się do jego obsługi zajmuje nieco czasu, ale gdy już się to uda, to jest zaskakująco przydatny.

Pojemność bagażnika przy rozłożonych siedzeniach wynosi 500 l. Szału nie ma, ale i tak zapakujemy do niego kilka dużych walizek.

JAZDA

Najmocniejsza wersja S90 z dwulitrowym silnikiem benzynowym o mocy 320 KM od 0 do pierwszej setki przyspiesza w zaledwie 5,9 s. Model z dwulitrowym silnikiem Diesla o mocy 190 KM od 0 do 100 km/godz. rozpędza się w 8,2 s.

Jak na limuzynę przystało, S90 jest bardziej przeznaczone do komfortowej jazdy niż do wyczynowej. Auto potrafi jednak dać kierowcy sporo frajdy. Świetnie



wyciszona kabina sprawia zaś, że do wnętrza nie docierają żadne zbędne hałasy.

Spalanie w cyklu mieszanym w modelu z silnikiem Diesla wynosi ok. 7 l/100 km, a z benzynowym – blisko 10 l/100 km.

BEZPIECZEŃSTWO

W testach zderzeniowych Euro NCAP auto uzyskało komplet pięciu gwiazdek. Limuzyna potrafi też wykryć znajdujących się na drodze pieszych, rowerzystów oraz – co ważne szczególnie jesienią i zimą, gdy wcześniej zapada zmrok – duże zwierzęta. Samochód nie tylko ostrzega kierowcę, lecz także w razie potrzeby samodzielnie hamuje. Systemy wspierające bezpieczeństwo wykrywają też ryzyko kolizji z samochodem poprzedzającym, utrzymują auto w pasie ruchu oraz ostrzegają przed pojazdami

w martwych polach lusterek. Wykonywanie manewrów na zatłoczonych parkingach ułatwia system kamer pokazujących widok z lotu ptaka.

CENA

Za najtańsze S90 z silnikiem Diesla o mocy 150 KM, manualną skrzynią biegów i napędem na jedną oś trzeba zapłacić 185,3 tys. zł. Na wersję z silnikiem o mocy 190 KM, automatyczną skrzynią biegów oraz napędem na cztery koła trzeba wydać co najmniej 211,9 tys. zł.

Najdroższa wersja benzynowa – z silnikiem o mocy 320 KM – to koszt co najmniej 294 tys. zł, a hybryda z napędem na obie osie (320 + 87 KM) to wydatek co najmniej 332,7 tys. zł.

KONKURENCI

Audi A6, BMW Serii 5, Hyundai Genesis, Infiniti Q70, Jaguar XF, Mercedes klasy E, Lexus GS ☺☺

Jacek Przybylski





MITSUBISHI
MOTORS

Drive@earth



CALLIGRAPHY



NAPISZ SWOJĄ DROGĘ

Shodō. To po japońsku kaligrafia. Sztuka pięknego pisania, która w Japonii jest też szkołą kształtowania charakteru. Uczy koncentracji, dbałości o detale oraz pozwala odkrywać piękno. Zainspirowani japońskimi mistrzami, stworzyliśmy program personalizacji o nazwie Calligraphy. Pozwala on dostosować Mitsubishi Outlander do Twojego stylu, gustu i potrzeb.

Wybierz Mitsubishi Outlander Calligraphy i napisz swoją drogę.

Szczegóły oferty dostępne są u Autoryzowanych Dealerów Mitsubishi i na stronie www.calligraphy.mitsubishi.pl.

Informacje na temat złomowania samochodów Mitsubishi oraz przydatności do recyklingu są dostępne na www.mitsubishi.pl.

Emisja CO₂: 149–155 g/km; zużycie paliwa 5,8–6,7 l/100 km.

OUTLANDER
CALLIGRAPHY

書道



JACEK KOMUDA

PODRÓŻE SARMACKIEGO KUCHMISTRZA

Pożytek z soczewicy

Kiedy byłem mały, soczewicę można mnie było tylko straszyć. Jednak zalew śmieciowych fast foodów, sztucznego jedzenia sprawił, że zacząłem wracać do korzeni, do potraw z prostych składników z pola i lasu.

Jednym z nich jest soczewica, znana – jak podają Hanna i Paweł Lisowie – już dawnym Słowianom, bo w czasie wykopalisk w Gieczu, Poznaniu, Krakowie i Żmijowiskach na Lubelszczyźnie znaleziono jej nasiona. W średniowieczu była to razem z bobem i grochem potrawa szeroko rozpowszechniona – i wśród chłopstwa, i wśród bogaczy. Zapewne w połączeniu z ciężkim mięsem i winem przyczyniała się do rozpowszechnienia dny moczadowej popularnie zwanej podagrą wśród rycerstwa i wielkich panów. W renesansie i baroku została uznana za potrawę plebejską. Słabo, jak widać, przechodziła przez nowoszlacheckie gardło świeżo nobilitowanego łyczka Czernieckiego, dlatego w „Compendium ferculorum” znajdujemy tylko jeden przepis na klasyczną polewkę

z soczewicy. Gotowana w dużym garnku z dodatkiem pietruszki, cebuli, pieprzu, kwiatu muskatołowego i oliwy, podawana z grzankami z „białego chleba lubo rżanego”, czyli razowego. Radziwiłłowska książka z tego samego okresu w ogóle ją pomija, pozostawiając chłopom i czeladzi.

Soczewica wróciła do nas dopiero wraz z kolejną modą na francuszczyznę w XVIII w. Jako chociażby potaż (rosół) z ryżem i gąszczem z soczewicy na post, przygotowywany z bulionu z dodatkiem korzonków, kapusty, rzepy, cebuli i porów, półkwatka grochu, ryżu oraz masła. A także jako dodatek do rozlicznych mięs – np. kotletów skopowych po angielsku, gdzie najpierw gotuje się mięso z „dobrym bulionem”, solą, wiązką pietruszki, goździkami, bazylią, tymiankiem i ze szczypiorkiem, następnie zapieka w garnku razem z soczewicą, posypane w dodatku tartym chlebem. Jest wymieniana jako przydatek do cieliących mostków – znów – gotowanych w bulionie ze słoniną i z ziołami, podawanych z polewką z grochu lub

soczewicy. Wykwintnym daniem wydają się skrzydełka indyka – mięso gotuje się w bulionie, następnie podaje z przecedzaną, gotowaną soczewicą przydającą im specyficznego smaku. Myślącym polecić można kuropatwy gotowane w rondlu, z gąszczem z soczewicy i drobnej słoniny, a także gotowane króliki – polewane sosem z opisywanej rośliny zmieszanej z bulionem z... zającą. Co ciekawe, „Kucharz doskonały” Wielądka poleca stosowanie w kuchni soczewicy „à la Reine”, sprowadzanej zapewne z Zachodu, „gdyż jest maleńka, lepsza do zrobienia gąszczy, kolor ma piękny i smak wyborny”.

W wieku XIX soczewica kompletnie znikła z jadłospisu. Nie ma jej ani u Lucyny Ćwierczakiewiczowej, ani w „Kucharze litewskiej”, ani w „Kucharzu wielkopolskim”. Czyżby dlatego, że weszła wtedy do kuchni rosyjskiej i za bardzo kojarzyła się z obyczajami zaborcy? Jej renesans obserwujemy dzisiaj, ale raczej w związku z modą na kuchnię orientalne, gdzie serwowana jest masa wykorzystujących ją potraw. ©©



Pasta z soczewicy

Ćwierć kilograma soczewicy moczymy przez dwie godziny, następnie podgrzewamy ją na małym ogniu przez pół godziny, dobrze ją rozgotowując. Doprawiamy kilkoma ząbkami rozgniecionego czosnku, solimy, dodajemy kolendry, czarnuszki, mięty i świeżego koperku. Dorzucamy trzy łyżki oleju lnianego albo roślinnego, względnie masła. Soczewicę ucieramy na pastę, podajemy do mięsa albo z chlebem. A po słowiańsku – z podplomykami.

Węgierska zupa z soczewicy

Do garnka wlewamy dwie duże łyżki oliwy z oliwek, do tego dwie pokrojone w kostkę cebule, trochę czosnku wyciśniętego przez praskę, pół łyżki mielonej papryki, dwie pokrojone drobno łodygi selera naciowego, a także kilka krojonych w kostkę marchewek. Dusimy przez jakieś 10–15 min. Dorzucamy 0,5 kg krojonych pomidorów, dolewamy 1,5 l bulionu drobiowego, solimy, pieprzymy, dodajemy liść laurowy i szklankę białego wina. Wrzucamy ok. 400 g soczewicy moczonej wcześniej przez 1,5 godziny w wodzie. Doprowadzamy do wrzenia, potem zmniejszamy ogień i gotujemy, aż soczewica stanie się miękka. Podajemy z natką pietruszki i tartym parmezanem.

SMACZNE I ZDROWE KASZOTTO MARKA KOŚCIKIEWICZA

Kasza, podobnie jak ryż i makaron, jest znakomitą bazą dla pysznych dań, których smak zależy wyłącznie od naszej wyobraźni. Do niewątpliwych zalet kasz należy ich korzystny wpływ na nasze zdrowie. Kasza gryczana to źródło błonnika i białka bezglutennego, wpływa też pozytywnie na działanie insuliny w organizmie. Jęczmienna obniża poziom cholesterolu i zalecana jest w diecie cukrzycowej, a mój ulubiony pęczak ma mnóstwo cennych makro- i mikroelementów.

Kasza po dłuższej przerwie coraz częściej pojawia się w naszej diecie, dostrzegali ją szefowie kuchni modnych restauracji, wykorzystując ją w swoich daniach. Bez znaczenia, czy w mięsnych, czy wegetariańskich potrawach, kasza świetnie spełnia swoje zadanie w zależności od użycia jej rodzaju. Nauczyłem się ją przygotowywać tak, by była aromatyczna i wilgotna.

Niektóre gatunki należy przed wysypaniem do gotującej się wody z solą i dodatkiem masła wymieszać z białkiem, by później wstawić ją do wysuszenia w nagrzanym do 60 st. C piekarniku.

Dodając do kaszy smażone lub pieczone warzywa, otrzymujemy pyszne i zdrowe danie. W restauracji Basico do cukinii i bakłażana dodajemy boczniaki, a na końcu łyżkę jogurtu. Smażąc lub dusząc wszystkie składniki, dobrze jest stopniowo dodawać

warzywny bulion, który sprawi, że kasza stanie się półmiękką.

Składniki:

- 1 czerwona papryka
- 1 zielona papryka
- 1 cukinia
- 8 pomidorków cherry
- 2 łyżki oliwy
- 250 g boczniaków
- 1,5 szklanki pęczaku
- 4 szklanki bulionu warzywnego
- 4 łyżki jogurtu
- sól i pieprz, sambal

Przygotowanie:

Kaszę przepłukać ciepłą wodą na sicie, odstawić do odsączenia. Zagotować 4 szklanki wody z masłem i solą, dodać kaszę i gotować na małym ogniu 15 min. Paprykę i cukinię opłukać, pokroić w kostkę oraz podsmażyć na oliwie, dodając sól, pieprz i sambal (przyprawa z papryczek). Ugotowaną i odcedzoną kaszę mieszać z warzywami, dodać bulion warzywny i gotować,

aż bulion zostanie wchłonięty. Na grillu lub grillowej patelni podgrzać pomidorki cherry i boczniaki (wcześniej odciąć ich ogonki), dodać do warzyw i kaszy. Na wierzchu położyć łyżkę jogurtu. ©©

oprac. raw

Marek Kościkiewicz
– założyciel, lider
i autor największych
przebojów zespołu
De Mono.
13 października
ukaze się płyta
„Enter”. Teledysk
do singla dostępny
na YouTube.



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Mało warzyw

Jest jeszcze ktoś, kto nie wie, że dla zdrowia trzeba jeść jak najwięcej warzyw i owoców? Czy są tacy, którzy nie słyszeli, że schab, fast foody i słodczyce to powolni zabójcy?

Kto nie zna powiedzenia: „One apple a day keeps a doctor away”?

A jednak twarde dane bezlitośnie wskazują, że nasze nawyki żywieniowe wciąż są górną nad świadomością zdrowia. I to mimo wszechobecnej propagandy dietetycznej i kulinarnej, mierzonej choćby liczbą programów telewizyjnych, bo media pisane pomińmy jako zbyt ambitne dla masowego konsumenta...

Polska warzyw produkuje dużo i coraz więcej, ale zjada niewiele. W roku 2015 wyprodukowaliśmy ich 4,05 mln ton, w 2016 r. już 4,6 mln ton. Jesteśmy potentatem – w całej Unii produkcja owoców wyniosła 39,5 mln t (według danych AMI – Agrarmarkt Informations GmbH). W tym udział Polski wynosi 4,6 mln t, czyli ponad 10 proc. Dużo. Jesteśmy największym producentem zagęszczonych soków owocowych i mrożonych owoców. W warzywach również jesteśmy w czołówce – polska produkcja wyniosła 5,9 mln t, czyli 9 proc. udziału w produkcji unijnej.

Tyle imponujące liczby. Mimo tego spożycie warzyw i owoców w Polsce pozostaje nadal zbyt niskie – 280 g dziennie na głowę, czyli na

usta obywatela. To za mało – Instytut Żywności i Żywności (IŻŻ) oraz Światowa Organizacja Zdrowia (WHO) każą jeść 400 g. Marne pocieszenie, że w innych krajach Unii jest niewiele z tym lepiej.

Na reklamach deweloperów, na zdjęciach w pismach wnętrzarskich królują paterzy zdobne w martwe natury, których holenderski barok by się nie powstydził. Czerwieni się papryka, bakłażany kuszą głębokim fioletem, kokietują nać marchewki. Nęcą pomidory, nasza duma narodowa. Nic, tylko brać i jeść!

Z tej kuszącej ikonografii można odnieść wrażenie, że Polak kielbasą się brzydzi i zjada nawet nie 5 zalecanych, ale 15 porcji warzyw i owoców.

Mało tego. Owoce i warzywa w porównaniu z cenami na Zachodzie są u nas wciąż tanie. W czerwcu jechałam z Polski do Niemiec zaopatrzona w kilogram tru-

skawek w cenie 8 zł za 1 kg. Na szczęście, bo po przekroczeniu granicy na Odrze tackę tych owoców – 250 g – można było kupić już za 8 euro. Kilkanaście razy drożej, i to w sezonie. Kartofle, marchew, buraki, jabłka, śliwki, kapusta są u nas naprawdę niedrogie.

Czy XIII Międzynarodowy Kongres Produkcji Warzyw i Owoców, który 20 września będzie obradował w Warszawie, zachęci nas do zastąpienia szynki surową marchewką? Łatwo nie będzie, ale trzeba próbować. ©©



TEST „DO RZECZY”: HAMA CROSS CRUISER

Test rzadko którego urządzenia wzbudził takie zainteresowanie pracowników naszej redakcji jak praktyczny sprawdzian działania elektrycznej deskorolki. I chociaż podobnie jak z nauką jazdy na rowerze pierwsze próby były trudne lub bardzo trudne, to już po kilku minutach nauki ruszania, hamowania i skręcania co najmniej kilka osób – od młodziutkiej korektorki przez potężnego grafika aż do łysiejącego redaktora – wiedziało, że ten gadżet może dawać sporo frajdy. Po jednym dniu zabawką można już śmigać z maksymalną prędkością, skręcać i energicznie zawracać.

Zaletami modelu Cross Cruiser są solidne, wypełnione powietrzem koła o średnicy 10 cali, które zapewniają przyczepność wystarczającą do stabilnej jazdy nie tylko po redakcyjnych korytarzach czy warszawskich chodnikach, lecz także na zjechanie z utwardzonej powierzchni na leśne ścieżki. Deskorolka umożliwia też pokonywanie lekkich wzniesień (o nachyleniu do 15 stopni).

Po stronie plusów można też wpisać dwa światła LED – całkiem nieźle oświetlają drogę, a ponieważ są dobrze widoczne, zwiększają też bezpieczeństwo jazdy po zmroku.

Deskorolkę napędzają dwa silniki akumulatorowe o mocy 350 W. Zwłaszcza na początku przydatny jest przełącznik umożliwiający zmianę trybu pracy. W pierwszym trybie prędkość maksymalna wynosi 6 km/godz., a deskorolka nie jest aż tak wyczulona na ruchy użytkownika, w drugim prędkość

maksymalna wynosi już 15 km/godz. i gadżet dużo szybciej oraz gwałtowniej reaguje na zmianę nacisku (gwałtowność przyspieszenia i hamowania zależy od kąta nachylenia podestu deskorolki, sterowanie odbywa się więc za pomocą balansowania ciałem).

Maksymalne obciążenie tej deskorolki to 120 kg. Niestety, samo urządzenie też waży sporo, bo aż 12,5 kg, co utrudnia przenoszenie gadżetu. Stosunkowo duża waga może wynikać z zastosowania pojemnej baterii, dzięki której model Cross Cruiser ma duży zasięg na jednym ładowaniu, wynoszący aż 18 km. Przydatne są też ostrzeżenia o rozładunku się baterii, dzięki czemu nie grozi nam to, że ni stąd, ni zowąd nagle staniemy w miejscu. Ładowanie do pełna litowo-jonowego akumulatora trwa trzy godziny.

Deskorolka ma też dodatkowe zabezpieczenie przed wilgocią, dzięki czemu nawet jeśli coś nam się na nią wyleje, to nic się nie stanie. Urządzenie może być po prostu zabawką – zarówno dla dziecka, jak i dla dorosłego. Może być również przydatne tam, gdzie trzeba przemierzać większe odległości. Elektrycznej deskorolki mogą więc używać turyści jeżdżący po uliczkach starego miasta, ochroniarze patrolujący centra handlowe i artyści, którzy po wypalonych wcześniej formę czy kolejną puszkę farby jeżdżą właśnie na tego typu urządzeniach (na własne oczy w zeszłym tygodniu widziałem tak właśnie pracującego amerykańskiego artystę Jonathana Hanera,



który elektryczną deskorolką śmigał po wielkich pofabrycznych halach w szwedzkiej Bromölli).

Cena: ok. 1,9 tys. zł. ©©

Jacek Przybylski

WYDRUKUJ MI BARBIE

Spacer z dziećmi bywają fajne. Bywają, bo zdarzają się momenty, gdy pociecha na widok sklepu z zabawkami robi wielkie oczy i jęczy chwytającym za serce głosem: „Prooszę, kup” albo akcję rozgrywa jeszcze sprytniej, tak jak np. mój chrześniak, który nie mogąc się doczekać wymarzonego lego, przekonywał babcię: „Wiem, że nie masz teraz pieniędzy, ale jakbyś porozmawiała z wujkiem...”. Na małych naciągaczy jest teraz rada. Po co kupować im zabawki, skoro te wymarzone mogą sobie wydrukować? Wystarczy mieć do tego Toybox 3D. Projektanci urządzenia, którzy na portalu Indiegogo zbierają środki na uruchomienie jego produkcji (z powodzeniem zresztą, bo niezbędna kwota została mocno przekroczona), przekonują, że Toybox 3D pozwoli dziecku na samodzielne wydrukowanie ponad 500 zabawek ze specjalnego, dołączonego do urządzenia katalogu. Można to zrobić za pomocą jednego przycisku, no, góra dwóch. Gdyby projekty katalogowe dziecku nie odpowiadały, to za pomocą

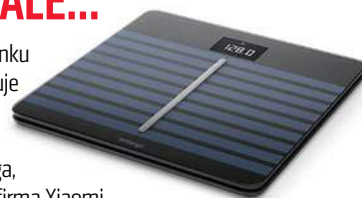


FOT. MATERIAŁ PRASOWE

aplikacji smartfonowej można je będzie modyfikować. Jest jeden problem – za najprostszego model „drukarki zabawek” zapłacić trzeba już teraz (ok. 1 tys. zł), a urządzenie zostanie dostarczone dopiero w styczniu przyszłego roku.

MOTYLEM BYŁEM, ALE...

Czasy, gdy Nokia narzucała trendy na rynku telefonów, minęły dawno i wiele wskazuje na to, że bezpowrotnie. W tej kategorii przegrywa bowiem rywalizację nie tylko z potentatami w rodzaju Samsunga, lecz także chińskimi producentami, np. firmą Xiaomi. Finowie nie powiedzieli jednak ostatniego słowa. Co prawda próby powrotu Nokii na rynek telefonów komórkowych do szczególnie udanych nie należą, ale za to firma rzuciła chińskim rywalom wyzwanie w segmencie, w którym Xiaomi czuło się dość mocno, czyli inteligentnych wag. Z tą inteligencją to oczywiście bez przesady. O urządzeniach, które nie tylko powiedzą nam, ile ważymy, lecz także jeszcze przedstawią odchudzające menu i pobiegają do kuchni je przygotować, na razie możemy tylko pomarzyć. Mówimy więc wyłącznie o gadżetach naszpikowanych rejestratorami, które wypierając dawne „wahadłówki”, rzeczywiście nieco lepiej pozwalają utrzymać kontrolę nad rozmiarami ciała. W tej kategorii sporą popularnością cieszyła się inteligentna waga Miao Mi Smart Scale, jednak jej producenci doczekali się groźnego rywala. Withings Body Cardio – waga wyprodukowana przez firmę przejętą przez Nokię – dzięki czujnikom i sparowanej aplikacji oferuje pełną ilościową analizę składu masy ciała, a także częstotliwości pracy serca. Analizuje wzrost liczby lub ubytek kilogramów, pomaga ukierunkować postępy i – uwaga! – chwali za nie. W sprzedaży w cenie ok. 800 zł. ©©



Wojciech Wybranowski



MATTHEW TYRMAND

ZŁY TYRMAND

Amerykańska ofensywa

MARCIN MAKOWSKI: Tydzień, w którym ukaże się nasza rozmowa, będzie również tym, podczas którego swoją wizytę w USA rozpocznie prezydent Andrzej Duda. Czego może się spodziewać? Masz jakieś przecieki?

MATTHEW TYRMAND: Oczywiście centralnym punktem pobytu będzie uczestnictwo w szczycie ONZ w Nowym Jorku. Oprócz tego będą spotkania z ambasadorami oraz najpewniej z Polonią w New Jersey. Andrzej Duda obok Mateusza Morawieckiego to dzisiaj najlepszy polityk, jakiego ma „dobra zmiana” do umocnienia pozytywnego wizerunku Polski w Waszyngtonie. Jego angielski się poprawia, co można było zauważyć w wywiadzie z Ritą Cosby sprzed kilku miesięcy. Z tego, co wiem, decyzja o zawetowaniu dwóch ustaw reformujących wymiar sprawiedliwości przyniosła prezydentowi większą wiarygodność za granicą, ponieważ udowodnił, że nie jest jedynie marionetką swojej byłej partii, ale stać go na podmiotowość. Na pewno zostanie zapytany w USA o kulisy tej sprawy.

Departament Stanu już wcześniej zabierał głos na ten temat, ostro krytykując projekty PiS. Czy coś się zmieniło?

Departament Stanu – jak Steve Bannon wspominał w swoim pierwszym wywiadzie po odejściu z Białego Domu – to organ amerykańskiej administracji pozostawiony w spadku po Baracku Obamie. Jego zdania nie należy brać zbyt serio, czego zresztą nie czynią wyborcy i politycy populistyczno-konserwatywni. Tak czy inaczej prezydent będzie musiał się ustosunkować do polityki wewnętrznej i myśleć, że zrobi to w idealnym momencie, czyli po przedstawieniu swoich propozycji ustaw. To sygnał dla sojuszników, że polską demokrację stać na korekty i taką reformę wymiaru sprawiedliwości, która zadowoli społeczeństwo – oczywiście z wyłączeniem postkomunistów i tej części elity, która czerpie korzyści z obecnego chaosu w sądownictwie.

Myślisz, że ktoś to naprawdę w USA doceni?

Tak. Waszyngton bardzo pozytywnie odbiera to, że impuls

do tej reformy wychodzi nie od partii, nie od ministra, który ma swój osobisty interes i wzmacnia swoje wpływy, ale z Pałacu Prezydenckiego, czyli z miejsca, które Amerykanom wydaje się ponadpartyjne. Duda prezentuje również bardziej wyważony ton, jeśli chodzi o relacje z Unią Europejską, Berlinem i Paryżem – co w otoczeniu i środowisku ONZ będzie dobrze odbierane. Warto stawiać na ten kierunek dyplomatyczny, San Escobar wszystkiego nam nie ugra.

Żarty żartami. Jednak co dzięki tej wizycie można realnie ugrać? Na jakie zagadnienia położyć nacisk?

Moim zdaniem kluczowa będzie spójność przekazu prezydenta z wcześniejszą wizytą Morawieckiego. Chodzi o akcentowanie wagi współpracy energetycznej – a przez to biznesowej – oraz lobbowanie na rzecz silnej obecności militarnej USA w Polsce. Morawiecki przygotował grunt medialnie, prezydent musi dopełnić dobre wrażenie politycznie. Myślę, że ten plan się uda. Chociaż wiele osób może tego nie dostrzegać, to Duda i Morawiecki mają ze sobą wiele wspólnego pod względem stylu uprawiania polityki. Obaj są państwowcami i choć muszą być w tym, co robią, pragmatyczni, nie motywuje ich tylko utrzymanie władzy, tak jak pewnych ministrów, o których w naszych rozmowach wiele razy wspominałem. W zasadzie poza nimi w rządzie interes Polski nad interes osobisty przedkłada w takim wymiarze chyba tylko minister Antoni Macierewicz. Wiem, że to może być kontrowersyjny pogląd i wielu na prawej stronie może się ze mną nie zgodzić, ale widziałem ich wszystkich w akcji w USA i takie wyciągam wnioski. ©©

Zasypała nas lawina lemingów!





KATARYNA

OKIEM BLOGERKI

Wojna o prezesów

JOANNA BITNER: Tam, gdzie władza się sprzecza, gdzie nie uzgadnia pewnych rzeczy dla dobra państwa, tam zawsze traci obywatel. Nie może być tak, że prezydent po prostu odmawia nominacji, nie uzasadnia tego i nie współpracuje. Przecież ma przedstawiciela w Krajowej Radzie Sądownictwa, może przez niego przekazywać jakieś uwagi, wątpliwości, poddawać coś do rozważenia. To, co jest, ten stan wojenny, on się odbija najbardziej negatywnie na obywatelach.

To fragment wystąpienia warszawskiej sędzi Joanny Bitner na powszechnie uznawanym za antypisowski

Dotychczasowej prezes po prostu skończyła się kadencja i minister musiał powołać następczynię

Nadzwyczajnym Kongresie Sędziów Polskich rok temu. Pani sędzia dużo i krytycznie mówiła o stanie wymiaru sprawiedliwości, sporo miejsca poświęciła „gorszącym” – jak je nazwała – decyzjom prezydenta Dudy, a wcześniej prezydenta Kaczyńskiego, odmawiającym powołania sędziów. Sędzia Bitner jest też członkiem bardzo krytycznego

wobec PiS Stowarzyszenia Sędziów Polskich „Iustitia”. I właśnie została decyzją ministra Ziobry prezesem Sądu Okręgowego w Warszawie.

„Pierwsza zmiana Prezesa Sądu na mocy namiestnikowskiej procedury” – oburzyła się na Twitterze kreowana na jedną z liderek antypisowskiej opozycji posłanka Kamila Gasiuk-Pihowicz, całkowicie ignorując fakt, że żadnej zmiany tu nie było – dotychczasowej prezes po prostu skończyła się kadencja i minister musiał powołać następczynię. Postawił na sędzię Joannę Bitner i na podstawie tego, co na temat pani sędzi można znaleźć w Internecie, jest to decyzja i dobra, i odważna. Pani sędzia jest mocno krytyczna wobec polskiego sądownictwa, ale daleka od krytykowania go po partyjnej linii, nie da się jej także zaliczyć do bezmyślnych entuzjastów reformy w kształcie proponowanym przez PiS, za to bardzo dużo mówi o sądownictwie z perspektywy dobra obywatela. I naprawdę robi dobre wrażenie.

Wypada tylko współczuć, że swoje prezesowanie zaczyna od takich historycznych komentarzy jak ten posłanki Nowoczesnej, a przecież nie tylko ona z góry skreśla nową panią

prezes, zanim w ogóle wygoogła jej nazwisko i zorientuje się, kto zacz. Współczując nowej obiecującej pani prezes, trudno jednak nie zauważyć, że wpadła w dołek, który wykopało jej własne stowarzyszenie, wystosowując apel do sędziów o „nieprzyjmowanie stanowisk funkcyjnych w sądach w trybie znowelizowanej ustawy o ustroju sądów powszechnych” i zaznaczając, że przyjęcie takiego stanowiska „stanowi legitymizację przepisów prawa niezgodnych z Konstytucją. Jest także sprzeczne z naszą powinnością sędziowską wobec Rzeczypospolitej Polskiej i jej obywateli”. Świadomie czy nie minister Ziobro widowiskowo strollował stowarzyszenie sędziów, powołując członkinię tego stowarzyszenia na stanowisko prezesa. Mam nadzieję, że to da do myślenia wszystkim, którzy próbują szantażu moralnego, bo takim był przecież ów apel. Zwłaszcza że efektem takiego szantażu – gdyby się powiódł – byłaby faktyczna nieusuwalność prezesów, bez względu na jakość ich prezesowania. Może czas zacząć oceniać nominacje po ich merytorycznej jakości, a nie po tym, kto jest pod nimi podpisany? © ©

PODSŁUCHANE

Inny kaliber

I jak tam nasza kampania, panie Macieju?

Wspaniale, pani premier, rewelacyjnie. Damy do pieca.

Dobrze, tylko wie pan

– ja to poniekąd firmuję, więc nie chcę żadnej kompromitacji.

Ależ, pani premier, jaka kompromitacja? My to mamy wszystko opracowane i zaplanowane. Zrobiliśmy

kwerendę w guglu, mamy ciekawe kejсы.

Pokażemy, że sędziowie są nie w porządku?

Ba, to potwory są! Ja osobiście żadnego sędziego wprawdzie nie znam, ale mój kuzyn miał kiedyś sąsiadkę, której wnuk był kolegą z klasy chłopaka, który miał stryjcznego wujka sędziego, i opowiadał, że to straszny człowiek! Na przykład nigdy toalety po sobie nie czyścił, a jak miał katar, to...

Dobrze, dobrze. Ale w kampanii pokażemy sprawy, jakby to... innego kalibru?

Tak, oczywiście! Mamy znakomite źródła: „Fakt”...

Ale „Fakt” to przecież niemiecki jest?

No... niby tak, ale oni akurat dużo o takich sprawach pisali... To może podpis, że to z „Faktu”, damy taką małą czcionką. Nikt nie zauważy.

Proszę działać.

Dziękuję za zaufanie, pani premier! Przepraszam, muszę iść, mam fryzjera umówionego.

Ale przecież pan jest tysy? To znaczy – na zero.

Wąsy idę przyciąć. Wie pani, o wąsy to trzeba dbać. © ©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Takiej bandy krętaczy jak obecna władza Polska jeszcze nie widziała. RzecPiSpolita Kłamców”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

fot. Jerzy Gumowski



Jedna z ksiąg „Starego Testamentu”, zwana „Kohélet”, przekonuje, iż wszystko, co wydaje się nam nowe, kiedyś już było. Ta prawda dotyczy również czasów dzisiejszych. Wszystko już było zagrane dawno temu — każdy „numer”, każdy gest, każda inicjatywa i każda wredność. O tysiącach rzeczy lub spraw możemy powiedzieć słowami Eklezjastesa: „*Nihil novi sub sole*” („*Nic nowego pod słońcem*”). Spraw dużych (bardzo ważnych) i małych (rozrywkowych). Niżej po jednym przykładzie:

Globalna ofensywa islamu to nic innego jak muzułmańska rewolucja. Francuski lewicowy myśliciel Georges Sorel (†1922) wskazywał, iż rewolucji zazwyczaj dokonuje zdeterminowana, swoiście elitarna mniejszość, tworząca utopie (według Sorela „*mit społecznego*”) dla mobilizacji zwolenników, a późniejsi komentatorzy dodali tylko niezbędną u takich wąskich grup prowadzących hierarchiczną militaryzację ich ruchu (siatki spiskowej, partii itp.) na kształt zbrojnych zakonów Średniowiecza, tudzież konieczność wsparcia (głównie finansowego) z zewnątrz. To prawda — jakobini nie wygryliby bez wsparcia masonerii europejskiej, a bolszewicy bez pomocy niemieckiej. Że Lenin był finansowany przez Berlin i został przez ludzi Kaisera wyeksponowany do Petersburga w zaplombowanym wagonie — to wiedzą dziś nawet dzieci z co lepszych szkół. Ale że bolszewicki kat, szef CzeKa pilnujący wartości „*zbrojnego zakonu*”, polski szlachetka Feliks Dzierżyński, całe dekady był utrzymankiem Niemców — to wiedzą tylko nieliczni. Jego lewaccy hagiografowie udają, że nie rozumieją, jakim cudem ten łachmyta, gdy wymknął się boso Ochranie, balował po całej Europie w luksusowych hotelach, zstając setkami tysięcy rubli na „*sprawę*” (i na swoje kochanki również), a z każdego wozu wracał do Niemiec niby do domu i wszelką korespondencję prowadził przez Niemcy. „*Zmilitaryzowana hierarchicznie*” Al-Kaida też nie byłaby światową potęgą, lecz Al-Kaleką, gdyby nie ciche wsparcie z „*liberalnych*” naftowych reżimów arabskich. A czym byłby kijowski Majdan bez pomocy zewnętrznej (nie tylko oligarchicznej)? Wszystko to jest „*déjà vu*”.

Teraz przykład ekstremalnie odmienny — rozrywkowy. Współczesną gawiedź fascynują popisy współczesnych iluzjonistów, dokonujących rzeczy, przy których „*przecinanie baby*” czy sztuczki karciane to pestka. David Copperfield spowodował „zniknięcie” nowojorskiej Statuy Wolności, Steven

Nihil novi

Frayne (zwany Dynamo) robi jeszcze większe „cuda” — ludzie przecierają wzrok, widząc jak niemożliwe staje się możliwe. Tymczasem setki lat temu, kiedy nie było laserów oraz innych dzisiejszych wspomagaczy, iluzjoniści robili „*numery*” dużo bardziej zdumiewające i zupełnie niewytłumaczalne. Choćby Józef Pinetti (Giovanni Giuseppe Pinetti alias Joseph Pinetti Willedal de Merci, 1750–1800), urodzony w tokańskim Orbetello i początkowo wykładający w Rzymie matematykę, a później zabawiający publiczność europejską sztuczkami. Czarował od Lizbony do Petersburga, także na dworach królewskich, przedstawiając się jako „*Profesor magii naturalnej*” itp. Wydał książkę „*Rozrywki fizyczne*” (1784), miał na przedmieszcju Paryża swój teatr, toczył walki z publicystami próbującymi demaskować sekrety jego trików (choćby z Henri Decrepsem, autorem pracy „*Biała magia odsłonięta*”) i z konkurentami — iluzjonistami (choćby z Torrinim alias Edmondem de Grisy, mentorem sławnego R. Houdina). Przykrości, jakie go spotykały w kilku krajach, ergo zbyt duża popularność budząca uczucie zazdrości, i restrykcje pod pozorem, że ludzie biedniejsi wydając ostatni grosz, by obejrzeć jego występ — zmusiły

Żywe jeże w talerzach
i woda morska w oberży

Pinettiego do schronienia się w Polsce, gdzie się zadomowił (lata 80. i 90. XVIII stulecia) i gdzie zmarł (na Wołyniu). To tłumaczy zainteresowanie Sarmatów tym magikiem.

Występował na pałacowych salonach i na małomiasteczkowych rynekczkach, w dworach szlacheckich, w teatrach i w parkach. Przetrwał jako postać „*nie z tej ziemi*” w literaturze (Mickiewicz napomknął o nim w „*Panu Tadeuszu*” jako o władcy biesów), w notach memuarystycznych i w gadkach ludowych, a największym chyba dowodem uznania było stworzenie od jego nazwiska przymiotnika „*pinetny*” (cudowny). Głośny pisarz/publicysta, Henryk hrabia Rzewuski, wspominał: „*Pinetti był najznakomitszym na świecie kuglarzem i za nic też innego siebie nie sprzedawał, zresztą najpocziwszy człowiek. Miał wielką łaskę u króla [Stanisława Augusta] i u wszystkich panów, których zabawiał. Mówił też Polskę więcej niż własną ojczyznę, kilkakrotnie wzdłuż i wszerz ją objechał, i zdaje mi się, że w naszej ziemi spoczywają jego kości. Miałem z nim przyjaźń i czasem bywał u mnie na obiedzie, i rozmaite figle płał, tak, że mój służba miał go za czarnoksiężnika, wielu innych miało o nim także samo mniemanie*”. Trudno było mieć inne, gdy się zapraszało Pinettiego na obiad, bo on sprawiał podczas wie-

czyerzy, iż biesiadnikom zniknęła z talerzy zupa i miast niej pojawiały się w talerzach drobne przedmioty lub... żywe jeże! Ale kiedy chciano sięgnąć po te rzeczy bądź zwierzęta, dematerializowały się one i w talerzach wracała zupa. Czy Pinetti zahipnotyzowywał towarzystwo, czy też osiągał „*cudowne*” efekty innymi sposobami? Bóg raczy wiedzieć.

Inny XIX-wieczny pamiętnikarz, Stanisław Morawski (lekarz i poeta), pisze: „*Mało było ludzi, którzy imię swe tak popularnym u nas zrobili jak genialne Włoszysko Pinetti. Był to kuglarz, któremu wieść powszechna najcudowniejsze przypisywała talenty, nieograniczoną w czarodziejskim świecie potęgę. On i sobie, i drugim, odszrubowywał głowę, ręce, nogi bez najmniejszej szkody dla zdrowia! On wskrzeszał, i kiedy kto zachciał pokazywał mu umarłych! On wszystko, co tylko pragnął, zrobić natychmiast umiał! On się we wszystko, jak mu na myśl przyszło, mógł od razu przemienić! Tysiące cudackich o nim w naszej publiczności chodzilo podań*”. Mnie — spośród legendarnych „*numerów*” Pinettiego — najbardziej się podoba zalanie wodą morską gospody, w której nie chciano dać mu miejsca noclegowego (gdy tylko przerażony oberzysta dał mu łóżko, woda zniknęła bez śladu). Znowu pytam: hipnoza czy inne „*cuda*”?

Pracował Pinetti dla establishmentu, lecz i dla gminu. Magnaci chętnie zapraszali go na Wigilię, bo wyczarowywał pyszne prezenty (choćby żywe kacuszki dla dzieci u hrabiów Potockich). Gdy w pewnym pałacu zabrakło kwiatów (nic dziwnego, zima), chlusnął pucharem pełnym wina ku damom, te zasłoniły się z krzykiem, lecz miast strug alkoholu spadł na nie grad świeżego kwiecia. Bywało, że Pinetti siedział na targu i z koszyka malca sprzedającego pieczywo brał bułkę. Przelamywał ją i z wnętrza wyjmował... złotą monetę. Potem, ku osłupieniu gawiedzi, wyjmował także monety z bułki drugiej, trzeciej i czwartej, wręczając pieniądze dziecku. Tłum tedy szybko rozkupywał resztę bułek, sądząc, że wszystkie są faszerowane złotem, lecz żadnych innych monet nie znajdowano (aczkolwiek każdy kupujący myślał, że tylko on ma pecha, a sąsiedzi ukrywają znalezione skarby).

W wiele trików Pinettiego, które opisali naoczni świadkowie, wprost trudno dzisiaj uwierzyć. Ale i dwieście lat temu już nie wierzono. Aleksander Groza, XIX-wieczny autor książeczki „*Biała róża Pinettiego*”, sarkał: „*Ledwo upłynęło kilka lat od śmierci tego człowieka, tak niegdyś sławnego, że imię jego stało się nawet u ludu popularnym, a już uczeni poczęli powątpiewać o jego egzystencji, a jego sztuki, których pamięć tradycja zachowuje, podawać do zmyślenia gminu*”. ©©

Waldemar Łysiak

Smart gets real

Zasilany światłem CITIZEN Eco-Drive Bluetooth
łącząc się z telefonem przenosi elegancję klasycznego
zegarka na wyższy poziom funkcjonalności.



Eco-Drive®



Bluetooth®

citizen.pl



CITIZEN®

BETTER STARTS NOW